

TINDIANA JONES™

i DELFIKA PUŁAPKA



ROB MacGREGOR

ROB MACGREGOR

INDIANA JONES

I DELFICKA PUŁAPKA

(INDIANA JONES AND THE PERIL AT DELPHI)

Przełożył: Kosik Tomasz



AMBER

Wydawca światowych
bestsellerów

Wydawnictwo: Amber 1999

Spis treści

Karta tytułowa

Prolog

1. Szkolni kawalarze

2. Wiszący bohaterowie

3. Lodowata dama

4. Dadaści i jazz

5. Spotkania

6. W drodze

7. Incydent w Atenach

8. Podróż do Delf

9. Powrót

10. Krew bogów

11. Incydent w tawernie

12. W oparach

13. Przepowiednie

14. Ostatnia nadzieja

15. Manewry

16. Królewskie przyjęcie

17. Przy ognisku

18. Pod strażą

19. Hipnotyczne opowieści

20. Nowe wzniesienie

21. Przyjaciele z Paryża

22. Omfalos

23. Ucieczka z Delf

24. W pałacu

Prolog

Delfy, Grecja - 1922

Indy wisiał w ciemności jak rogal księżycyca, podtrzymywany przez linę, która wpijała mu się w pachy i klatkę piersiową. Z góry dochodziły go krzyki, ale nie mógł zrozumieć ani słowa. Odchylił głowę do tyłu. Otwór wysoko nad nim dawał tyle światła, ile migocząca na niebie gwiazda.

– Dorian! - wrzasnął. - Daj mi jeszcze jedną pochodnię!

Jego głos odbił się echem od ścian szczeliny. Nie wiedział, czy go usłyszała. Otarł policzek o ramię i zerknął w dół. Wokół była ciemność, czarna zasłona, która dezorientowała go, oszałamiała. Zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy i mocniej chwycił linę. Zdawało mu się, że zaraz poleci w ślad za swoją pierwszą pochodnią w bezkresną ciemność poniżej.

Nie było przestrzeni ani czasu, tylko siła grawitacji i wciągająca pustka. Minęło dopiero kilka minut, a jemu wydawało się, że wisi już od paru godzin czekając, aż przyślą mu światło.

– Jones! - krzyknęła Dorian.

Jej głos rozbrzmiał w otaczającej ciszy. Spojrzał w górę i dostrzegł migoczący odbłask zmierzający w jego stronę. Lina wiła się jak wąż z ognistym językiem. Indy uchylił się, gdy pochodnia przelatywała obok jego głowy. Złapał linę i przyciągnął pochodnię.

Uchwycił ją i odetchnął z ulgą. Spojrzał na ścianę przed sobą. Nie był już pewien, czy to właściwa ściana. Może znajdował się zbyt głęboko. Szarpnął linę dwukrotnie i Doumas, asystent Dorian, opuścił go o kolejne dwie stopy. Wreszcie znalazł się naprzeciwko tablicy. Wystawała z kamiennej ściany jak płyta z nagrobka i była lekko nachylona ku dołowi.

Wyciągnął z plecaka metalowy uchwyt i przybił go młotkiem do ściany. Już miał umieścić w nim pochodnię, gdy coś zwróciło jego uwagę.

Przystawił pochodnię do tablicy i nachylił się, by lepiej widzieć.

Powiedziano mu, że napis będzie pokryty brudem, i że trzeba go oczyścić po wydobyciu tablicy na powierzchnię. On natomiast spoglądał na równe rzędy hieroglifów, które nie tylko były łatwo rozpoznawalne, ale i napisane starożytną greką. Językiem, który rozumiał.

Przeskakiwał wzrokiem po słowach, połykał je. Wypełniło go podniecenie. Umieścił pochodnię w uchwycie na ścianie i wyciągnął notes z bocznej kieszeni plecaka. Pośpiesznie zapisał tłumaczenie. Nie mógł uwierzyć. Mieli rację. Ci szaleni dranie dobrze wiedzieli, o czym mówią.

Chciał krzyknąć do góry, ale zdecydował się oszczędzać energię. Schował notes i wyciągnął siatkę. Okrył nią dokładnie tablicę i przyczepił do haka na końcu liny.

Miał właśnie zacząć wyciągać tablicę ze ściany, gdy poczuł nagłe szarpnięcie. Zsunął się o kilka cali; lina zacisnęła się pod jego ramionami.

– Hej, co tam się, do cholery, dzieje?

Jego głos zabrzmiał echem w szczelinie. Znajdował się dokładnie pod tablicą. Dostrzegł wyraźne ślady dłuta. Ktoś nie tylko oczyścił napisy, ale próbował też wyciągnąć tablicę. Ale kto?

Lina znów zadrgała. W szczelinie rozległo się dziwne skrzypienie i Indy wiedział, co to było. To pękała jego lina. Chwycił pochodnię i uniósł ją do góry.

– O, Chryste! - Tylko spokojnie - pomyślał. Wsadził pochodnię między zęby i sięgnął po linę ponad miejscem, w którym się urywała. Usłyszał trzask, ostry dźwięk odbijający się od ścian szczeliny. Chwycił palcami linę.

Wisiał na jednej ręce, oderwany kawałek sznura zsunął mu się po przegubie dłoni. Pochodnia przypaliła włosy na ramieniu. Z wielkim trudem wyciągnął rękę ponad głowę. Obfity pot wystąpił mu na czoło, zalewając oczy.

Poczuł silne szarpnięcie z góry i lina wyślizgnęła mu się z dłoni. Z desperacją sięgnął drugą ręką, ale jego pięść zacisnęła się w powietrzu. Spadał.

1.

Szkolni kawalarze

Chicago - dwa lata wcześniej

Noc była spokojna i cicha. Dwaj mężczyźni wolno posuwali się wzdłuż wąskiej uliczki. Każdy z nich niósł przerzucone przez ramię bezwładne ciało. Wiosenny deszcz utworzył kałuże w nierównościach ukrytych w cieniu wysokich budynków. Zbliżali się do zakrętu, za którym znajdował się ich cel, duży trawnik.

Jeden z mężczyzn był wysoki i szczupły. Wciąż podskakiwał, jak gdyby poprawiając ułożenie ciała, które targał. Drugi był niższy i bardziej muskularny, przy boku kołysały mu się zwoje sznura. Poruszał się ze zwinnością alpinisty. Nagle potknął się o coś i przechylił na bok, prawie tracąc równowagę. Zwinność tak, ale czasami zastępowana przez niezgrabność.

– A niech to! - zabełkotał, odzyskując równowagę. Byli już prawie na miejscu.

– Wszystko w porządku? - zapytał wyższy.

– Tak. Zatrzymajmy się na chwilę. Mam jakieś złe przeczucia.

Wysoki bezceremonialnie rzucił ciało na ziemię i wyjął z kieszeni piersiówkę. Podał ją partnerowi, ale ten pokręcił głową.

– Nie chcesz? - wzruszył ramionami i sam wziął duży łyk.

– Daj sobie z tym spokój - syknął mężczyzna z liną.

– To pomaga na nerwy.

– Jeszcze piętnaście minut i będzie po wszystkim - powiedział człowiek z liną. Ruszył naprzód, skrywając się w cieniu. Ciało wciąż było

przerzucone przez jego ramię. Dotarł do zakrętu i rozejrzał się. Pomimo swoich obaw zdecydowany był dokończyć dzieła. Chciał wszystko wykonać perfekcyjnie.

Odwrócił się, aby dać znak partnerowi, ale ten już stał za nim. Ruszyli mokrym chodnikiem, światła ulicznych latarni odbijały się od jego powierzchni. Po chwili zatrzymali się przy jednej z nich i rzucili ciała na trawnik. Pod płótem leżały ledwo widoczne dwa inne ciała, które przynieśli tam pół godziny wcześniej.

– Co teraz? - zapytał wyższy.

– Pierwszy idzie Paine. Przygotuj go. I załóż mu kapelusz - odczepił od pasa jedną z lin. Na jej końcu zawiązany był stryczek. Delikatnym ruchem ręki przerzucił go przez latarnię. Stryczek zadyndał w mdłym świetle.

– Dobra, załóż mu to na szyję i przyczep kartkę z nazwiskiem.

Wysoki mężczyzna zacisnął Pętlę na szyi nieboszczyka. Potem sięgnął pod kaftan Paine'a, wyjął trójkątny kapelusz i założył mu na głowę. Drugi mężczyzna w tym czasie wspiął się na latarnię, po czym wciągnął ciało do góry, przywiązał sznur i zeskoczył na ziemię.

– Hej, to wygląda świetnie. Teraz jeszcze tych trzech i idziemy.

Wyższy mężczyzna przyłożył piersiówkę do ust, wziął kilka łyków i zaoferował butelkę partnerowi. Ten znów pokręcił głową.

– Następny będzie Georgie - odparł człowiek z liną. - Boże, już się nie mogę doczekać ich reakcji jutro rano.

Bezgłowa figura wiła się pod czarną togą jak magik próbujący wyswobodzić się z więzów i łańcuchów. Najpierw czubek głowy, potem brwi, a następnie cała twarz wysunęły się z ciemnego kokonu. Opuścił togę zakrywając nagie nogi i przejrzał się w lustrze. Przyglądził ręką gęste włosy, poprawił przedziałek na środku. Później założył na głowę kwadratową czapkę z ozdobnym sznurkiem.

Kaligrafowany napis na jego dyplomie oznajmiał, że nazywa się Henry Jones, Jr. Ci, którzy go znali, mówili na niego Indy - zdrobnienie od

Indiana, imienia, którego używał od dzieciństwa. Henry Jr. było przeznaczone do użytku w oficjalnych dokumentach, a także dla jego ojca, który wciąż nazywał go Juniorem.

W rzeczywistości jedynym widocznym wspomnieniem jego dzieciństwa była blizna na brodzie. Zarobił ją od złodziei, którzy przypadkowo odkryli w opuszczonej jaskini pozostałości hiszpańskiej konkwisty.

Nawet jego ojciec, gdyby mógł tu być, zobaczyłby, że Indy nie był już dzieckiem, lecz przystojnym mężczyzną. Miał piwne oczy o głębokim spojrzeniu, szerokie ramiona i muskulaturę piłkarza. Jednakże futbolistą nie był, chociaż lubił ruch. Wolał jazdę konną i narciarstwo niż sporty, takie jak futbol czy koszykówka. Był także mistrzem w posługiwaniu się biczem, dziwnej sztuce, o której rzadko mówił. I to nie dlatego, żeby nie była przydatna.

– Jestem absolwentem college’u - powiedział do siebie. Uśmiechnął się, słysząc własne słowa, ale uśmiech ten był pełen ironii. Kończył college pomimo wszystko. Zeszłej jesieni nie było go na tylu lekcjach, że jego oceny gwałtownie pogorszyły się i prawie wyrzucono go ze szkoły. Po prostu stracił zainteresowanie zwykłym wykształceniem, zyskując jednocześnie inne na ulicach.

Wraz z Jackiem Shannonem, zwariowanym współlokatorem, spędzał noce w podrzędnych knajpach w południowej dzielnicy, słuchając jak muzycy o imionach typu Pine Top Smith, Cripple Clarence Lofton, Speckled Red czy Cow Cow Davenport stukają w klawisze swoich pianin. Muzykę tę nazywano knajpianym graniem, ponieważ wykonywano ją w małych barach, gdzie jeszcze niedawno serwowano trunki prosto z beczek. Do czasu aż rozpoczęła się prohibicja.

Większość jazzmanów przyjechała z Nowego Orleanu, miejsca narodzin jazzu, i z każdym tygodniem ich przybywało. Warunki życia Murzynów były lepsze w Chicago. Tu mogli znaleźć pracę w klubach, zarabiali pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, podczas gdy w Nowym Orleanie mogli

liczyć na dolara za noc. No i w Chicago były studia, w których nagrywano płyty z jazzem.

Gdy zamykano bary, Indy i Shannon udawali się na różne przyjęcia, gdzie muzyka rozbrzmiewała do świtu. Shannon brał swoją trąbkę i grywał razem z Johnnym Dunnem i Jabbem Smithem. Shannon był nie tylko jednym z niewielu białych, którzy grali jazz, ale był niewątpliwie jedynym muzykującym studentem ekonomii. Większość jazzmanów w knajpach była niewykształcona. Nie czytali nut, nie znali żadnych zasad i nie dbali o to. Nie wiedzieli nawet, że ich muzyka jest niezwykła. To wszystko właśnie składało się na jej potęgę i piękno.

– Hej, jesteś gotowy? Mówiłeś, że chcesz tam być wcześniej, tak?

Słowa kolegi wyrwały go z zamyślenia. Rude włosy Shannona jak zwykle wyglądały dziko. Swoją togę trzymał w ręku, a ubrany był w marynarkę i krawat. Marynarka miała za krótkie rękawy, ale Shannon nie zwracał na to uwagi. Miał zwyczaj kiwania głową kiedy był podniecony lub zdenerwowany, i właśnie to robił. Shannon zawsze sprawiał wrażenie trochę nerwowego, jak gdyby nie był z tego świata. Doskonale czuł się jedynie podczas gry na trąbce. Wówczas jego chude ciało zdawało się odpływać wraz z muzyką i nie dostrzegało się już ani jego wzrostu, ani długiej szyi z wystającym jabłkiem Adama.

Indy spojrzał na siebie jeszcze raz i zdjął czapkę. Znajdowali się tylko kilka przecznic od miejsca uroczystości. Dojdą tam w ciągu kilku minut.

– Dobra. Daj mi się ubrać. Nie włożyłem jeszcze spodni.

– Idź tak. Odbierz swój dyplom bez spodni.

– Nie, dzięki. Nie wiem, po co miałbym to robić - spojrzał na Shannona, wiedząc, że ten zaraz coś mu zaproponuje.

– Wiesz co? Kupię ci gorzałę. Zgadzasz się?

Indy wzruszył ramionami. Do diabła ze spodniami. Pod togą nikt nie zauważy różnicy.

– W porządku - odparł. Perspektywa uroczystości nie cieszyła go. Chciał, żeby już było po wszystkim. Brak spodni uczyni ją chociaż trochę interesującą.

– Już słyszę starego Mulhouse'a - powiedział, gdy wychodzili z domu. - Jesteście nowym pokoleniem, pokoleniem nadziei - naśladował poważny, władczy głos dyrektora uczelni. - Wojna się skończyła. Idźcie w świat i pokażcie innym, że amerykańska młodzież to ciężko pracujący, twórczy ludzie, którzy wykonają każdą pracę, jaka tylko się pojawi.

Coś w tym stylu - pomyślał. Nie, uroczystość nie była powodem, dla którego Indy chciał być wcześniej.

– Jak to jest bez spodni? - zapytał Shannon, gdy szli ulicą.

– Chłodno i wietrzno. Powinieneś spróbować.

Indy oczekiwał śmiechu albo jakiegoś żartu, ale Shannon miał poważną minę. - Czy twój ojciec dziś będzie?

Indy pokręcił głową.

– Jest zajęty. Cholera, nawet nie zadał sobie trudu, żeby przeprosić.

– Naprawdę?

– Tak. On już taki jest. Mój ojciec, szanowany ekspert, nigdy nie ma czasu dla nikogo ani na nic poza swoją pracą naukową.

– Zawsze był taki?

– Dopiero po tym, jak moja matka zmarła, gdy byłem mały. Od tego czasu stale się ode mnie oddala, bez względu na to, co bym robił. Chyba właśnie dlatego zająłem się lingwistyką, aby zwrócić jego uwagę.

Shannon spojrział na niego.

– W jaki sposób lingwistyka może zwrócić jego uwagę?

– Odkąd tylko pamiętam, powtarzał, że język to klucz do zrozumienia rodzaju ludzkiego. Ale co z tego? Jak on może oczekiwać, że zrozumie ludzi, skoro nawet jego nie mogę zrozumieć?

– Chciałbym, żeby ode mnie nikt nie przyjeżdżał. Cholera, załuję nawet, że już kończę szkołę.

– Co ty wygadujesz, Jack? Masz pracę i będziesz robił niezłe pieniądze.
- Shannon został zatrudniony jako księgowy w firmie handlowej w Chicago, z pensją dwustu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, sumą, która wydawała się niesamowicie wielka. Kiedy Indy zapytał go, jak zdobył tę posadę, jedyną odpowiedzią Shannona było: „rodzinne koneksje” - A do tego wciąż będziesz mógł grywać w klubach - kontynuował Indy. - Hej, pamiętasz tę noc, kiedy poszliśmy do Royal Gardens i widzieliśmy Kinga Olivera? Autentyczny Kreol z Nowego Orleanu. Wszyscy przenoszą się tutaj. Czego więcej możesz chcieć?

Shannon nic nie mówił. Przeszli na drugą stronę ulicy.

– Zamierzasz grać dalej, prawda? - zapytał Indy, wpatrując się w mijający ich samochód.

– Zawarłem układ.

Indy dostrzegł smutek na jego twarzy.

– Jaki układ?

– Muszę przestać grać jazz. To jest cena tej posady.

– Ale to jest szaleństwo. Dlaczego?

– Bo to nie jest „szanowana” muzyka.

Indy wiedział, że jazz nie był akceptowany. Wielu białych twierdziło, że synkopa - akcentowanie w miejscach, gdzie się nie powinno tego robić - oraz improwizacje tworzyły „muzykę dżungli”. „Powoduje, że słuchacz zaczyna wykonywać dziwne, bardzo sugestywne ruchy” - można było usłyszeć w radiu.

– Gównu prawda, Jack. Myślę, że możesz być tak dobry jak Earl Hines albo Johnny Dodds. Posłuchaj, wszystko się zmieni, gdy tę muzykę zaakceptują.

– Nie jestem pewien, czy to się kiedykolwiek stanie - Shannon kołysał się z boku na bok, jego długie ręce poruszały się własnym rytmem. - Wiesz, oni nawet winią jazz za te rozruchy w południowej dzielnicy. Możesz w to uwierzyć?

– Rozruchy nie miały nic wspólnego z jazzem.

Zamieszki miejskie były nieprzyjemnym incydentem dla narodu, który czuł się wspaniale wobec zwycięstwa aliantów. Stworzyły przykry kontrast z wielkimi paradami odbywającymi się w Nowym Jorku, celebrującymi udział Ameryki w triumfie.

– To nie jest muzyka do marszu, Indy. Wiesz, o co mi chodzi. Nikt się nie czuje jak jakiś cholerny bohater, gdy jej słucha. Na tym polega problem. Pochodzi skądinąd, tak jak ja.

Indy zachichotał.

– Zawsze możesz pojechać ze mną do Europy i zacząć nowe życie.

– Myślałem o tym. Jestem zazdrosny jak cholera. Będzie ci tam dobrze.

Indy był pewien, że Paryż zafascynuje go, ale nie był przekonany co do kariery eksperta od starożytnych języków.

– Mam nadzieję. Tylko że studiowanie starych manuskryptów w bibliotekach nie jest moim ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu.

– Wciąż to powtarzasz. Dlaczego więc to robisz?

– Tam mam jakąś szansę i nie zamierzam nie skorzystać z okazji. Po prostu dlatego.

Shannon nagle skręcił i kiwnął na Indy'ego, aby szedł za nim.

– Dokąd idziesz?

– Chodź - powiedział szeptem. Obiecałem, że kupię ci butelkę. Weźmiemy jedną i zabierzemy ze sobą. Niedaleko jest gość, który ma je na składzie.

– Nie wiem, Jack - prohibicja była głupim dowcipem, ale Indy chciał jak najszybciej dostać się na teren szkoły.

– To zajmie tylko kilka minut. No chodź.

Wzruszył ramionami i poszedł za nim. Mimo że obaj dobrze się ze sobą czuli, to jednak różnili się znacznie stosunkiem do alkoholu. Shannon od siedemnastego roku życia pił dużo i prohibicja tego nie zmieniła. Indy natomiast traktował alkohol z dystansem, mógł go pić, ale nie musiał.

W połowie drogi między dwiema przecznicami Shannon otworzył bramę i przeszedł podwórką do tylnych drzwi. Zastukał w nie uniwersalnym kodem na „to ja”. PUK, puk-puk-puk-puk, PUK, PUK. Wewnątrz zaczął szczekać pies. Shannon spojrzał na Indy’ego, jak gdyby chciał się upewnić, czy jego przyjaciel jeszcze tam jest.

Chwilę później mały zezowaty człowieczek otworzył drzwi. Dwudniowy zarost pokrywał jego brodę, a białe włosy były potargane, jakby przed chwilą wstał z łóżka. Wrzasnął na psa i spytał, czego chcą.

– Butelkę soczku, Elmo. Cóż by innego? - odparł Shannon z głupawym uśmiechem.

Mężczyzna dał znak, żeby weszli. Indy poczuł zapach whisky, unoszący się w zagraconej kuchni.

Duży kundel siedział za swoim właścicielem i warczał. Indy trzymał się z dala od niego i oglądał kuchnię. Zielona farba odpadała ze ścian, odsłaniając wzorzystą tapetę. Jedne z drzwiczek od kredensu leżały na podłodze, prawdopodobnie już od dłuższego czasu. Całe pomieszczenie cuchnęło od zsuniętych w kąt i nasączonych uryną gazet.

– Daj nam jedną butelkę, Elmo. Śpieszymy się.

– Dobra, zaraz - spojrzał z dezaprobatą na czarną togę Indy’ego.

– Co to za jeden? Sędzia?

– Nie możesz rozpoznać absolwenta college’u?

– Tak? Jeden profesor, który mnie odwiedza mówi, że zasługuję na honorowy dyplom i tytuł. Co wy na to? - Elmo wyszczerzył poźółkłe zęby.

– Z jakiej dziedziny? Bimbrownictwa? - zapytał Shannon.

– Nie. Z chemii.

Indy wybuchnął śmiechem, ale zaraz poczuł się nieswojo i zaczął żałować, że tu przyszedł.

– Masz ją, czy nie, Elmo? Nie mamy całego dnia.

– Pięćdziesiąt centów.

– Pięćdziesiąt? - Shannon wyciągnął rękę, zaskoczony ceną. - A może jakaś zniżka dla absolwentów? No dalej, Elmo.

– Pięćdziesiąt centów - zagrzmiał Elmo i skrzyżował ręce na piersi.

– W porządku, w porządku - Shannon odwrócił się do Indy'ego.

– Masz dwadzieścia pięć centów?

– A co z umową?

– Oddam ci. Nie martw się.

Indy pogrzebał w kieszeni. Dawał lekcje francuskiego i łaciny uczniom szkół średnich i w ten sposób zarabiał dodatkowe pieniądze. Nigdy jednak nie miał ich za dużo. Niechętnie podał Shannonowi monetę.

Elmo schował pieniądze do kieszeni, przeszedł przez kuchnię i zniknął w piwnicy. Indy spojrzał na zegarek.

– Mam nadzieję, że tam nie zaginie.

Shannon machnął ręką, rozwiewając obawy Indy'ego.

– Zrelaksuj się. Za chwilę będziemy na miejscu.

Indy zauważył, że pies poruszył się niespokojnie i znów zaczął warczeć.

– Co mu jest? - zamruczał Indy.

Shannon podszedł do kundla i wyciągnął do niego rękę.

– Siedź cicho.

Pies zerwał się i podbiegł do drzwi. Ktoś zaczął w nie walić. Shannon spojrzał w stronę piwnicy, wzruszył ramionami i uchylił drzwi.

– Kto tam?

– To ja, koleś. Otwórz. Muszę się widzieć z Elmem.

– Kto tam jest? - zawołał stary bimbrownik, wynurzając się z piwnicy. Podał Indy'emu butelkę i przyszyły absolwent schował ją do czapki.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w marynarce, krawacie i kapeluszu na głowie. Patrzył z wrogością, a w ręku trzymał pistolet.

– O, cholera! - nagły dreszcz przebiegł po plecach Indy'ego.

Elmo zerknął na nowego gościa i natychmiast pomknął w stronę frontowych drzwi. Mężczyzna kazał mu się zatrzymać, ale Elmo biegł

dalej. Nieznajomy ruszył za nim, pies skowyczał mu pod nogami.

Indy i Shannon spojrzeli na siebie i popędzili do kuchennych drzwi. Na schodach Indy zaplątał się w togę i przewrócił. Szybko się pozbierał i pobiegł za Shannonem, który był już na podwórku. Indy nie mógł się powstrzymać od śmiechu; uciekali przed niebezpieczeństwem i nawet mieli whisky. Nagle Shannon stanął, a Indy wpadł na niego. Przy bramie czekali dwaj policjanci i mieli zamiar ich zatrzymać.

– Hej, wy dwaj!

– Cholera jasna.

Shannon odwrócił się i ruszył w drugą stronę. Pomknął dróżką między dwoma domami. Indy nie czekał na wskazówki. Pognał za nim, unosząc togę, aby mu nie przeszkadzała. Minął Shannona, gdy przebiegali przez ulicę. Pędzili między domami przez kolejne podwórka. Byli prawie pewni, że się wydostali, gdy nagle znaleźli się na podwórku ogrodzonym wysokim na osiem stóp drewnianym płotem.

– A niech to - syknął.

– Uważaj! - wrzeszczał Shannon z tyłu.

Indy obrócił głowę. Oczekiwał, że ujrzy policjantów, tymczasem dostrzegł biegnące w ich stronę dwa ogromne dobermany.

– Chryste - jęknął. Upuścił butelkę, wyrzucił czapkę i zaczął wspinać się na płot. Już miał przełożyć nogę na drugą stronę, gdy coś go z tyłu pociągnęło. Jeden z dobermanów wbił zęby w jego togę. Pies warczał i kręcił łbem, podczas gdy Indy starał się wyswobodzić.

Sięgnął do tyłu i pociągnął mocno, wrywając togę z pyska psa. Przeskoczył ogrodzenie i stanął obok czekającego już Shannona. Pobiegli w stronę następnego podwórza, minęli garaż i nagle stanęli jak wryci. Dwaj policjanci z wyciągniętymi pistoletami czekali w zaułku.

– Nieźle wam idzie, chłopcy. Stójcie spokojnie - powiedział niższy policjant.

Indy znieruchomiał. Teraz znaleźli się w tarapatkach i nie był to tylko jego kłopot.

– Billy? - powiedział Shannon, stając na palcach. - To ty?

– Jezu - zamruczał policjant. - Jack Shannon. Co ty tu robisz?

– Mógłbym cię zapytać o to samo. Kupowaliśmy flaszkę. Idziemy na uroczystość zakończenia szkoły.

– Chryste, Shannon - Billy spojrział na swego partnera. - To brat Harry'ego - kiwnął głową w stronę ulicy. - Zwiewajcie stąd i na drugi raz uważajcie, z kim robicie interesy.

– Dzięki, Billy.

– Nie dziękuj mi, Jack. Harry będzie o wszystkim wiedział.

Indy nie miał pojęcia, co łączyło brata Shannona z tym policjantem. Gdy biegli w stronę szkolnych budynków, porwana toga Indy'ego powiewała za nim jak flaga.

– Twój brat chyba nie jest gliniarzem, co?

Wyraz złości pojawił się na twarzy Shannona.

– Nie, ale ma przyjaciół. Billy Flannery jest z sąsiedztwa.

– Ale co oni tam robili?

– Eliminowali z interesu niewygodnego konkurenta. Harry ma obszar, którym się opiekuje.

– Gliniarze pracują dla twojego brata?

– Obudź się, Indy. Oni wszyscy pracują dla organizacji, a Harry jest jej członkiem założycielem. To się liczy w rodzinie.

2.

Wiszący bohaterowie

Tyłna część togi Indy'ego była w strzępach. Gdy przechodzili przez bramę uczelni musiał przytrzymać porwane kawałki ręką. To jednakże nie miało znaczenia. Cieszył się, że nie gonili go już żadni policjanci, bandyci, ani psy. Odbierał dyplom i tylko to się liczyło.

Spojrzał na transparent trzepoczący na wietrze. 23 MAJA - OBCHODY DNIA OJCÓW ZAŁOŻYCIELI - głosił napis. Na ten widok zagotowało mu się w brzuchu i zniknęło całe uczucie ulgi. Przez te wszystkie wydarzenia prawie zapomniał o zeszłej nocy. To, co miało być znakomitym zakończeniem jego pobytu w college'u, wcale nie zapowiadało się tak wspaniale.

Gdy dotarli do głównej alei, zatrzymali się. Tłum odzianych w czarne togi absolwentów i ich rodziny zgromadził się na chodniku. Ponad nimi, wysoko na latarniach wisały ciała. Z miejsca, gdzie stali, zwisające manekiny wyglądały jak prawdziwi ludzie ubrani w stroje z czasów amerykańskiej rewolucji.

– Spójrz tylko na to - powiedział Shannon ze złośliwym uśmiechem na twarzy. - Georgie, Tom, drugi Tom i Benji.

Indy sposepniał.

– No, nie wiem. W świetle dziennym to wygląda trochę groteskowo. Nie przypuszczałem, że jeszcze tu będą.

Innego dnia pracownicy porządkowi najprawdopodobniej usunęliby kukły. Ale była sobota, dzień zakończenia roku i wszyscy stali, przyglądając się.

– Według mnie to wygląda świetnie - Shannon wyszczerzył zęby i poklepał Indy'ego po plecach. - udało nam się - w jego głosie nie było ani śladu troski.

– Tak. Fajnie.

– Zobacz. Jest nawet prasa. Masz szansę powiedzieć im o wszystkim!

Początkowo miał taki zamiar, ale teraz nie był pewien, czy chce się przyznać do czynku, chwalić się nim. Może nie było najlepszym pomysłem odkładanie tego z nocy poprzedzającej Dzień Ojców Założycieli na wigilię zakończenia roku. Może nikt nie zrozumie.

Shannon klepnął go w ramię.

– Jest moja rodzinka. No to na razie.

Indy odprowadził go wzrokiem, a następnie podszedł do dziennikarzy fotografujących „Toma Jeffersona”. Kilka osób rozmawiało i ich słowa podziały na niego jak ciosy w brzuch.

– Kto mógł to zrobić? - zapytał jeden z widzów.

– Co to miało oznaczać?

– Nic.

– Straszliwe.

– To musiał być jakiś bolszewik. Słyszałem, że jest ich kilku na uczelni.

– Może to rojalista. Jestem pewien, że oni muszą nienawidzić Franklina.

Nikt nie wydawał się doszukiwać dowcipu albo zrozumieć znaczenia tego czynku. Indy ledwo mógł się powstrzymać. Chciał wykrzyknąć, że to jego wystawa z okazji Dnia Ojców Założycieli i że nikt nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi.

– To hańba dla uczelni - zabrzmiał władczy głos spod sąsiedniej latarni. - Najstraszniejsza obraza.

Mallery Mulhouse, dyrektor college'u, otoczony był przez reporterów, uczniów i rodziców. Twarz miał czerwiejszą niż zwykle, krople potu wystąpiły mu na czoło.

Dzień Ojców Założycieli, wypełniony przemówieniami i patriotycznymi uroczystościami, był pomysłem Mulhouse'a. Chociaż uczestnictwo nie było obowiązkowe, to jednak gafą przyszlých absolwentów było ignorowanie święta. Podczas pierwszych dwóch lat, gdy Indy mieszkał w akademiku, wyznaczeni uczniowie odpowiedzialni byli za dopilnowanie tego, aby wszyscy brali udział w przygotowaniach do uroczystości.

W zeszłym roku, przeprowadzając się do wynajętego mieszkania, Indy uniknął święta. Tego roku jednak Mulhouse zarządził, że wszyscy uczęszczający na wykłady z angielskiego i historii mają napisać wypracowanie na temat Ojców Założycieli, w przeciwnym razie nie zaliczą wykładów. Indy z niechęcią wykonał zadanie, ale na swój sposób.

– Każdy, kto wiesza na latarniach kukły założycieli naszego państwa, jest po prostu niebezpieczną, nie zrównoważoną jednostką - kontynuował Mulhouse. - Uważam, że ten czyn jest afrontem dla wszystkiego, co nasz naród reprezentuje.

Indy ze zmarszczonymi brwiami ruszył w stronę Mulhouse'a. Spodziewał się kontrowersji, chciał jej. Nie przypuszczał jednak, że Mulhouse uzna to za ciężką zbrodnię przeciwko narodowi.

– Nie przypuszcza pan, że to może być po prostu szkolny dowcip? - zapytał jeden z dziennikarzy.

Oburzenie pojawiło się na twarzy Mulhouse'a powodując, że jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

– Jeśli dowcip, to bardzo kiepski. Sprawcy tego zostaną odnalezieni i odpowiednio ukarani.

– Czy to znaczy, że zawieszenie tych kukieł uznane będzie za przestępstwo? - spytał inny dziennikarz.

– Uczelniana policja została już zawiadomiona, a nasi adwokaci przyglądają się prawnym aspektom sprawy. W obecnej chwili niczego nie wykluczam.

– Panie dyrektorze, czy to, co tu widzimy, nie jest właśnie przykładem wolności słowa, głoszonej przez naszych Ojców Założycieli? - zapytał uczeń Indy, udając reportera ze szkolnej gazety.

Mulhouse wskazał „Georgiego”, którego właśnie opuszczano na ziemię.

– Młody człowieku, wieszanie na latarni kukły pierwszego prezydenta naszego kraju nie jest przykładem wolności słowa. Wręcz przeciwnie, jej zagrożeniem.

A niech to. Indy spuścił głowę i zastanawiał się, czy będzie mógł odebrać swój dyplom. Jeśli nie, to znaczy, że miał pecha. Ale powinien pomyśleć o tym zeszłej nocy.

– Co o tym sądzisz, Jones?

Odwrócił się i ujrzał Teda Conrada, swojego profesora od historii. Miał trochę ponad trzydzieści lat, nosił staroświeckie wąsy i był ulubionym nauczycielem Indy’ego.

Indy wzruszył ramionami i spojrzał na najbliższą kukłę.

– Ktoś sobie narobił dużo kłopotów.

– Dla mnie to wygląda na atak niszczący ideę Dnia Ojców Założycieli.

Niewielki uśmiech wykrzywił usta Indy’ego.

– Można tak to oceniać.

Podziwiał profesora za jego poglądy i bezpośredniość. Conrad wielokrotnie powtarzał swoim uczniom, aby stawali w obronie tego, w co wierzą. Aby kwestionowali autorytety. „Wolność słowa - mawiał - oznacza możliwość wypowiedzenia się w dowolny sposób pod warunkiem, że nikogo się nie krzywdzi. Na tym właśnie polega demokracja”. Conrad żartował sobie także z podniosłości Dnia Ojców Założycieli. Gdy zadawał im wymaganą pracę powiedział: „Kiedy będziecie pisać to wypracowanie, pamiętajcie, że uczycie się w college’u, a nie w kościele”.

Indy zapamiętał to sobie i tak zrobił, a teraz Conrad go podejrzewał. Był tego pewien.

– To, co tu zobaczyłem, Jones - powiedział, uśmiechając się i wskazując wiszące kukły - bardzo przypomina tezy z twojego wypracowania.

Indy zdał sobie nagle sprawę, że Conrad przejrzał go na wylot.

– Wcale nie twierdziłem, że powinni być powieszani. Chodziło mi o to, że jeśli by Brytyjczycy wygrali, to nasi wspaniali Ojcowie Założyciele zostaliby ogłoszeni zdrajcami i prawdopodobnie powieszani.

– Wiem, o co ci chodziło. Podobało mi się twoje wypracowanie. Postawiłem ci piątkę.

Wspaniale. A więc rozumiał.

– W takim razie potrafi pan docenić to, co tu zrobiłem - rzekł Indy podniesionym głosem. - To jest mój protest przeciwko Dniu Ojców Założycieli. Demokracja w praktyce.

Conrad skinął głową.

– Tylko że o tydzień za późno. Ale za to ładnie zbiega się z zakończeniem. Podziwiam twoją śmiałość, Jones, ale będziesz jeszcze musiał stawić czoło konsekwencjom tego czynu.

Spojrzał na porwaną togę Indy'ego i wystające spod niej białe, owłosione nogi. - A tak przy okazji, ładny masz strój.

Indy czuł się jak owad uwięziony w pajęczynie, jeszcze żywy, ale już przygotowany na śmierć. Stał przy końcu długiego konferencyjnego stołu w pięknie zdobionym pomieszczeniu na czwartym piętrze budynku dyrekcji. Było to miejsce w szarym, zimnym sercu uczelni.

Miejsce, w którym znalazło się bardzo niewielu uczniów. Przy stole siedzieli: dyrektor do spraw studentów, Williams, dziekan wydziału historii, członek rady zarządu, dwaj prawnicy i Ted Conrad. Z wyjątkiem Conrada, który wydał Indy'ego, wszyscy byli poważnie wyglądającymi panami w szarych garniturach.

Nagle otworzyły się drzwi i do sali wkroczył dyrektor Mulhouse. Powitał wszystkich przy stole i spojrzał na winowajcę.

– Proszę usiąść, panie Jones - Mulhouse wskazał krzesło przy drugim końcu stołu.

Dwaj uczelniani policjanci przesłuchiwali go zeszłego ranka. Wyznał im wszystko z wyjątkiem udziału Shannona. Dyrektor Williams był przy tym obecny i gdy policjanci skończyli, przez pół godziny wypytywał go na tematy osobiste. Dyrektor, dystyngowany, siwy mężczyzna, był kiedyś profesorem psychologii i jego pytania odzwierciedlały to. W końcu polecono mu zjawić się tu punktualnie o dziesiątej.

– „Historia amerykańskich patriotów i zdrajców” - zaczął Mulhouse, stukając palcami w wypracowanie Indy’ego. - No cóż, to lepsze niż „Wiszący bohaterowie”, jak prasa nazwała ten incydent - zerknął znad okularów na świeżo upieczzonego absolwenta i pogłaskał się po podbródku. Był to jeden z jego wyćwiczonych, akademickich gestów. Czy naprawdę myślał pan, panie Jones, że uniknie odpowiedzialności?

– Ja... Ech... - Indy odchrząknął i starał się przewyciężyć zdenerwowanie. - Nie staram się niczego uniknąć. W moim wypracowaniu jest mowa o cienkiej granicy pomiędzy popularnymi bohaterami a niebezpiecznymi zdrajcami. Gdyby Brytyjczycy zwyciężyli.

– Ale nie zwyciężyli, panie Jones - przerwał mu dziekan wydziału historii. - I kiedy wieształ pan na latarniach figury naszych narodowych bohaterów, zachował się pan jak zdrajca. Tak właśnie większość ludzi to postrzega.

– Myślę, że oceniając postępek pana Jonesa powinniśmy uwzględnić kilka okoliczności łagodzących - powiedział dyrektor Williams. - Wczoraj rano długo z nim rozmawiałem i uważam, że jest bardzo specyficznym młodym człowiekiem. Jego czyn był nie tyle atakiem na naszych Ojców Założycieli, ile na jego własnego ojca, jedyne go żyjącego członka rodziny, słynnego badacza średniowiecza, doktora Henry’ego Jonesa. Zdołałem się zorientować, że doktor Jones jest bardzo zajęty człowiekiem i niestety nie miał czasu, aby przyjechać z Nowego Jorku na uroczystość ukończenia

szkoły. Syn najwyraźniej poczuł się urażony i to, co się zdarzyło, jest manifestacją tych uczuć.

Indy'ego rozgniewało to, że Williams mówił o nim, jakby go nie było na sali. I o co mu chodziło? Pewnie, że czuł urazę do ojca, ale nie to było powodem, dla którego powiesił Ojców Założycieli. Już miał zamiar to powiedzieć, gdy odezwał się Ted Conrad.

– Bardzo ciekawa analiza, panie dyrektorze, ale nie sądzę, aby miała wiele wspólnego z motywami postępowania pana Jonesa. Jego czyn był najwyraźniej związany z zadaniem wypracowaniem. Sama praca była nieźle pomyślana. Wszystkie tezy są dobrze uzasadnione.

Mulhouse spojrział z dezaprobatą.

– Czy pan pochwała jego czyn, profesorze?

Indy wyprostował się na krześle.

– Przepraszam, ale...

– Nie, nie pochwalam tego, co zrobił - odparł Conrad, ignorując Indy'ego. - Posunął się za daleko, dużo dalej niż to było potrzebne i wymagane. Staram się po prostu wyjaśnić motywy jego postępowania.

Było oczywiste, że Mulhouse nie uwierzył.

– Pewnie, że można podchodzić do tego z psychologicznego punktu widzenia. Pozostaje jednak faktem, że pan Jones okazał swoją niechęć wobec założycieli naszego państwa i wstręt wobec Dnia Ojców Założycieli, tradycji na tej uczelni.

Jeszcze przez kilka minut mówili o jego występku, zgadzając się w tym, że obojętnie jakimi kierował się motywami, postąpił źle. Potem Indy został poproszony o opuszczenie sali.

– Przepraszam, czy mógłbym coś powiedzieć? - zapytał, wstając.

Mulhouse wbił w niego wzrok.

– Proszę, młody człowieku, tylko zwięźle.

– Chciałem jedynie zaznaczyć, że mój ojciec nie ma nic wspólnego z moim czynem. Nawet przez chwilę nie myślałem o tym, że symbolicznie

wieszam jego.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z sali. Usiadł na ławce w korytarzu. Odetchnął ciężko. Wyobraził sobie, jak kontynuują dyskusję, rozpatrują możliwości, decydują o jego przyszłości. I starają się poddać jego osobowość wnikliwej analizie. Był prawie pewien, że zamierzają odebrać mu dyplom.

Co on bez niego zrobi? Nie będzie mógł pojechać do Paryża. To było pewne. Musiałyby znaleźć sobie pracę. Ale jaką pracę? Bez dyplomu nie mógłby nawet uczyć francuskiego ani łaciny. Nie chciał myśleć o tym, co może robić, ponieważ tego nie wiedział.

Kilkanaście minut później drzwi się otworzyły i dyrektor Williams poprosił go do środka. Gdy Indy usiadł, wzrok Mulhouse'a spoczął na nim.

– Panie Jones, ma pan szczęście, że jestem osobą, która uważnie słucha, co inni mają do powiedzenia. Na samym początku nasi prawnicy i ja mieliśmy zamiar wystąpić na drogę sądową. Zadecydowaliśmy jednak, że nie będzie dla tej instytucji żadnej korzyści z dalszego zajmowania się tą sprawą. Mam na myśli względy prawne. Wolimy mieć to za sobą.

– No dalej, skończ już z tym. Powiedz to. Powiedz, że odbieracie mi dyplom - niepokoił się w duchu Indy.

– Najprostszym sposobem załatwienia sprawy byłoby wydalenie pana z uczelni. Ale pan już ukończył naukę. Ma pan szczęście - jego uśmiech był zimny i wymuszony. Wiemy jednak, że zamierza pan studiować na Sorbonie. W prosty sposób możemy odmówić przesłania pańskich dokumentów i wątpię, czy uznano by pana za legalnego studenta - zrobił rozmyślną przerwę czekając, aż waga jego słów dotrze do Indy'ego. - My jednak zamierzamy dać panu szansę poprawy. - Mulhouse spojrzął na pozostałych i ci pokiwali głowami. - Chciałbym, aby pan złożył przeprosiny na ręce tu obecnych oraz dostarczył do mojego biura list z przeprosinami, który udostępnię prasie.

Wszyscy na sali spoglądali na niego, czekając na odpowiedź. On jednak nie miał nic do powiedzenia. Dlaczego musi przepraszać za coś, za co nie czuje się winny? Co w takim razie ze stawianiem w obronie własnych poglądów? Co z demokracją?

Conrad wpatrywał się uważnie w Indy'ego; wiadomość wypisana była na jego twarzy. „Przyjmij to, co ci oferują”. Indy odwrócił głowę, poirytowany tym, że Conrad - ten, który go zdradził, który nie trzymał się nawet własnych zasad - miał teraz czelność doradzać mu. Ale jeśli nie przeprosi, to Mulhouse spełni swoją groźbę i zatrzyma jego dokumenty. Mniejsze zło - pomyślał i powiedział:

– Dobrze, zrobię tak.

Mulhouse skinął głową i uśmiechnął się do siebie.

– W takim razie czekamy. Chcielibyśmy to usłyszeć.

Indy spuścił głowę.

– Przepraszam wszystkich tu obecnych. Przykro mi... Przepraszam za to, co zrobiłem. List znajdzie się w pańskim biurze jutro rano. Odsunął krzesło, wstał i szybko wyszedł z sali. Schodził po schodach, zeskakując po dwa stopnie na raz, aż dotarł na parter. Potem skierował się w stronę wyjścia. Nie wiedział, dokąd idzie. Nie obchodziło go to. Krew pulsowała mu w głowie.

– Jones, zatrzymaj się.

To był Conrad. Indy szedł dalej.

– Jones.

Zatrzymał się i odwrócił.

– Czego pan chce?

– Chcę z tobą porozmawiać.

Indy zorientował się, że stoi niedaleko latarni, na której wraz z Shannonem powiesił pierwszą kukłę.

– Przypuszczam, że chce pan, abym wszedł tam i osobiście się powiesił - powiedział, wskazując palcem latarnię. - Albo żebym teraz jeszcze raz pana

przeprosił. Czy tak?

– Uspokój się, Jones. Dobrze postąpiłeś. Po prostu dobrze.

– Pewnie. Było wspaniale.

– Posłuchaj mnie. Udało ci się przemówić do nich. Uwierz mi, dokonałeś tego. Rozmawiałem wczoraj z Mulhousem przez ponad godzinę i przyznał, że trochę przesadził.

– Nie słyszałem, żeby przeproszał.

– Nie, ale nie zostałeś także aresztowany. Ci prawnicy mogli oskarżyć cię, o co tylko by się dało, od wandalizmu po zdradę. Nie możesz zrozumieć? Wygrałeś. Do diabła, gdyby alkohol był legalny, postawiłbym ci drinka.

– Wygrałem i musiałem przeproszać? Co to za zwycięstwo?

– Posłuchaj, Mulhouse musiał zachować swoją wiarygodność. Gdybyś zniszczył ją, odmawiając przeprosin, nie miałby innego wyjścia, jak tylko zrujnować twoje szanse na Sorbonie.

Indy zrozumiał, że Conrad ma rację.

– A co z tym listem, który muszę napisać?

– Masz okazję wyjaśnić wszystkim, co zrobiłeś. Nie unoś się. Napisz, że wiesz, iż była to pomyłka.

– Tak, chyba tak zrobię.

Conrad poklepał go po ramieniu.

– To jest duch. Powodzenia w Paryżu. Zazdroszczę ci. Jestem pewien, że robisz dobrze i znajdziesz tam to, czego szukasz.

Gdy Conrad odchodził, Indy zastanawiał się nad tym, co powiedział profesor. Czego on właściwie szuka? Nie wiedział, ale był pewien, że kiedyś to znajdzie.

3.

Lodowata dama

Paryż - październik 1922

Był pogodny, jesienny poranek i Indy, ubrany w swoją skórzaną kurtkę, szedł wolno aleją St. Michel. W przeciwieństwie do większości mijających go Francuzów, nie miał szalika. Madelaine dała mu jeden w prezencie, ale on nie widział jej już od kilku tygodni i noszenie go przypominało mu ją.

Pochylił się, nasunął kapelusz głębiej na czoło i przyśpieszył kroku. Chciał uciec przed zimnem. Poza tym z niecierpliwością oczekiwał dzisiejszego wykładu z archeologii Grecji. Tematem była Wyrocznia Apollina. Był ciekaw, jak profesor Dorian Belecamus go poprowadzi.

Wszedł na teren uniwersytetu, kierując się prosto do sali wykładowej. Po dwóch latach studiowania na Sorbonie znał miasto jak rodowity paryżanin. Mimo wszystko jednak zawsze będzie tu obcokrajowcem i nawet lubił ten stan rzeczy.

Był na trzecim roku studiów poświęconych starożytnym językom pisanym. Uczęszczał też na fakultety z archeologii klasycznej Grecji. Pasowały doskonale do jego nauki języka greckiego, a poza tym było jeszcze coś, co zachęcało go do udziału w tych zajęciach - pani profesor.

Wszystko, co jej dotyczyło, od ubrań i perfum do sposobu mówienia i poruszania się, było typowo kobiece. Pod tą osłoną wyczuwał jeszcze siłę i opanowanie, które intrygowały go. Dwoistość kryła się w tajemniczości tej kobiety i właśnie ona definiowała granice jej osobowości: „Zbliżysz się za bardzo i wpadniesz w kłopoty”.

Jak dotychczas nie stanowiło to problemu. Minęło już sporo zajęć i on był jednym z najlepszych. Znajomość języka starogreckiego i dogłębne zrozumienie mitologii powodowało, że wyrastał ponad przeciętność, ale ona zdawała się tego nie dostrzegać.

Parę dni temu podszedł do niej po wykładzie i zadał kilka pytań. Odpowiedziała na nie szorstkim tonem odzwierciedlającym zimną obojętność, kryjącą się w oczach. Indy nie lubił być lekceważony. Powiedział jej, jak bardzo podobają mu się wykłady.

– To miłe - odpowiedziała, po czym przeprosiła go i wyszła z sali.

Dorian Belecamus była Lodowatą Damą. W taki właśnie sposób o niej myślał. Lód jednakże da się stopić, a pod tą grubą ochronną otoczką musiała to być gorąca, przyjacielska kobieta, która tęskni za głębszym uczuciem.

Albo tak mu się zdawało.

Idąc zamyślony, zderzył się z kimś przy wejściu do sali. Zorientował się, że to była ona. Ukucnął, aby podnieść notatnik, który wypadł z ręki profesor Belecamus. Wlepił wzrok w jej smukłe nogi, znajdujące się zaledwie kilka cali od jego twarzy. Zazwyczaj nosiła długą spódnicę, białą bluzkę i welwetową kamizelkę. Tego dnia jednak ubrana była w krótszą, kraciatą spódniczkę, która upodobała ją do studentek.

Ukucnęła i zebrała kartki, które wyleciały z notatnika. Wyprostowali się jednocześnie i Indy spojrzał jej prosto w oczy. Były piękne, duże i ciemne, prawie czarne.

– Przepraszam, nie zauważyłem pani.

– Dziękuję, Jones - przejechała ręką po swoich gęstych kruczoczarnych włosach. Były przewiązane z tyłu kokardą i stanowiły tło dla ujmujących oczu, wysokich kości policzkowych i kształtnych ust.

– Dobrze, że pana spotkałam. Proszę przyjść do mnie po wykładzie. Muszę z panem o czymś pomówić. Obróciła się szybko i weszła na podium. Indy patrzył za nią zdziwiony, że się do niego uśmiechnęła. Rozejrzył się po

sali, oczekując zazdrosnych spojrzeń ze strony mężczyzn i znaczących kiwnięć głową ze strony kobiet. Ale nikt niczego nie zauważył. Rozbił, a przynajmniej naruszył pokrywę lodu otaczającą Dorian Belecamus i nikt się tym nie zainteresował. Co się z tymi ludźmi działo? Byli niewzruszeni jak czaszki wiszące w gablotach na ścianach. Francuzi mieli być przecież wspaniałymi kochankami, a żaden z nich nie dostrzegł niczego ciekawego w swojej profesorce.

Usiadł przy przejściu, otworzył notatnik i zaczął zastanawiać się, o czym mogła chcieć z nim rozmawiać. Nie był w stanie niczego wymyślić.

– Boże, widziałeś, jak ona się dzisiaj ubrała? - szepnęła do niego przeciętnie wyglądająca dziewczyna z sąsiedniej ławki. - Wydaje jej się, że jest jedną z nas.

Nie ma porównania - pomyślał Indy. Dzieli was przepaść. I to wielka przepaść.

– Ale nie jest. Ani trochę - powiedział współczującym głosem. Odwrócił się do swojego zeszytu, przerywając rozmowę.

– Obiekt, który będzie dziś omawiany, jest mi bardzo bliski - zaczęła Belecamus.

– Śmieszne - pomyślał Indy. Bliskie jej było martwe miasto.

– Jako dziecko odwiedzałam ruiny Delf, gdy były jeszcze we wczesnej fazie odbudowy, zaczętej w 1892 roku - spojrzała w stronę drzwi na jakiegoś spóźnionego słuchacza, który spłonął ze wstydu, przytłoczony jej surowym wzrokiem. - Gdy już byłam na studiach, spędzałam tam wakacje, pracując najpierw ochotniczo, później jako płatny asystent. Delfy stały się tematem mojej pracy dyplomowej. Zanim przyjechałam tutaj, przez pięć lat byłam głównym archeologiem w tamtejszych ruinach i współpracowałam z uniwersytetem w Atenach. - Przez chwilę popatrzyła w dal i uśmiechnęła się do siebie. - Kiedyś jeden z moich asystentów popełnił błąd nazywając mnie w żartach Pytią. Jak wicie, Pytia to imię nadawane kolejnym kobietom, które służyły w świątyni Apollina, wyrocznia z Delf. Aby zostać

Pytia, kobieta musiała pochodzić z wiejskiej rodziny, mieć ponad pięćdziesiąt lat i być niezbyt inteligentna - przerwała na chwilę. - Mam nadzieję, że rozumiecie, dlaczego nie byłam zbytnio zadowolona z tamtego komentarza.

Wszyscy na sali wybuchnęli głośnym śmiechem. Belecamus zdecydowanie nie pasowała do przedziału wiekowego i nie spełniała wymogów związanych z poziomem inteligencji. Przypuszczalnie nie pochodziła też z wiejskiej rodziny - pomyślał Indy.

– Pytia przemawiała z ołtarza w świątyni Apollina, gdzie siedziała na złożonym trójnogu ponad szczeliną w ziemi. Z otworu prawdopodobnie unosiły się odurzające opary powodujące, że kobieta wpadała w trans - znów się uśmiechnęła i utkwiała wzrok w Indym. - Jeden ze świadków, żyjący w pierwszym wieku naszej ery, opisał transformację Pytii w następujący sposób: „Jej oczy zabłyśły, piana pojawiła się na ustach, włosy stanęły dęba”. Po tym mogła już odpowiadać na zadawane pytania.

Indy nagle poczuł się tak, jak gdyby mówiła tylko do niego. Jakby reszta studentów przestała istnieć. Zrobiło mu się gorąco. Patrzyli sobie prosto w oczy. Światło spływało po jej czarnych włosach i błyszczało w ciemnych oczach.

– Jej odpowiedzi były zawsze chaotycznym bełkotem, niezrozumiałym dla nikogo z wyjątkiem kapłanów, którzy potrafili go interpretować - Belecamus spojrzała na pozostałych. - A propos, czy ktoś wie, co oznacza słowo Delfy? Panie Jones, jest pan specjalistą od greki. Może pan powie?

A więc zainteresowała się nim i wiedziała, że studiuje język starogrecki.

– To oznacza „miejsce delfina”.

Skinęła głową.

– Okay. Ale proszę powiedzieć, dlaczego tak się nazywa.

Indy poznał mityczną historię Delf już jako dziecko, jeszcze nim dowiedział się, że Grecja to państwo.

– Apollo przybył tam pod postacią delfina.

– I co tam spotkał?

Indy nagle wyobraził sobie, że znów ma dwanaście lat i ojciec przepytuje go z mitów, które polecił mu przeczytać. Ale Dorian Belecamus raczej nie była jego ojcem.

– Smoka o imieniu Pyton. Był to wąż: syn Gai, bogini Ziemi i Posejdona, boga morza. Pyton żył w jaskini i przepowiadał przyszłość poprzez pytyjskie kapłanki.

– I co się później stało?

– Apollo zabił smoka i wrzucił go do rozpadliny w ziemi.

– Dziękuję, panie Jones - odwróciła od niego głowę i rozejrzała się po sali. - Zostawmy teraz mity w spokoju i przejdźmy do historycznej wiedzy o Delfach.

Wyjaśniła, że przez okres prawie tysiąca lat, od około 700 roku przed Chrystusem do 362 roku naszej ery, to górskie ustronie było siedzibą wyroczni. Zeszła z podium i kontynuowała wykład. Było oczywiste, że nie potrzebowała żadnych notatek.

– W okresie swoich największych wpływów Delfy były ośrodkiem władzy w całym basenie Morza Śródziemnego, tworzyły historię tego regionu. Władcy nie podejmowali praktycznie żadnych decyzji bez uprzedniego poradzenia się wyroczni. Nawet sceptyczni filozofowie, łącznie z Platonem i Sokratesem, wysoko cenili wyrocznię. Przez lata w Delfach zgromadziło się dużo złota, marmurowych posągów, malowideł i klejnotów. Wszystko dary od pielgrzymów.

– Czy przepowiednie sprawdzały się? - zapytał jeden ze studentów.

– Właśnie do tego zmierzam. Przepowiednie były często dwuznaczne, różnie interpretowane - powiedziała. Ale jedna z możliwości zwykle się sprawdzała. Dam wam kilka przykładów. Gdy Grecy w 480 roku przed Chrystusem zapytali, jak odeprzeć atak Persów, wyrocznia odpowiedziała, aby ufali „drewnianym ścianom”. Choć długo dyskutowano nad znaczeniem ścian, Grecy skutecznie obronili się flotą drewnianych okrętów.

A więc ci, którzy zinterpretowali „drewniane ściany” jako drewniane okręty, mieli rację - podsumowała. - Kiedy rzymski cesarz Neron usłyszał: „Strzeż się siedemdziesięciu trzech”, pomyślał, że umrze w wieku siedemdziesięciu trzech lat. Tymczasem, gdy miał trzydzieści jeden, został obalony przez Albę, który skończył siedemdziesiąt trzy lata.

– Niektóre przepowiednie sprawdzały się tylko w tym drugim, przenośnym znaczeniu - kontynuowała. - Krezus, na przykład, dowiedział się, że gdy zaatakuje sąsiedniego Cytrusa, wtedy zniszczy potężne cesarstwo. No i zniszczył: swoje własne.

Akurat - pomyślał Indy. Wątpił w to, że Platon czy Sokrates dbali o zdanie wyroczni. Chwalili ją, ponieważ była religią tamtych czasów. Drogo by ich kosztowało zakwestionowanie jej autorytetu.

Indy wiedział, że potężni kapłani, którzy interpretowali bełkot Pytii, znajdowali się w samym centrum amfiktionii, związku greckich miast-państw i byli dzięki temu doskonale poinformowani o najważniejszych sprawach regionu. Po prostu korzystali z wyroczni, aby stworzyć pozory prawdy dla swoich planów. W efekcie kobieta zwana Pytią była tylko rytualnym narzędziem bez większego znaczenia.

Wiedział też, że jego ojciec wrzeszczałby na niego, gdyby kiedykolwiek mu to powiedział. Zredukowanie wyroczni Apollina do formy politycznej korupcji obdartej z całego mistycyzmu było herezją. Przez całe swoje dzieciństwo Indy obserwował jak mity pochłonęły jego ojca, stały się jego życiem.

Podniósł rękę.

– Czym były opary, które Pytia wdychała?

Belecamus wydawała się być rozbawiona pytaniem.

– Ach, legendarne „gazy mefityczne”, jak je nazywano. Kto to wie? Legenda mówi, że pochodzą z gnijącego ciała Pytona.

– Na szczęście naukowcy nie wierzą w mity i legendy - odparł Indy. - Tu właśnie leży różnica pomiędzy religią a nauką.

Belecamus stanęła przed nim. Jej kształtne, opalone nogi, nagie prawie do kolan, przyciągały wzrok Indy'ego. A więc czym według pana mogły być te opary?

Oderwał oczy od jej nóg. Przez chwilę nie odpowiadał. Jej bliskość onieśmiewała go. Odkasznął i zastanowił się. Rzuciła mu wyzwanie i chce się z nim zmierzyć.

– Najprawdopodobniej były to dymy palonych kadzideł i liści laurowych. Pytia, aby wejść w trans, wdychała mieszaninę i żuła narkotyczne liście laurowe. Te tak zwane opary były dla kapłanów jeszcze jednym sposobem mistyfikacji i rytualizacji własnych działań.

Belecamus skrzyżowała ręce.

– Myśli pan bardzo racjonalnie, panie Jones. To dobrze. Ale w archeologii trzeba czasami puścić wodze wyobraźni. Mity są często drogą do prawdy i zrozumienia.

– Mogą też wprowadzać w błąd i zbyt często uważane są za samą prawdę - odpowiedział. - Nawet przez inteligentnych ludzi.

Przez jego ojca, na przykład.

Belecamus uśmiechnęła się i wróciła na podium.

– Dobrze powiedziane. Mam nadzieję, że wszyscy tu rozumieją podwójną naturę mitów.

Gdy wykład zbliżył się do końca, Belecamus powiedziała, że chce coś ogłosić:

– Ta prelekcja, jak wiecie, była zapowiedziana już kilka tygodni temu. W dziwny sposób jednak zbiega się z pewnym wydarzeniem w samych Delfach. Dwa dni temu było tam niewielkie trzęsienie ziemi.

– Dużo jest zniszczeń? - zapytał ktoś.

– Rozszerzyła się szczelina w świątyni Apollina. Ale dzięki temu dokonano pewnego odkrycia: zauważono, że we wnętrzu rozpadliny znajduje się kamienna tablica.

– Co na niej jest? - spytał ktoś inny.

– Jeszcze nie wiadomo. Niedługo wyjeżdżam do Delf. Dlatego też pozostające do końca semestru wykłady poprowadzi mój asystent.

Indy poczuł nagle pustkę w piersiach. Brak jakiegokolwiek życia, jak gdyby ktoś wyrwał mu serce.

– Chciałabym życzyć wam wszystkiego najlepszego w dalszej nauce. Jesteście dobrymi studentami. Będzie mi was brakowało.

Wszyscy zaczęli klaskać. Po kolei podchodzili do profesor Belecamus i życzyli jej wszystkiego dobrego. Indy pozostał na swoim miejscu. Wreszcie, gdy ostatni student opuścił salę, wstał i podszedł do podium.

– Panie Jones, będzie pan miał chwilę czasu? Może ma pan jeszcze jakieś zajęcia? Albo narzeczona czeka?

– Ależ nie. Mam czas.

– To dobrze. Prosiłam, żeby pan poczekał, ponieważ chciałam powiedzieć panu coś więcej o moich najbliższych planach. - Wbiła w niego wzrok. Jej spojrzenie było tak przenikliwe i poufale, jakby brała go w objęcia. - Byłby pan zainteresowany wyjazdem do Delf w charakterze mojego asystenta?

– Ja?

– Tak. Jest pan moim najlepszym studentem, a ja będę potrzebowała do pomocy kogoś, kto nie jest związany z uniwersytetem w Atenach. Rozumie pan, polityka.

– No cóż, ech, nie jestem pewien, czy będę mógł tak natychmiast wyjechać - rzekł niepewnym głosem. - To znaczy, tak w środku semestru.

Machnęła ręką.

– Proszę się nie martwić. Załatwię wszystko z uniwersytetem. Mój nagły wyjazd został zaaprobowany, a pan może uzyskać pozwolenie na naukę w terenie. Koszt pańskich studiów zostanie pokryty przez budżet badań. Co pan na to?

Indy nie był pewien, co odpowiedzieć. Z jednej strony cieszył się niesamowicie. Z drugiej natomiast irytowało go jej stwierdzenie, że może

wszystko tak po prostu rzucić. A poza tym archeologia nie była jego głównym kierunkiem studiów.

– Trochę nagła propozycja.

Zbliżyła się do niego i uśmiechnęła.

– Ale warto z niej skorzystać, Henry.

Chciał ją poprawić, powiedzieć jej, żeby nazywała go Indy, że Henry to jego ojciec. Ale już sam fakt, że użyła jego imienia, był wielkim przełomem. To tak, jakby została przekroczona niewidzialna granica pomiędzy studentem a profesorem.

Mówiła, żeby traktować ją jak równą sobie, ale to były tylko słowa. Od pierwszych wykładów dała do zrozumienia, że nie jest im równa. Nie tylko poznawała archeologię Grecji od najmłodszych lat, ale i wychowywała się w greckiej kulturze. To było w jej krwi. Na wykładzie była autorytetem, żywą skarbnicą wiedzy. Oni mogli jedynie chłonąć tę wiedzę.

A teraz dawała mu coś w rodzaju jedynej w życiu szansy. „Warto skorzystać”. Oczywiście chodziło jej o możliwość pracy w Delfach, ale czy nie miała na myśli czegoś więcej? A może to jemu się tylko zdawało?

– Muszę się zastanowić. To może być. interesujące - takie słabe słowo, ale inne nie przyszło mu do głowy.

– Tylko nie zwlekaj zbyt długo, Henry - powiedziała cicho. - Okazje takie, jak ta, nie zdarzają się codziennie.

4.

Dadaści i jazz

Indy otworzył drzwi „Dżungli”, kawiarni na Montparnassie. Było jeszcze wcześniej. Odetchnął z ulgą widząc, że stoły przy drzwiach, zajmowane zwykle przez dadaistów, stały puste. Nie miał nastroju do wysłuchiwania ich kpin. W większości byli to aroganccy cynicy, których zabawą było obrażanie każdego, kto wchodził do lokalu.

Rozejrzał się wokoło. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do przyćmionego światła. Sufit kawiarni pokryty był płytami miedzianymi, a ściany boazerią. Nad głowami zwisało kilka ciężkich wiktoriańskich żyrandoli. Całe pomieszczenie otaczała antresola ze stolikami. Przy jednej ze ścian znajdowała się mała drewniana scena. Wiszący nad nią reflektor oświetlał czerwonym światłem pianino i perkusję.

Tylko kilka stołów było zajętych. Przy jednym z nich Indy dostrzegł samotną postać w skupieniu piszącą coś na kartce papieru. Światło ze świeczki wetkniętej w butelkę po winie padało na rude włosy mężczyzny. Indy podszedł do niego i przysunął sobie krzesło.

– Cześć, Jack.

– Cześć, Indy - rzekł Shannon, nie odrywając wzroku od kartki. -
Wcześniej przyszedłeś.

– Wiem.

Usiadł na krześle i patrzył, jak kosmyk rozwichrzonych włosów Shannona zwisa niebezpiecznie blisko płomienia świeczki. Minął już rok, odkąd jego dawny towarzysz z college’u przeniósł się do Paryża po tym, jak rzucił pracę w Chicago. Mimo że dotrzymał układu z rodziną i nie grywał w klubach, to jednak trenował nocami w swoim mieszkaniu, zbierał

nowe płyty z jazzem i przez cały czas odkładał pieniądze, planując wyjazd do Paryża.

– Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

– Nie ma sprawy - Shannon wreszcie oderwał wzrok od papieru. - Co cię trapi?

Powiedział Shannonowi o propozycji Belecamus.

– To wyszło dopiero dzisiaj i nie wiem jeszcze, co robić.

Shannon odłożył ołówek na stół.

– Postawię ci drinka, będziesz go potrzebował - uniósł rękę, przywołał barmana i zamówił dwa pernody.

– Opowiedz mi o tej kobiecie. O tej twojej profesorce.

– Nie ma co opowiadać. Nie znam jej zbyt dobrze - niewielki uśmiech wykrzywił jego usta. - Jak na razie.

Shannon miał poważną minę.

– Na twoim miejscu popytałbym się trochę, zanim bym podjął decyzję. Powinieneś dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Shannon - analityk.

– Daj spokój. Myślisz, że ona wymyśliła sobie to wszystko po to, aby w środku semestru pojechać do Grecji i zabrać mnie ze sobą?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że ona może cię wykorzystać.

– Jack, na miłość boską, nie jesteśmy w Chicago wśród gangsterów.

Shannon spojrzał na niego ze smutkiem i Indy poczuł, że nie powinien być tego mówić.

– Przepraszam. Ale gdybyś siedział na jej wykładach, to byś zobaczył, że to do niej nie pasuje. Ona jest poważna, inteligentna.

– I ładna - dodał Shannon. - Zgadza się?

– To też.

– Uważaj na siebie. To wszystko jest dla mnie trochę zbyt podejrzane.

– Dlaczego?

– Posłuchaj, gdybyś był studentem archeologii, to wcale bym się nie zastanawiał. Ale nie jesteś.

Indy wzruszył ramionami.

– To jest dla mnie okazja i to niezła. Nie chcę jej odrzucać z powodu jakichś niejasnych podejrzeń.

Shannon uniósł ręce.

– Hej, nie chcę ci niczego narzucać. Po prostu mówię, co myślę.

– Dobrze wiesz, że kariera naukowca niezbyt mi się podoba. Może to jest właśnie to, czego szukałem: życie z odrobiną przygody.

– Nie wiem, jakie to życie, ale ta profesor na pewno będzie przygodą. Może właśnie tego ci trzeba.

Gdy przyniesiono im drinki, Indy rozejrzał się wokoło. Zdziwił się, widząc, że tyle stołów było zajętych. Zupełnie jakby tłum wyszedł gdzieś ze ścian.

– Za Grecję - Shannon wzniósł toast. - Miejmy nadzieję, że wszystko się uda.

Indy napił się pernoda i kiwnął głową w stronę kartki leżącej przed Shannonem.

– Co piszesz?

– Piosenkę.

– Piosenkę? Dla zespołu?

– Pewnie.

– Kto będzie śpiewał?

„Zespół” składał się z Shannona grającego na trąbce, pianisty z Brooklynu, którego zawodowe doświadczenie ograniczało się do występów w barach, i paryskiego perkusisty, który nie grał jazzu, dopóki nie usłyszał nagrań Shannona. Z tego co Indy wiedział, żaden z nich nie śpiewał. Shannon wziął do ręki kartkę i zaczął się nią wachlować.

– Szukam wokalistki. Musi być naprawdę ekspresyjna i mieć głęboki głos. Żadnych sopranów. Gdybyśmy byli w Chicago, mógłbym pójść do

Gardens albo do Dreamlandu i wybierać spośród tamtejszych pań.

– Tak. Niestety, rzadko która przyjeżdża do Paryża.

– Och, będą tu, Indy - pochylił się nieznacznie. W jego oczach zajaśniało podniecenie. - Zobacz, jakie tłumy zbierają się, aby nas posłuchać. Ludzie w tym mieście są spragnieni jazzu. Wiele zespołów będzie tu przyjeżdżać. Zobaczysz. Posłuchaj i powiedz, co o tym myślisz. Nazywa się *Down in the Quarter* - spojrzął w tekst i zaczął recytować:

*You know I fled Chicago
Late in twenty-one.
Floated on 'cross the water,
And never did see the sun.
Finally landed in the Quarter,
Left side of the Seine.
But found so many Americans
thought I was back from where I came.
Down in the Quarter;
Down in the Quarter.
Meet you tonight Down in the Quarter.*

Shannon wzruszył ramionami.

– Na razie to wszystko, co mam.

– Dlaczego nie napiszesz: *thought I was going insane* w ostatnim wersie w pierwszej zwrotce zamiast: *back from where I came?*

– Ponieważ to nieprawda. A poza tym rytm się nie zgadza.

Indy skinął głową.

– Podoba mi się. Nie wiedziałem, że piszesz piosenki.

– Na razie to tylko słowa na papierze, ale mam już w głowie kilka niezłych melodii. Muszę jeszcze znaleźć wokalistkę.

Indy zaczął się śmiać.

– Zdaje się, że szukasz kogoś więcej niż tylko wokalistki.

Odwrócili się, słysząc awanturę przy drzwiach. Krzesła trzeszczały. Ludzie wrzeszczeli. Indy spoglądał przez ramię.

– Co tam się dzieje?

– Chyba się kłóca o stół.

– Dadaści. Powinienem się od razu domyślić - powiedział Indy cierpko.

Zajęli dwa stoliki przy samych drzwiach. Jeden z mężczyzn walił pięścią w blat i wykrzykiwał coś, co brzmiało jak: zar... zar... zar... Inny mężczyzna grzmiał: arf. arf. arf.

– Co oni mówią?

– Tzara i Arp. Tristan Tzara jest poetą. Jean Arp to artysta. Słyszałem, że mają tu dzisiaj przyjść.

– A więc to będzie dadaistyczny wieczór - rzekł Indy bez entuzjazmu.

Shannon dopił drinka.

– Nie są tacy źli. Czasami tylko nie podobają im się ludzie, którzy zachowują się zbyt tradycyjnie.

– Ludzie, którzy wchodzą tymi drzwiami - zauważył Indy.

– Oni robią coś nowego, Indy. Czasami potrzeba, aby tacy ludzie obudzili nas.

– Zgadzam się, ale oni są tak samo uzależnieni od tradycji, jak wszyscy inni. Może nawet bardziej.

– Co ty mówisz?

– Gdzie oni by byli bez tradycji, Jack? Gdyby nie było tradycji, nie istniałyby podstawy dla ich sztuki.

Shannon uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Tak, chyba masz rację. Ale, jak powiedziałem, potrzebujemy ludzi, którzy nauczą nas przełamywać stare stereotypy. Jeżeli nie zmienimy się wkrótce, to wpadniemy w kolejną wojnę.

– Ty też je przełamujesz, Jack, a jakoś nie plujesz na księży i zakonnice. W jaki sposób takie zachowanie uchroni nas od wojny?

– Indy, oni pluli na własnych przyjaciół. Wiesz, że to był tylko pokaz. Byli poprzebierani za księży i zakonnice. - Shannon podniósł się. - Zostaniesz jeszcze?

– Tylko chwilę.

– Poważnie myślisz o tej Grecji?

– Nie wiem, Jack. Muszę się jeszcze zastanowić.

Poklepał Indy'ego po ramieniu.

– Coś mi się zdaje, że jednak tam pojedziesz.

W lokalu zrobiło się tłoczno. Zespół wykonał już połowę utworu. Kiedy solówka Shannona dobiegła końca, Indy opróżnił drugą szklankę pernodu. Zielony, pachnący lukrecją napój zaczął na niego działać. Postanowił się przejść. Nie był pewien, czy iść po jeszcze jednego drinka, czy opuścić lokal.

Założył swoją skórzaną kurtkę i zaczął szukać kapelusza. Zajrzał pod stół, zerknął na sąsiednie krzesła. Nagle poczuł go na głowie. Tak, najwyższy czas wyjść na zewnątrz. Wyprostował się i spojrzał na scenę. Shannon właśnie zapowiadał następną piosenkę:

– Po raz pierwszy usłyszałem to w miejscu zwanym Dreamland, w Mieście Wiatrów - mówił, w czasie gdy Indy przeciskał się między stolikami. - Grała ją kapela Freddiego Kepparda. Kep nie nagrywa swoich piosenek. Boi się, że ludzie będą kradli jego muzykę. Ma rację, ponieważ ja zapamiętałem tę melodię. Zaczynała się jakoś tak.

Rozbrzmiały pierwsze dźwięki utworu. Gdy Indy podchodził do drzwi, zaczęli mu się przyglądać dadaiści.

– Hej ty, skąd wytrzasnąłeś tę kurtkę? - zawołał jeden z nich. - Wylazłeś z bombowca?

Wszyscy przy dwóch stolikach zaczęli wrzeszczeć: Arp, Arp, Arp. Jak stado fok - pomyślał Indy. Przeklęta zbieranina.

– Masz coś przeciwko naszym niemieckim braciom? - wrzasnął inny.

– Zachowaj to dla starszych pań albo dla zakonnicy - odburknął Indy i ruszył dalej. Już miał otworzyć drzwi, gdy coś uderzyło go w plecy. Poczł na szyi krople alkoholu. Zatrzymał się i odwrócił.

– To dla matki Czerwonego Barona - darł się człowiek w okularach zza stołu po lewej stronie.

– Tzara, Tzara, Tzara, Tzara - wył tłum.

Indy podszedł do mężczyzny i wyciągnął spod niego krzesło. Potem chwycił za brzeg stołu i postawił go na kancie. Drinki wylądowały na podłodze. Butelka po winie ze świecą w środku stłukła się. Na chwilę rozblęsnął płomień, lecz zaraz zgasł.

Muzyka ucichła i wszyscy w lokalu patrzyli, co się dzieje. Przez długą chwilę nikt się nie ruszał. Zapadła grobowa cisza. Nagle zagrzmiął głos ze sceny.

– To mój przyjaciel z samego Chicago, Indiana Jones - powiedział Shannon. - Któregoś dnia przewrócił stół w południowej dzielnicy, ale swój własny. Chyba szukał kapelusza.

– Co za dupek - powiedział ktoś.

– Hej, postaw nasz stół na miejsce.

Indy zaczął wycofywać się w stronę drzwi, ale Shannon jeszcze nie skończył. - Innym razem, to jest prawdziwa historia, powiesił na latarniach w Chicago kukły George'a Washingtona, pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, i jego trzech kamratów. Wyobraźcie to sobie. No, ale miał swoje powody. Kiedy następnym razem będziecie burzyć Bastylę, uważajcie na niego.

Indy uśmiechnął się, pomachał kapeluszem w stronę sceny i wyszedł z „Dżungli”. Gdy szedł ulicą, czuł wilgoć na szyi i włosach. Ale nie przejmował się tym. To była jego własna wina. Dlaczego sprowokował tych drani? Mógł ich zignorować i wyjść. Zamiast tego włączył się do ich gry i zrobił właśnie to, czego chcieli: zareagował.

Kręcił się bez celu po okolicy. Jego myśli krążyły od dadaistów do decyzji, którą musiał podjąć. Może nadszedł czas, aby wyjechać z Paryża. Potrzebował odmiany. Potrzebował czegoś.

Minął kino z plakatami reklamującymi filmy z serii *Paulina w niebezpieczeństwie*. Zwolnił kroku i spojrzał na afisz ukazujący blondynkę zwisającą z urwiska, utrzymującą się na koniuszkach palców. Uśmiechnął się. Wychował się na takich filmach. Paulinie nigdy nie stało się nic złego. Jeśli nie wisiała na linie z lecącego samolotu lub nie stała przed pędzącą lokomotywą, to uwięziona była wśród jadowitych węży, zapadała się w ruchomych piaskach lub leżała w lochu, skuta łańcuchami. Zerknął na inny plakat obwieszczający przyszłe atrakcje: *Promień śmierci, Zatruty pokój i Krwawe kryształy*. Już go nie będzie, gdy te filmy wejdą na ekran - pomyślał. Ruszył dalej. Zdecydował się już na wyjazd.

Spacerował prawie przez godzinę i w końcu znalazł się z powrotem na Montparnassie, w pobliżu klubu tanecznego. Wiedział, że zatrzymał się tu, ponieważ był to ulubiony przez Madelaine *bal musette*, pierwszy, który przeniósł się tu z dzielnicy Luxembourg. Niedługo wszystkie znajdą się w tej okolicy. Popularne trendy zawsze podążały za artystami, a oni byli tu już dobrze zakorzenieni, tak jak impresjoniści w zeszłym stuleciu na Montmartre.

Wewnątrz klubu tańczono fokstrota przy akompaniamencie akordeonu i skrzypiec. Przebywali tu ludzie młodzi i dobrze wychowani, w porównaniu do tych z „Dżungli” czy innych lokali. Na parkiecie mężczyzna nigdy nie rozmawiał z kobietą, którą poprosił do tańca. To było uważane za niezręczność. W pewnym sensie niewiele się zmieniło od czasów menueta.

– Indy, dawno cię nie widziałam. Jak się masz? - rzekła Madelaine swym piskliwym głosem. Odwrócił się w jej stronę, a ona pocałowała go w policzek. Jak zwykle była wesoła i pełna entuzjazmu. Krótkie, kręcone włosy okalały jej wyrazistą twarz, zmiękczając rysy.

– Dobrze. A ty? - przeklinał w duchu, że nie zauważył jej pierwszy. Nie oczekiwał, że ją spotka i nie miał zbytnio ochoty z nią rozmawiać. Teraz jednak nie miał wyboru.

– Wspaniale, i to jest wspaniała noc - przechyliła głowę, wsłuchując się w melodię nowej piosenki. - Chcesz zatańczyć? - chwyciła go za rękę. Zrobiła kilka kroków, a jej ciało zaczęło się kołysać przed nim.

– Nie, dzięki. Nie jestem dziś w nastroju do tańca.

– Madelaine tryskała życiem i udawała, jakby nic między nimi nie zaszło.

– Nie umiesz się bawić, Indy - zrobiła kwaśną minę.

– Wyjeżdżam do Grecji - wyjął, jak gdyby nadchodząca podróż mogła uczynić go bardziej interesującym dla niej.

– Co? Do Grecji? Wyśmienicie. Możesz mnie z sobą zabrać? Bardzo bym chciała zobaczyć Grecję.

Krótką pamięć - pomyślał.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie chciałaś się ze mną widywać, ponieważ nasz związek stawał się zbyt poważny - rzekł. - Chciałaś być wolna. Chyba tak to przedstawiłaś.

– No i jestem wolna. Nie musimy brać ślubu, aby zobaczyć Grecję, prawda?

– To będzie wyprawa archeologiczna do Delf. Będę tam pracował i nie mogę ze sobą nikogo zabrać.

– Och, więc to ty potrzebujesz wolności!

Indy wyszczerzył zęby.

– Właśnie.

– Madelaine, tu jesteś - powiedział zbliżający się do nich mężczyzna. Zerknął na Indy'ego. - Jonesy, co za niespodzianka. Zostawiłaś te swoje martwe języki? - ponownie spojrzął na Madelaine. - Zatańczymy, kochanie?

Indy wiedział, że ten przystojny młody Brytyjczyk nazywa się Brent. Był jednym z adoratorów Madelaine. Podobnie jak ona, zdawał się nie

robić nic poza przebywaniem w klubach tanecznych i kawiarniach, wciąż w tym samym towarzystwie. Takich jak on było mnóstwo w tej dzielnicy. Mając do wyboru: spędzenie wieczoru z Brentem i jemu podobnymi lub obrażanie przez dadaistów, Indy długo by się zastanawiał.

– Brent, zgadnij, co się stało. Indy jedzie do Grecji, do miejsca zwanego Delfy i nie chce mnie ze sobą zabrać - jej głos stał się jeszcze bardziej piskliwy.

Brent wzruszył ramionami.

– Mogę cię zabrać do Grecji, kiedy tylko będziesz chciała, kochanie. Paryż staje się straszliwie nudny. Ale chodźmy teraz zatańczyć. Moje nogi nie chcą stać w miejscu.

Madelaine została porwana na parkiet. Odwróciła głowę, uśmiechnęła się i pomachała ręką, a potem zniknęła w tłumie.

Indy’emu zrobiło się niedobrze. Dlaczego nie zostawi swojej przeszłości w spokoju? Jeszcze bardziej niż kiedykolwiek pragnął ruszyć w przyszłość.

– Żegnaj - powiedział bez żalu w głosie i odwrócił się.

5.

Spotkania

Gdy Indy zakładał buty i kurtkę było już prawie południe. Zwykle w soboty brał książkę i szedł na lunch do Deux-Magots. Tego dnia jednak pójdzie do Le Dome, kawiarni, którą Dorian Belecamus zaproponowała na miejsce spotkania. Miała odpowiedzieć na jego pytania, a on podejmie decyzję. Wszystko wyglądało tak prosto. Indy jednakże miał przeczucie, że to nie będzie ani łatwe, ani proste.

Z haka na ścianie zdjął kapelusz. Pod nim wisiał zwinięty bicz, jedyna ozdoba jego dwupokojowego mieszkania. Apartament znajdował się nad piekarnią na ulicy Bonapartego, niedaleko Sorbony. W jednym pomieszczeniu była kuchnia z lodówką, kuchenką gazową i kredensem. W drugim znajdował się stelaż z materacem, drewniany stół z dwoma krzesłami i niewielka biblioteczka zapełniona książkami. Mieszkał tam już dwa lata, a apartament wyglądał praktycznie tak samo jak w dniu, w którym się do niego wprowadził.

Schodząc po schodach, zaciągnął się głęboko powietrzem, ale kuszący zapach pieczonych smakołyków był nikły. Zazwyczaj gdy szedł na zajęcia, zapach był tak silny, że Indy kupował kilka bułeczek i natychmiast je zjadał. Tego ranka jednak spał długo po tym, jak siedział do trzeciej w nocy nad lekturą *Ulisses*a. Gdy skończył czytać i zasnął, śnił o Madelaine i Belecamus, ale obie kobiety znajdowały się w Dublinie i miały te same obawy, co Molly Bloom, bohaterka Jamesa Joyce'a.

Gdy szedł w stronę Montparnassu, myślami błądził wokół decyzji, którą będzie musiał podjąć w ciągu kilku następnych godzin. Zeszłej nocy zdawało mu się, że już się zdecydował, ale teraz nie był tego pewien.

Oczywiście, Grecja to niespotykana okazja. Ale czy powinien z niej skorzystać? Jeśli nawet dostanie pozwolenie na studiowanie archeologii w terenie, to i tak będzie musiał powtarzać inne przedmioty. W pewnym sensie poniesie stratę.

A poza tym w jakim celu ma to robić? Czy naprawdę interesuje go kariera archeologa? A może po prostu intryguje go Dorian Belecamus? Faktem było, że oba argumenty liczyły się, ale Indy wątpił, żeby którykolwiek z nich oferował perspektywę na dłuższe zajęcie. Już dwa lata poświęcił na lingwistykę. Ile jeszcze musiałby poświęcić, aby zostać archeologiem? To nie miało sensu.

Gdy dotarł do Le Dome, rozejrzał się wokoło. Pomimo chłodnej, jesiennej pogody kilka stolików na zewnątrz było zajętych, prawdopodobnie przez turystów, którzy słyszeli, że Francuzi zawsze jadają na chodnikach. Aby im było cieplej, w kilku kotłach żarzyły się węgle, ogrzewając powietrze. Indy nie miał nic przeciwko stolikom na zewnątrz, ale tylko pod warunkiem, że pogoda jest znośna.

Wszedł do środka i przyjrzał się klientom. Był kilka minut przed czasem i najwidoczniej Belecamus jeszcze nie przybyła. Jego wzrok spoczął na mężczyźnie w tweedowej marynarce, który siedział samotnie przy stoliku. Obok leżała książka, a on trzymał ołówek nad notatnikiem. Wyglądał znajomo i zaczął wpatrywać się uważnie w Indy'ego.

Ich spojrzenia spotkały się. Indy odwrócił głowę, po chwili znów zerknął na nieznajomego. Mężczyzna wstał z miejsca i przeciskając się między stolikami, szedł w jego kierunku. Kto to jest? Pisarz, którego kiedyś poznał? Pewnie szuka frajera, który postawi mu drinka. W takim razie pomylił się.

– Henry Jones, mój Boże. Jak się masz?

Indy wpatrywał się w niego przez chwilę, aż wreszcie skojarzył nazwisko z twarzą.

– Profesor Conrad. Co pan tu robi?

Conrad uśmiechnął się.

– Chodź, usiądźmy. To długa historia.

Indy rozejrzał się, czy nie ma Belecamus, po czym udał się za Conradem do jego stolika.

– Jestem umówiony tu na lunch, ale ona jeszcze nie przyszła.

– Posiedź tu do jej nadejścia. Albo lepiej przyłączcie się do mnie oboje.

Gdy Indy usiadł, pojawił się kelner. Zamówili dwie filiżanki *café au lait*. Jego dawny profesor od historii niewiele się zmienił w ciągu tych dwóch lat. Piaskowe włosy były uczesane w ten sam sposób, niebieskie oczy wciąż tryskały życiem i entuzjazmem, a wąsy ciągle opadały na końce ust. Wyglądał jednak jakoś mniej formalnie, swobodniej, był bardziej zrelaksowany, zupełnie jak gdyby znalazł w Paryżu coś, o czym w Stanach nawet nie marzył.

– Cieszę się, że pana widzę - rzekł Indy. - To miła niespodzianka.

– Wiesz, myślałem o tobie, gdy wyjechałeś.

Zważając na sytuację, w jakiej ostatnio widział Conrada, nie wiedział czy to był komplement, czy nie.

– A więc dlaczego pan nie uczy?

– Mulhouse nie chciał przedłużyć mojego kontraktu, który wygaś zeszłego lata.

– Dlaczego nie chciał? Jest pan świetnym nauczycielem. Prawdopodobnie najlepszym, jakiego miałem w college'u.

– Dzięki, Jones - przejechał ręką po włosach. - Mulhouse nigdy nie podał mi powodu - wzruszył ramionami. - Wcale nie musiał. Chciał się mnie pozbyć już od czasu tej afery z Dniem Ojców Założycieli.

Nic dziwnego, że myślał o nim.

– Przykro mi. Zdaje się, że mój głupi dowcip miał więcej reperkusji, niż to sobie wyobrażałem.

– To nie twoja wina - uśmiechnął się i pochylił nieznacznie. - Od tamtego momentu opowiadałem na lekcjach o twoim szczególnym sposobie

obchodów tego święta. Zawsze przedstawiałem tę opowieść jako zabawną historię i najwidoczniej musiała dotrzeć do uszu Mulhouse'a.

– A więc od jak dawna jest pan tutaj?

– Dopiero od kilku dni. Piszę powieść, której akcja dzieje się w Paryżu w czasie rewolucji.

– To jest miasto pisarzy. Zdaje się, że w każdej kawiarni siedzi jakiś autor.

– Wiem. Któregoś dnia spotkałem Bootha Tarkingtona. Porozmawiałem z nim trochę - stuknął palcem w książkę leżącą na stole. - Kupiłem potem jedną z jego powieści. *Siedemnaście*. Czytałeś ją?

– Kilka lat temu. - Opowiadała o amerykańskim chłopcu wkraczającym w dojrzałość; to wszystko, co sobie przypominał. Pamiętał też że chłopak miał młodszą siostrę, która jadła chleb z kompotem jabłkowym. - Widziałem tu Jamesa Joyce'a.

– Naprawdę? - Conrad rozejrzał się, jakby oczekując, że ujrzy irlandzkiego pisarza. Nagle jego wzrok spoczął na kimś zbliżającym się do stołu.

– Henry Jones. Tu jesteś - Indy odwrócił się i ujrzał Dorian Belecamus. Miała na sobie niebieski kostium i biały kapelusz. Tak jak Conrad, zostawiła gdzieś swój nauczycielski wygląd. Obaj panowie wstali z miejsc i Indy przedstawił profesorów.

– I oboje nazywajcie mnie Indy. Henry to imię mojego ojca.

Belecamus wyglądała na zniecierpliwioną; rozglądała się, jakby chciała znaleźć inny stół.

– Zdaje się, że wszystko jest zajęte - powiedział Conrad chłodno, reagując na jej zachowanie. - Możecie się przyłączyć do mnie na lunch.

– Och, nie chciałabym sprawiać kłopotu - odparła.

– Ależ to nie jest kłopot.

Zdając sobie sprawę, że nie było innego wyjścia, skinęła głową i usiadła. Indy zaczął rozmowę, opowiadając Belecamus o lekcjach historii

prowadzonych przez Conrada i o przyczynie straty pracy. Na początku Belecamus była obojętna, ale gdy Conrad zaczął uzupełniać opowieść szczegółami epizodu wiszących bohaterów, jej zainteresowanie wzrosło. Przyjrzała się uważniej Indy'emu i spytała o reakcję dyirekcji i o to, jak sobie z tym poradził.

Kiedy podszedł kelner, Indy i Belecamus zamówili ostrygi i *pommes frites*, a Conrad jeszcze jedną kawę z mlekiem.

– W Grecji nie byłoby żadnych dyskusji - rzekła Belecamus, gdy kelner odszedł. - Poszedłbyś do więzienia, gdybyś powiesił kukłę któregoś z naszych przywódców. Nie obawiałaś się konsekwencji?

– W czasie wieszania nie. Dopiero później.

Potrząsnęła głową.

– A więc dlaczego to zrobiłeś?

– Chciałem coś pokazać.

– Ale również najadłeś się przez to strachu, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Chyba tak - nigdy nie ubrał tego w słowa, ale właśnie tak to przeżył.

Zaśmiała się. Był to pełny, gardłowy dźwięk. Cudowny.

– Masz w sobie żyłkę szaleństwa. Coś z buntownika - odchyliła się do tyłu. - Indy - słowo to zabrzmiało w jej ustach jak muzyka. - Nigdy nie słyszałam takiego imienia, ale mi się podoba. Ty możesz nazywać mnie Dorian.

Musnęła jego dłoń, pochylając się do przodu. Krótkie, rozmyślne dotknięcie, które odczuł na całym ciele, niczym łagodny przepływ prądu. To nie było dotknięcie samo w sobie, lecz świadectwo tego, że Lodowata Dama nie była tak niedostępna, jak mu się zdawało.

Conrad spojrział na nich z ciekawością, ale nic nie powiedział. Indy, jak dotąd, jeszcze nic nie wspomniał o zbliżającej się wyprawie do Grecji, a Conrad był niewątpliwie zaintrygowany ich związkiem. Indy opowiedział więc o ofercie Belecamus.

- Delfy. Brzmi fascynująco - pokiwał ze zrozumieniem głową.
- To jak, przyjmujesz propozycję pani profesor?
- Jeszcze się nie zdecydowałem.
- Dlaczego nie? - zapytała Belecamus.
- Studiuję lingwistykę, a nie archeologię. Stracę cały semestr. Nie wiem. Nie jestem pewien, co chcę robić.

Odwróciła wzrok i spojrzała w stronę wyjścia, jakby żałowała, że wciąż jeszcze siedzi. - Wy, Amerykanie - powiedziała wzdychając. - Wy jesteście tu przejazdem. Pisarze, artyści, studenci. Jesteście szczęśliwi. Możecie żyć sobie w innym kraju i być razem ze swoimi rodakami. Mimo to, większość z was wciąż narzeka. Jesteście taką niezadowoloną gromadą, zagubieni w morzu kultury.

W jej głosie nie było złośliwości; ona po prostu stwierdzała fakty tak, jak je postrzegała.

Indy zaczął zaprzeczać, ale pojawił się kelner z zamówionymi daniami. Przez chwilę jedli w ciszy, która stała się nieco kłopotliwa. W końcu Belecamus ugryzła ostrygę i wskazała widelcem na Indy'ego.

– Mówisz, że interesujesz się archeologią już od dzieciństwa. Dlaczego więc studiujesz lingwistykę?

– Mój ojciec wcześniej zaczął mnie uczyć języków. Języków i mitów. Przez kilka tygodni mówił do mnie tylko po francusku, innym razem po hiszpańsku, niemiecku. Kiedy miałem dziewięć lat, przez godzinę dziennie, po szkole, uczyłem się łaciny. Gdy skończyłem dziesięć, znałem już wszystkie mity greckie. Zawsze powtarzał, że przygotowuje mnie do kariery naukowca, lingwisty.

Odetchnęła i pokręciła głową.

– To twój ojciec. A ty? Co ty chcesz robić?

Sposób, w jaki to powiedziała, zaniepokoił go, ale tylko dlatego, że odzwierciedlał jego własne uczucia.

– Coś ekscytującego. Nie chciałbym raczej spędzić reszty życia w bibliotekach, ślęcząc nad manuskryptami martwych języków.

– Więc dlaczego nie przestawisz się na archeologię? - zapytał Conrad. - Będziesz miał więcej urozmaicenia.

– Nie chcę być również przez całe życie studentem.

Belecamus odsunęła talerz na bok.

– Posłuchaj, Indy. Jeśli tablica, która została odkryta w Delfach ma jakieś znaczenie, a mam przeczucie, że tak jest, to będziesz mógł wykorzystać ją jako podstawę swojej pracy dyplomowej. Az twoją wiedzą doktorat mógłbyś mieć w ciągu dwóch lat. Jeden rok intensywnych studiów, potem praca dyplomowa i jesteś archeologiem. Jeśli się nie uda, to powrócisz do lingwistyki.

Ostatnia część nie podobała mu się. Jeśli zdecydowałby się na archeologię, to by się jej trzymał. Żadnych powrotów.

– A co zrobię, jeśli tablica nie okaże się tym, o czym myślisz?

– To znajdziesz sobie coś innego na temat pracy dyplomowej - odparła szybko.

– Nie martw się, Indy - powiedział Conrad. - Jeśli będziesz tego naprawdę chciał, to osiągniesz to, czego pragniesz.

– Dobrze, zgadzam się - powiedział tak po prostu. Krótko, rzeczowo.

Belecamus uśmiechnęła się.

– Dobrze. Wiedziałałam, że się zgodzisz. Jutro po południu wyruszamy do Aten. Bądź w moim biurze o pierwszej. Teraz muszę już iść - podała Conradowi rękę. - Miło było pana poznać. Powodzenia w pracy nad książką.

Chwilę później drzwi kawiarni zamknęły się za nią. Indy spojrzał na Conrada.

– I co pan myśli?

– Myślę, że archeologia zadowoli cię i będziesz w niej dobry.

– A profesor Belecamus?

Conrad splótł i rozplótł palce. Odpowiedział wolno i rozważnie.

– Nie wiem, co z nią jest, Indy, ale byłbym ostrożny. Mam takie wrażenie, że ona mówi jedno, a myśli drugie.

– Uważa pan, że powinienem odrzucić ofertę?

– Tego nie powiedziałem. Po prostu czuję, że ona nie powiedziała wszystkiego.

6.

W drodze

Pociąg z turkotem toczył się przez rozległe pola południowych Włoch. Dorian Belecamus spoglądała przez okno w stronę ciemnych wzgórz, majaczących na tle śliwkowego horyzontu. Ostatnie promienie światła pozłociły je, tworząc wokół nich coś w rodzaju czarownej poświaty. Nie jest to jednak urok Grecji - myślała. Jej kraj rodzinny obfitował w krajobrazy dramatycznych kontrastów. Białe domy nad brzegiem morza tak błękitnego, że aż bolało ją serce. Góry koloru dojrzałych winogron, niebo rozpalone przez słońce.

Już wkrótce - pomyślała. Jej dobrowolne wygnanie dobiegnie końca. Rankiem przybędą do Brindisi, skąd popłyną statkiem do portu w Pireusie. Stamtąd pojedą do Aten i będzie w domu.

Odwróciła twarz od okna, sięgnęła do góry i zgasiła światło po swojej stronie ich wspólnego przedziału. Naprzeciwko niej znajdował się Jones. Był pochylony w lewą stronę, oczy zasłonił sobie kapeluszem.

Uśmiechnęła się, obserwując go. Nie ma żadnych wątpliwości.

– myślała. Na pewno będzie przydatny. Jest dokładnie taki, jakiego potrzebowali: inteligentny i szybki, ale nie wystarczająco inteligentny i szybki, aby stanowić dla nich zagrożenie. Trzęsienie ziemi było doskonałym pretekstem. Razem z Jonesem będzie pracowała przy ruinach, aż wszystko będzie umówione, pułapka zastawiona.

Usłyszała skrzypienie; drzwi drgnęły. Pomyślała, że nie zamknęła ich dokładnie i teraz poruszył je podmuch powietrza, gdy ktoś przechodził korytarzem. Ujrzała jednak cień padający przez powstałą szparę. Ktoś stał na zewnątrz.

Oczekiwała, że usłyszy pukanie, że usłyszy konduktora informującego o obiedzie.

– Kto tam? - zapytała, nie słysząc pukania.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Nikogo nie było. Spojrzała na korytarz i dostrzegła mężczyznę w czarnym garniturze, przeciskającego się do następnego wagonu. Zerknęła na Jonesa, upewniła się, że ten wciąż śpi, i podążyła za mężczyzną w garniturze. Następny wagon był drugiej klasy; całe rzędy pasażerów siedziały i czytały lub odpoczywały. Nikt nie stał w przejściu. Ruszyła dalej, przyglądając się każdemu siedzącemu człowiekowi. Dostrzegła mężczyznę ubranego na czarno, rozmawiającego cicho z młodą dziewczyną. Rozłożona gazeta leżała na jego kolanach. Ten raczej nie mógł przed chwilą usiąść.

Dwa rzędy dalej dostrzegła innego mężczyznę w czerni, pogrążonego we śnie. A może tylko wyglądał na śpiącego? Był w średnim wieku. Oddychał głęboko i miarowo. Usta miał otwarte i strużka śliny błyszczała na jego dolnej wardze.

Poszła dalej przejściem. Naliczyła czterech następnych mężczyzn w czarnych ubraniach. To było bezcelowe. Co by powiedziała, gdyby to był któryś z nich? Domagałaby się wyjaśnień, odpowiedzi na pytanie, czego szukał w jej przedziale? Zaprzeczyłby i to by było wszystko.

Wtedy dostrzegła blondyna z twarzą ukrytą za wydaniem *Puncha*. Miał na sobie białą koszulę i krawat. To był oczywiście Farnsworth. Powinna się od razu domyślić. Musiał zdjąć czarną marynarkę, ale, głupiec, zdradził się angielskim magazynem.

Szybko zawróciła i wycofała się z wagonu. Farnsworth śledził ją w okolicach uniwersytetu już od kilku miesięcy. Gdy zauważyła go i upewniła się, że ją obserwuje, wynajęła detektywa, aby dowiedział się, kim on jest. Kiedy poznała jego nazwisko, niczego więcej nie chciała wiedzieć.

Po cichu wślizgnęła się z powrotem do przedziału. Sprawdziła, czy Jones jeszcze śpi, usiadła na swoim miejscu i otworzyła książkę. Patrzyła w

tekst, ale nie czytała go. Jej myśli przeniosły się z Farnswortha na dwóch najważniejszych mężczyzn w jej życiu. Byli nimi jej ojciec i Alex Mandraki.

Rzeczy, które robiła dla Alexa. Nie kochała go, ale czuła się do niego przywiązana. Wiedziała, że cokolwiek robiła dla niego, robiła też dla swego ojca. W końcu to on przedstawił ją Alexowi i przyszłość tego pułkownika w średnim wieku była ściśle związana z losem jej ojca, jak również z jej własnym. Ojciec był pewien, że ona i Alex planowali przyspieszyć wydarzenia. No bo dlaczego nie? Nie było sensu czekać na coś, co i tak jest nieuniknione.

Najpierw jednak musi zająć się Farnsworthem. Stanowi mało istotny problem w wielkim projekcie, ale należy obchodzić się z nim delikatnie i zręcznie. Pociąg jest na to idealnym miejscem. A poza tym już raz powiedziała mu, aby zostawił ją w spokoju. On Jednak zignorował jej ostrzeżenie i teraz ona nie może pozwolić sobie na kłopoty. Jeżeli ma zamiar działać, musi to zrobić zanim dotrze do Grecji, zanim Alex się dowie. Poza tym to jest jej problem, nie jego.

Sięgnęła na półkę nad siedzeniem, rozpięła płócienną torbę i zaczęła szperać wśród młotków i szczotek, narzędzi potrzebnych do pracy. Uśmiechnęła się, gdy natrafiła na gładką, zimną stal swego ulubionego dłuta. Szybko wydobyła je i schowała do torebki.

Jones poruszył się we śnie. Usiadła z powrotem na miejsce. Zahaczyła stopę o jego łydkę, uniosła ją i puściła. Potrząsnął głową. Rozejrzał się wokoło, zmieszany, wciąż oszołomiony snem. Zobaczył ją i uśmiechnął się.

– Chyba się zdrzemnąłem. Która godzina?

– Już prawie czas na obiad. Spałeś ponad godzinę. Pójdziemy się napić?

Położył rękę na stercie książek leżących obok niego.

– Miałem zamiar popracować trochę przed obiadem, ale przypuszczam, że to może poczekać.

Indy zabrał ze sobą małą biblioteczkę książek o archeologii Grecji. Jego podniecenie perspektywą pracy w Delfach zostało ostudzone niepewnością własnych umiejętności. Był to czynnik, który ona zamierzała wykorzystać do własnych celów.

Dotarli do wagonu restauracyjnego i znaleźli wolny stolik. Jones zamówił piwo, a Dorian, która zwykle była wstrzemięzliwa, poprosiła o french 75. Będzie tego potrzebowała na później.

– Co to za drink? - zapytał Jones.

– Szampan z wódką. Nazwa pochodzi od francuskiej armaty używanej w czasie wojny.

– Musi dawać niezłego kopa.

Zaśmiała się.

– O tak, daje - położyła dłonie na stole, badawczo mu się przyglądając. Sprawiał wrażenie podenerwowanego, jak gdyby chciał jej coś powiedzieć, ale nie wiedział od czego zacząć.

– Pani profesor?

Pochyliła się nieznacznie do przodu.

– Proszę, nie mów do mnie pani.

– Dorian - wymówił jej imię, jakby próbując jego brzmienia, delektując się jego smakiem. Ale nie powiedział nic więcej. Wyczuła, że chce ją zapytać, dlaczego wybrała właśnie jego. Nie przyjął wyjaśnienia, że jest jej najlepszym studentem. W innych grupach było wielu studentów, którzy mieli większe doświadczenie teoretyczne i praktyczne, i oboje o tym wiedzieli.

– Co cię gryzie, o co chodzi?

– Nic takiego.

– Posłuchaj, Indy, będziemy pracować razem przez jakiś czas, może przez kilka tygodni. Istotne jest, abyśmy byli wobec siebie otwarci.

– Otwarci. Tak - powtórzył wolno i wyraźnie, jak ktoś, kto słabo mówi. - Zastanawiam się tylko, co właściwie będę robił w Delfach.

Dorian uśmiechnęła się i położyła rękę na jego dłoni.

– Jest dużo do zrobienia. Nie martw się o to. Będziesz pracował i uczył się. To będzie niezłe doświadczenie.

Chociaż kiwał głową, wciąż nie był przekonany. Jej ruch ręką, jak się spodziewała, zaskoczył go. Nie będzie z nim żadnego kłopotu - pomyślała. Uległy jak mały kotek. Jej wybór jest doskonały.

– Chodzi mi o to, że ja przecież nie mam doświadczenia. Nie chcę być tylko chłopcem na posyłki - powiedział. - To znaczy, chciałbym mieć szansę robienia czegoś znaczącego.

A więc o to chodziło. Chciał być w centrum wydarzeń. Wolno przejechała palcami po jego dłoni. Indy przełknął ślinę i poruszył się na krześle. Na twarzy pojawiły mu się wypieki. Wpatrywał się w jej rękę.

– Będziesz miał okazję. - Większą niż to sobie wyobrażasz - dodała w myślach.

Cofnęła rękę.

– Tak naprawdę, to gdy wydobędziemy tablicę ze szczeliny, chcę, abyś ty jako pierwszy zbadał na niej napis. Będziesz mógł wykorzystać znajomość starożytnej greki.

– A jeśli to nie będzie starogrecki tylko pismo linearne B?

Dorian zaczęła się śmiać i kręcić głową. Pismo linearne B było rodzajem zapisu na tablicach odnalezionych podczas wykopalisk w Knossos na Krecie w 1899 roku. Jak dotychczas nikomu nie udało się go odczytać.

– Za dużo czytałeś. Szanse natrafienia w Delfach na to pismo są minimalne. Nie martw się tym.

Kilkoma łykami dokończyła drinka i dostrzegła zdziwienie na twarzy Jonesa. Zaczęła się śmiać.

– Co się stało? Myślałeś, że nie piję, że nigdy nie zażywam relaksu, nie bawię się?

Jones napił się piwa.

– Czasami nie jestem pewien, co o tobie myśleć.

Uśmiechnęła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Cóż, powiem ci, co ja o tobie myślę. Jesteś nie tylko inteligentny i tajemniczy, ale i niezwykle przystojny. Przyznam, że gdybyś był brzydkim brutalem, to prawdopodobnie nie wybrałabym ciebie.

Zdumienie rysujące się na jego twarzy rozbawiło ją. Prawdopodobnie nigdy jeszcze nie słyszał kobiety mówiącej tak bezpośrednio - pomyślała.

– A więc co o mnie myślisz? - zsunęła but i dotknęła palcem stopy nogi Indy'ego. - Tylko powiedz prawdę.

Sprawił wrażenie podnieconego.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety takiej, jak ty. Zdaje się, że jesteś częścią nowej kobiecej rewolucji.

– Nie. Ja jestem wyjątkiem od jej zasad.

Wyglądał na bardziej zdumionego niż kiedykolwiek w życiu. Bez wątplenia oczekiwał, że ona zgodzi się z nim i powie, że żyją w latach dwudziestych. Kobiety zmieniały się i nie chciały być ograniczone sukienką czy intelektem. Ona jednak miała swoje własne poglądy na rewolucję.

– Kobiety się buntują, Indy, ale tylko w sprawach powierzchownych: publiczne palenie papierosów, strzyżenie się na krótko. To nie jest rewolucja.

– No, to jest jakiś początek.

– Problem większości kobiet, szczególnie tych w twoim wieku, jest taki, że one nie chcą nawiązywać z mężczyznami kontaktów na otwartej i intelektualnej stopie. Zamiast tego preferują podstęp, intrygi i sex.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

– Ale ja tak i rozumiem to. Większość mężczyzn nie jest przygotowana na traktowanie kobiet na równych prawach. Mężczyźni w kontaktach z kobietami nie muszą używać ani podstępu, ani intryg - wyciągnęła rękę i dotknęła jego piersi. - Oni robią to tak po prostu.

– Większość kobiet prosi się o to. Kusi mężczyzn.

Wybuchnęła śmiechem.

– Teraz wiesz o co mi chodzi? Kobiety proszą się oto i wszystko jakoś się kręci. Kobiety mają być słabszą płcią, ale pozwól, że ci coś powiem. Wielu mężczyzn boi się i nienawidzi kobiet.

Indy pokręcił głową i wyszczerzył zęby.

– Nie ja. Nie boję się kobiet i na pewno nie nienawidzę ich. Na tym polega problem... Ja kocham kobiety.

Zanim jeszcze przyniesiono obiad, Indy był już pełen nadziei. Pomimo jej surowych uwag pod adresem mężczyzn, był pewien, że Dorian zaprosi go dziś wieczór na swoją kuszetkę. Nie mógł przestać wyobrażać sobie, jak to z nią będzie. Chciał wpleść palce w jej długie, ciemne włosy, dotykać jej twarzy, ramion, czytać jej ciało jak niewidomy uczący się brajla. Nigdy wcześniej nie spotkał kogoś takiego, jak ona. Nigdy.

– Masz ochotę na deser? - zapytała, gdy skończyli posiłek.

– Może trochę lodów włoskich.

– Spumoni, oczywiście. Pójdę poszukać kelnera. Obsługa jest straszliwie powolna.

– Nie, wszystko w porządku, Dorian - powiedział, ale ona już wstała i poszła.

Odwrócił się patrząc za nią i dostrzegł, jak zatrzymała się i nachyliła nad stolikiem, przy którym siedział samotny mężczyzna. Ich oczy na ułamek sekundy spotkały się i coś między nimi mignęło, coś, czego Indy nie mógł rozszyfrować. Potem mężczyzna odwrócił wzrok. Oczy latały mu jak insekty, ramiona drgały nerwowo. Miał około trzydziestu lat, był jasnowłosy i trochę otyły. Kiedy Dorian zniknęła w sąsiednim wagonie, mężczyzna wstał i podążył za nią.

Indy śledził go wzrokiem. Co się, do cholery, dzieje? Kusiło go, aby wstać i pójść za nimi, ale zdecydował nie robić tego. To nie była jego

sprawa.

Kilka minut później przybyły dwie porcje lodów. Indy wpatrywał się w kolorową zawartość naczynia stojącego przed nim. Począł jeszcze chwilę, aż czubek lodu się stopił. Wziął łyżkę i powoli zaczął jeść. - Co ją tak długo zatrzymuje? Co oni tam robią? - Spojrzał przez ramię, potem znów odwrócił się do swojego naczynia. Wolno, łyżka za łyżką, skonsumował swoją porcję. Po skończeniu odłożył łyżkę na bok.

Czas się rozejrzeć.

Wstał i pośpiesznie opuścił wagon restauracyjny. Następny okazał się barem i był to ostatni wagon w pociągu. Panował tu tłok i nigdzie nie było widać Dorian. Podobnie mężczyzny, który szedł za nią.

Opisał Dorian barmanowi i zapytał go, czy jej nie widział.

- Nie - odparł barman, kręcąc głową. - Przykro mi.

- Widziałem przecież, jak tu wchodziła kilka minut temu i jeszcze nie wyszła.

Wskazał na odległy koniec wagonu.

- Może wyszła na zewnątrz.

Na zewnątrz? Zaczął się przeciskać przez tłum w stronę końca wagonu. Otworzył drzwi. Otoczyło go słodkie, wieczorne powietrze, zapach prowincji i purpurowego nieba. Wyszedł na żelazny balkon i ujrzał Dorian stojącą przy barierce i palącą papierosa. Przez chwilę nie dostrzegła jego obecności. Była nieruchoma i piękna jak posąg. Wiatr rozwiewał jej włosy. Jedną ręką podtrzymywała drugą, w której tlił się papieros. Nagle odwróciła się, ujrzała go i uśmiechnęła się.

- Dostałeś lody?

Chłodna i opanowana - pomyślał. Przez moment lody skojarzyły mu się z Lodową Damą. Skinął głową i wskazał papierosa.

- Nie wiedziałem, że palisz.

Wyrzuciła papierosa za barierkę i położyła ręce na jego biodrach.

- Robię więcej rzeczy, o których prawdopodobnie jeszcze nic nie wiesz.

Indy dotknął jej twarzy. Wolno i niepewnie pocałował ją. Jej usta były słodkie, miały smak egzotycznego owocu, egzotycznego wina, egzotyki w ogóle. Zanurzył dłonie w jej czarne włosy, rozkoszując się ich gęstością, miękkością. Odsunęła się od niego o krok, ale ich twarze wciąż były blisko siebie.

– Moje lody rozpuszczają się - wyszeptała.

– O tak.

Gdy szedł za nią przez bar do wagonu restauracyjnego, przypomniał sobie, że nigdzie nie widział jasnowłosego mężczyzny. Stół, przy którym siedział, był pusty. Człowiek zniknął. Może wymyślił sobie całą sprawę.

Może Dorian zatrzymała się, aby poprawić pończochę i mężczyzna zawstydził się, kiedy zauważyła, że jej się przygląda. Nie poszedł za nią, tylko udał się do ubikacji. Teraz zdążył już powrócić do swojego przedziału.

Oczywiście, na pewno tak było.

7.

Incydent w Atenach

Gdy dotarli na Akropol słońce było już nisko i miasto skrywało się w miedzianym cieniu. Z miejsca, gdzie stali, wysoko nad Atenami, najlepiej było widać, jak pomarańczowe promienie ozłacają wspaniałe doryckie kolumny Partenonu. Indy patrzył z podziwem.

– Wychowywałem się w przeświadczeniu, że Grecja to legenda.

Dorian zaśmiała się.

– Zdaje się, że odzywa się twój ojciec.

– Przed zaśnięciem opowiadał mi o bohaterskich czynach Zeusa, Herkulesa, Posejdona, Hermesa i wielu innych.

– Cóż, to wygląda na cudowne dzieciństwo - powiedziała, biorąc go pod rękę.

Tak, wyśmienite - pomyślał, ale nie zaprzeczył jej. Wziął głęboki oddech, jak gdyby magiczne powietrze otaczające bastion mogło w jakiś sposób zachować tę chwilę.

– Jak myślisz, co jest najbardziej zadziwiające w Akropolu? - zapytała.

Indy zaczął przypominać sobie jej wykłady, ale nic nie wymyślił i pokręcił głową.

– To, że jeszcze istnieje - wyjaśniła. Turcy składowali amunicję w budynku zwanym Propyleją i któregoś dnia w 1645 roku nastąpiła eksplozja. Czterdzieści dwa lata później Wenecjanie wysadzili w powietrze Partenon. Istnieje jeszcze tylko dlatego, że jeden z dziewiętnastowiecznych archeologów odtworzył jego przypuszczalny wygląd z piątego wieku przed Chrystusem.

– Teraz znów mówisz jak profesor - uśmiechnął się, aby pokazać, że nie była to krytyka. - To musi być dla ciebie bardzo wyjątkowe miejsce.

– Oczywiście tak jest, ale obecnie moim ulubionym miejscem jest Wieża Wiatrów przy Agorze Rzymskiej, szczególnie o świcie.

– Będę musiał to kiedyś zobaczyć - Indy spojrział na miasto zanurzające się w półmroku. - Świetne miejsce, aby być archeologiem. Wszystkie najlepsze ruiny są pod ręką.

Oczekiwał, że Dorian zacznie się śmiać, ale ona była poważna.

– Archeologia rozwijała się w tym kraju, podobnie jak europejska cywilizacja.

Wyszli spośród masywnych kolumn Partenonu i poszli w stronę Erechtejonu, drugiej pozostałej budowli Akropolu.

– A więc dlaczego uczysz w Paryżu? Wydaje mi się, że wolałabyś przebywać tutaj.

– To bardzo skomplikowane. Musisz zrozumieć, że my, greccy archeolodzy, zajmujemy się raczej estetycznymi aspektami nauki. Zamiast brudzić się w ziemi szukając fragmentów garnków, większość z nas preferuje studiowanie dzieł starożytnych rzeźbiarzy. Dziekanami wydziałów archeologii na wszystkich większych uniwersytetach w Grecji są przeważnie historycy rzeźbiarstwa.

– Naprawdę? Dlaczego?

– W ten sposób możemy kompensować fakt, że jesteśmy ekonomicznie i socjalnie w tyle za północnymi krajami, które zainteresowane są naszym dziedzictwem. Jesteśmy niepodlegli dopiero od pięćdziesięciu lat, wiesz, po czterystu latach obcej dominacji. Skupiając się na estetycznej stronie archeologii możemy delikatnie promować naszą obecną kulturę.

– A ty zgadzasz się z takim podejściem?

– Nie, ale rozumiem je. Wykładałam w Paryżu, ponieważ tam łatwiej o szersze spojrzenie na archeologię.

Zatrzymali się przed Erechtejonem i zaczęli przyglądać się kariatydom, kamiennym posągom kobiet, służącym jako podpory w południowym kruzganku. Ostatnie promienie słońca tańczyły na twarzach kamiennych bogiń. Za nimi, w przedsionku widać było grę światła i cienia. Przez chwilę Indy'emu zdawało się, że dostrzegł kogoś przy jednym z posągów.

– Przypominasz mi trochę innego studenta - powiedziała tak cicho, że Indy pomyślał, iż mówi do siebie. Pochodził z Anglii. Kiedy tu przyjechał, nie miał pojęcia o naszej najnowszej historii. Wiedział, że Lord Byron umarł w Missolongi. I to wszystko. - Przez chwilę nic nie mówiła, a Indy czekał, aż będzie kontynuować. - Powinniśmy już iść - rzekła w końcu.

Pierwsze światła zamrugały w mroku nad miastem. Indy skinął głową, ale jego uwaga zwrócona była na Erechtejon. Wytężał wzrok w stronę zakamarków budowli. Światło słabło, odbłask zniknął zupełnie i wszystkie podpory stały się dobrze widoczne. Ktoś tam był. Nie, dwie osoby, dwóch mężczyzn i patrzyli w ich stronę.

– Dziwne.

– Co? - zapytała Dorian.

– Przy kariatydach stoi dwóch facetów. Obserwują nas.

Dorian szybko odwróciła się, jak gdyby dźgnął ją nożem w plecy.

– Nikogo nie widzę.

– Teraz się cofnęli.

Dorian chwyciła go za rękę.

– Chodźmy.

Nie wiedział skąd ten pośpiech, ale podążył za nią w stronę Partenonu. Stamtąd odchodziła ścieżka prowadząca do drogi, na której czekały bryczki. W Atenach powozy konne i automobile mieszały się ze sobą, tymczasem w Paryżu samochody przeważały, a konie były rzadkością. Zupełnie, jakby Ateny nie mogły się zdecydować, czy wejść w dwudziesty wiek.

Dorian szarpnęła go za rękę.

– Indy, oni idą za nami.

Spojrzał za siebie. Dwaj mężczyźni zmierzali w stronę Partenonu, jeden kilka metrów przed drugim.

– Dlaczego mieliby iść za nami? To na pewno zwykli turyści.

– Spójrz na nich - odległość od nieznajomych zmniejszyła się. Nie biegli, ale nie starali się ukryć faktu, że się śpieszą.

– Poczekajmy. Prawdopodobnie wcale nie są nami zainteresowani.

Dorian znów złapała go za rękę.

– Nie bądź głupi. Biegnij.

Pomknęli wzdłuż kamienistej ścieżki. Indy poczuł się głupio; wątpił, żeby ci ludzie ich śledzili. Potknął się i prawie przewrócił Dorian na siebie. Poczł ostry ból w kostce.

– A niech to.

– Pośpiesz się - syknęła Dorian. Skrzywił się wstając z ziemi i pokuśtykał za nią.

Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, co jeszcze bardziej utrudniało patrzenie. Podrapali sobie ręce mijając jakieś ostre krzaki. Indy krzywił się z każdym krokiem, w kostce czuł rwący ból. Spoglądał do tyłu, ale nie mógł dojrzeć nikogo podążającego za nimi.

Ruiny były już prawie opustoszałe i samotna bryczka czekała przy drodze na spóźnionych turystów. Dorian pognała w jej stronę, machając woźnicy ręką. Ten spokojnie otworzył przed nią drzwiczki. Indy chwiejnym krokiem podążył za nią.

– Czy wszystko w porządku, proszę pana? - zapytał woźnica.

– Tak. Jedźmy już.

Gdy bryczka ruszyła, Indy spojrzał za siebie. Dostrzegł mężczyzn zatrzymujących się na drodze. Stanęli i patrzyli za odjeżdżającą bryczką.

– Najprawdopodobniej chcieli złapać ostatni powóz, a nie nas - odezwał się.

Nie zaprzeczyła.

Dom Dorian znajdował się na wzgórzu w starej dzielnicy zwanej Monastiraki, skąd w każdej chwili można było dostrzec Akropol zawieszony na niebie jak świątynia bogów. Dom wyglądał ciekawie. Pilastry na rogach. Dach kryty dachówkami, zakończony terakotowymi figurkami bogiń. Małe podwórko oddzielone było od ulicy ozdobnym żelaznym ogrodzeniem porośniętym krzewami.

Nieźle - pomyślał Indy, gdy weszli do domu i poczuli zapach obiadu. Wracła do domu po dwóch latach, a wszystko wyglądało tak, jakby nigdy go nie opuściła. Miała tu drugie życie, które toczyło się pomimo jej nieobecności. Nie dość, że obiad był przygotowany, ale i gorąca kąpiel czekała na Dorian. Podczas gdy ona się kąpała, Indy siedział na łóżku i moczył spuchniętą kostkę w naczyniu z zimną wodą.

– Hej, Indy - zawołała Dorian.

Spojrzał na drzwi od łazienki.

– Tak?

– Przynieś to swoje naczynie tutaj, żebyśmy mogli porozmawiać.

Dobry pomysł - pomyślał. Rzeczywiście chciał z nią porozmawiać i, hej, czemu nie podczas jej kąpieli. Figlarny uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy wyjmował nogę z wody.

– Czemu ja na to nie wpadłem?

Postawił naczynie obok wanny i usiadł na krześle okrytym ręcznikiem. Na podłodze, przy wannie, stała butelka wina i kieliszek.

Dorian trzymała w ręku drugi kieliszek do połowy wypełniony napojem.

– Poczęstuj się retsiną - rzekła, gdy zanurzył nogę w wodzie.

– Dzięki. A co to jest?

– Wino zrobione z soku sosnowego.

– Z soku sosnowego? - nalał sobie do kieliszka, spróbował i zrobił dziwną minę.

Dorian zaczęła się śmiać.

– Polubisz to. Uwierz mi. To jest bardzo popularne. Niektórzy mówią, że zbyt popularne. Musisz tylko uważać, żeby nie przesadzić w picciu.

Wypił kolejny łyk. Odwrócił wzrok od jej twarzy. Widok Dorian zanurzonej w pianie, z jedną nogą wyprostowaną ponętnie, przypominał mu ich niedawne spotkanie. Widział, jak kochali się w pociągu, pamiętał ruchy zsynchronizowane ze stukotem kół o szyny. Ich stosunek wydawał mu się teraz surrealistyczny, zupełnie jakby nie zaistniał. Wciąż nie mógł uwierzyć, jak szybko Lodowata Dama z Paryża roztopiła się w jego ramionach. A jednak siedział tu, patrząc, jak ona się kąpie.

Od tamtej chwili wszystko działo się jak za mgłą. Zeszłego ranka wysiedli z pociągu i większość dnia spędzili na promie. Gdy dotarli do portu w Pireusie, wzięli taksówkę i pojechali do Aten. Na miejsce dotarli wyczerpani i spali dwanaście godzin.

Dzisiaj, podczas gdy Dorian zajęła się szczegółami wyjazdu do Delf, Indy na własną rękę oglądał miasto. Najpierw sumiennie zwiedził muzeum archeologii, a później po prostu spacerował, oglądając różne miejsca.

– No i co myślisz o Atenach? - zapytała.

– Podobają mi się, ale nie mogę się powstrzymać od porównywania ich z Paryżem.

– Ido jakich wniosków doszedłeś? - wyprostowała nogę, kierując palce w stronę sufitu.

Życie w Paryżu było inne. Piękno tego miasta uwidoczniło się poprzez subtelne zmiany w natężeniu światła. Tutaj światło było mocniejsze, ostrzejsze i stanowiło kontrast ze skalistym krajobrazem.

– Grecja jest ziemską, urodzajną. Francja bardziej intelektualna, wytworna.

– Zgadza się z tym.

Na obu miastach przeszłość wycisnęła swe piękno, ale przeszłość dotknęła każde z nich w różny sposób. Paryż kwitł jako artystyczne

centrum Europy, twórczy rezultat przeszłych mistrzowskich triumfów.

Tutaj, pomimo że przeszłość znajdowała się na każdym kroku, kultura, która się rozwinęła, była teraz uśpiona. Paryż był rzeźbą wciąż tworzoną; Ateny stały się pomnikiem, a ich mieszkańcy mogli tylko stać i przyglądać się jego powolnemu rozpadowi.

A jednak, pomimo życia w cieniu swoich przodków, Grecy wciąż górują pogodą ducha. Postrzegał ich jako towarzyskich, rozmownych ludzi, którzy otwarcie wyrażają swoje uczucia, obojętnie czy radość, złość, czy smutek. Mężczyźni byli w większości ciemnowłosi i przystojni. Palili czarny tytoń i pili nie kończące się ilości kawy, bezwiednie bawiąc się paciorkami z bursztynu i srebra. Kobiety natomiast były przypisane do prac domowych i większość z nich nosiła czarne suknie, jakby znajdowały się w wiecznej żałobie.

Starał się, jak tylko mógł, wyrazić swoje myśli, ale Dorian już nie była tym zainteresowana.

– Indy, chciałabym powiedzieć ci, dlaczego myślałam, że ci mężczyźni w ruinach szli za nami.

– Dobrze. Chciałbym to wiedzieć.

– Na początku muszę opowiedzieć ci trochę o mojej rodzinie - powiedziała, zginając się podczas mycia szyi. Różowe koniuszki piersi wynurzyły się z piany.

– Twojej rodzinie? - trudno było mu skoncentrować się na jej słowach.

– Tak. O mojej rodzinie. Wiesz, greckie dziewczyny ze wsi nie zostają archeologami. Mój ojciec buduje statki, ma też duże posiadłości ziemskie. Należy do nas nawet kilka wysp.

– Całych wysp?

Zaśmiała się. - Nie są duże.

– On mieszka tu w Atenach?

– Ma posiadłość tutaj i domy w Rzymie i Londynie. Obecnie mieszka w Rzymie i nie może powrócić do domu.

– Dlaczego?

– Polityka - wypowiedziała to słowo jak przekleństwo. - Po tym, jak Grecja odzyskała niepodległość, nie było już arystokracji, a więc ci, którzy zajęli się polityką, stali się bogaci.

– To jest zupełnie typowe.

– W każdym razie, gdy król zdecydował się najechać Turcję w zeszłym roku, mój ojciec się sprzeciwił. Twierdził, że to zakończy się tragicznie. No i za mówienie prawdy został skazany na banicję - gorycz w jej głosie odzwierciedlała się w surowym wyrazie twarzy. - I wciąż przebywa na wygnaniu.

Indy wiedział, że wynik wojny z Turcją był dokładnie taki, jak powiedziała. Grecja napadła na sąsiada z nadzieją na oswobodzenie Greków żyjących poza Grecją. Teraz miasto było zalane uchodźcami, którzy w tym konflikcie siłą zostali wyrzuceni z własnych domów. Straty w ludziach były znaczne.

– Zdaje się, że ta inwazja niczego nie rozwiązała - powiedział.

– To, co się stało, było straszliwą pomyłką. Wysłaliśmy na rzeź sto tysięcy ludzi.

Indy pokiwał głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Popijał wino i obserwował ją.

– Można pomyśleć, że nauczyliśmy się czegoś w wielkiej wojnie. Cierpieliśmy straszliwie, popierając Brytyjczyków i Francuzów. Ludność Grecji jest zmęczona walkami, a teraz znów to robimy.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z tymi dwoma na Akropolu?

Zaczęła kręcić w palcach nóżkę od kieliszka, zbierając myśli.

– Mój ojciec ostrzegał mnie, żebym nie wracała, dopóki sprawy się nie uspokoją. Mówił, że to może być niebezpieczne.

– A więc myślisz, że oni pracują dla króla?

– Możliwe.

– Dlaczego po prostu nie zabronią ci pracy w ruinach? - zapytał.

– Król na pewno może mnie powstrzymać przed powrotem do Delf, ale on nie jest głupi. Delfy to skarb narodowy i to by źle wyglądało, gdyby zabronił mi tam jechać, szczególnie teraz, po trzęsieniu ziemi.

– Myślisz, że ukrywają się, obserwują cię, patrzą, co robisz?

Podawała Indy'emu pusty kieliszek, dając mu znak, żeby go napełnił.

– Gdyby tylko obserwowali mnie, to by wszystko było w porządku. Ale zdaje mi się, że ludzie króla, jeśli nie sam król, chcieliby zadać ból mojemu ojcu. Gdyby mnie zabili, to by im się udało.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nic. Tak jak zaplanowałam, jutro rano jedziemy do Delf. Nie dam się zastraszyć.

Indy przechylił butelkę napełniając kieliszek Dorian i swój. Przekonał się, że retsina nie jest właściwie taka zła. Trzymał jej kieliszek w ręku i patrzył, jak myła udo okrągłą gąbką.

– Odstaw kieliszki - powiedziała i objęła go za szyję.

– Co robisz?

Przyciągnęła go do siebie. Retsina wylała się na posadzkę i do wanny.

– Zdaje mi się, że musisz się wykąpać - jej głos był spokojny, miękki, przeplatany śmiechem. Objęła go mokrymi ramionami i przewróciła na bok. Wpadł do ciepłej wody i Dorian przycisnęła do niego swe delikatne ciało.

– A co ze służącą?

– Nie martw się.

– A obiad?

– Poczeka.

– To ja miałem być agresywny - wybelkotał, wycierając ręką twarz. Próbował zdjąć zmoczone ubranie.

– Jesteś zbyt wolny. A poza tym przyda ci się kilka lekcji.

– Okay, pani profesor - ściągnął mokrą koszulę. - Wciąż jestem przecież twoim studentem.

8.

Podróż do Delf

W pokoju było jeszcze ciemno, gdy Dorian wstała z łóżka. Odsunęła zasłonę i słabe, szare światło wniknęło do pomieszczenia. Było po piątej i musiała się śpieszyć.

W ciszy przeszła przez pokój, spojrzała na okrytą postać w łóżku, potem szybko wciągnęła gładką spódnicę, bluzkę i wełniany sweter. Już miała wyjść z sypialni, gdy Jones się poruszył. Zamarła w bezruchu, patrząc na niego. Pragnęła, aby spał dalej. Upewniła się, że jej nie usłyszał, odwróciła się i wyszła.

Wzięła rower stojący z boku domu i przeprowadziła go przez podwórko. Otworzyła bramę i skrzywiła się, gdy ta zaczęła skrzypieć, potem wsiadła na rower i pojechała.

Trzy przecznice dalej skręciła w lewo i zjechała ze wzgórza. Poranne powietrze było chłodne. Cieszyła się, że założyła sweter. Daleko przed nią ledwo widoczny różowy odblask rzucił wyzwanie ponurej szarości po wschodniej stronie horyzontu. Gdy zjechała ze wzgórza zahamowała, skręciła w prawo i przejechała przez plac Monastirakiou. Plac zwykle wypełniony był sprzedawcami orzechów, straganami z owocami i kupującymi, ale o tej godzinie było cicho. Kościół z dziesiątego wieku stojący na środku, szary i opustoszały, był samotnym świadectwem prostszych czasów.

Minęła ruiny Biblioteki Hadriana i szła ulicą Eolou, aż dotarła do Bramy Ateny Archegetis, wejścia na Agorę Rzymską. Na powierzchni pilastru, który zwrócony był w stronę Akropolu, wyryty był edykt Hadriana

obwieszczający prawa i podatki za sprzedaż oleju. - Gdyby Hadrian mógł widzieć to miejsce dzisiaj - pomyślała Dorian.

Wprowadziła rower przez bramę. Minęła zrujnowane chaty wzniesione na szczycie pozostałości po starożytnych latrynach publicznych. Stróżki dymu wijąc się, wylatywały z uchylonych drzwi kilku chat - pierwszy znak nowego dnia. Na całym obszarze ruin dawnego rynku znajdowały się prowizoryczne domy zbudowane przez uchodźców zalewających miasto. Kolejna narodowa tragedia.

Szła dalej, aż dotarła do ośmiokątnej wieży, gdzie odstawiła rower. Nie wiedziała dlaczego, ale Wieża Wiatrów fascynowała ją. Została zaprojektowana w pierwszym wieku przed Chrystusem przez syryjskiego astronoma Andronica i służyła jako kompas, zegar słoneczny, obserwatorium pogodowe i zegar wodny zasilany przez strumień. Gdyby zegar jeszcze działał, to na podstawie poziomu wody w wewnętrznym cylindrze mogłaby stwierdzić, że było w pół do szóstej.

Spojrzała w górę. Każda płaskorzeźba na bocznych ścianach wieży przedstawiała mityczną postać uosabiającą jeden z ośmiu wiatrów. Dokładnie nad nią, na północno-zachodniej ścianie budowli, był wizerunek Skirona, który trzymał wózek z węglem drzewnym. Obok niego Boreasz, Wiatr Północny, dmuchał w muszlę.

– Dostałem twoją wiadomość - doszedł do niej głos zza pleców. Czyjaś ręka dotknęła jej ramienia.

– Jesteś wcześniej - odwróciła się. We wczesno porannym świetle Alex Mandraki był ciemną, potężną figurą, równie tajemniczą jak mityczne postacie na wieży.

– Dbasz o moje interesy - wyciągnął rękę do jej twarzy, dotykając jej delikatnie, jakby nie był pewien, czy ma prawo to robić. - Jesteś zdolnym strategiem, Dorian. Byłabyś niezłym mężczyzną. Lepszym od wielu facetów. Chyba dlatego cię lubię.

Pogładziła dłonią jego policzek; skóra była chropowata, chociaż dopiero co się ogolił.

– Tylko mnie lubisz? Myślałam, że mnie kochasz.

Uściskał jej dłoń. Rysy jego twarzy złagodniały, jak tylko było to możliwe u człowieka, który samym widokiem przyprawiał swoich podwładnych o drzenie nóg.

– Oczywiście, że cię Kocham. Tęskniłem za tobą - przyciągnął ją do siebie i z wielkim pośpiechem pocałował.

– Ja też za tobą tęskniłam - wyszeptała i odsunęła się od niego. - Czy to było straszne?

– Masakra. Nie do opisania. I nic nie mogłem uczynić, żeby temu zapobiec.

– Jeszcze jeden powód, dla którego musimy to zrobić.

Przez chwilę wpatrywał się w nią uważnie, być może starając się odczytać jej myśli.

– Wiem, że musisz się zbliżyć do tego Amerykanina, ale mam nadzieję, że nie traktujesz swego zadania zbyt poważnie.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego.

– Jesteś zazdrosny, Alex?

– Nie - przeciągnął ręką po swych krótkich, kręconych włosach. - Jeszcze nie - ponownie wziął ją za rękę. Zaczęli iść. Jego orli nos wyraźnie rysował się na tle nieba, wyglądał jak ostry, śmiercionośny dziób.

– Zazdrość jest jak nienawiść: uczucie, które marnuje energię.

– To samo można powiedzieć o prowadzeniu wojen.

– W obecnej sytuacji - rzekł, mając na myśli inwazję na Turcję - w pełni się zgadzam. Ale nigdy nie możemy zlikwidować naszej armii. Stalibyśmy się słabi i nieudolni. Grecja już nigdy nie może znaleźć się w niewoli.

– Mnie nie musisz tego mówić, Alex, a tym bardziej nie o tej godzinie.

– Martwisz się czymś. Co to jest?

Opowiedziała mu o wydarzeniu z pociągu.

Skinął głową i przemówił pewnym, spokojnym głosem.

– Dobrze zrobiłaś. Ale ostrzegałem cię, że Farnsworth może sprawiać kłopoty. Powinienem umieścić kogoś razem z tobą w pociągu.

Uśmiechnęła się do niego.

– Sama potrafię zająć się sobą.

– Na to wygląda. W takim razie nie ma żadnego problemu.

– To jeszcze nie wszystko. Myślę, że jeszcze dwie osoby współpracują z Farnsworthem - powiedziała mu o mężczyznach, którzy śledzili ich na Akropolu.

Na jego twarzy pojawiła się marsowa mina. Potrząsnął głową.

– To wygląda na amatorską robotę.

– Dzięki Bogu. Obawiałam się trochę. Nie udało mi się przyjrzeć żadnemu z nich, ale Jones zdołał - opisała mężczyznę możliwie najdokładniej.

– Spróbuję się o nich czegoś dowiedzieć i dam ci ochronę.

– To niepotrzebne.

– Proszę, pozwól mi zdecydować, co jest niezbędne dla twojego bezpieczeństwa - uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń. - Teraz chciałbym powiedzieć ci, co planuję w sprawie Delf.

Gdy kilka minut później wyprowadzała rower na ulicę, niebo nabrało koloru brzoskwiniowo-żółtego. Cisza świtu minęła i plac budził się ze snu, ludzie zaczęli wychodzić z chat. - To będzie długi dzień - pomyślała.

Indy biegł przez Akropol, rękami wiosłował powietrze, nóg już prawie nie czuł, jego oddech był szybki i urywany. Słyszał mężczyznę za sobą, odgłos ich butów stukających o chodnik, ich okrzyki rozdzierające ciszę. Obejrzał się za siebie. W szybkim tempie zbliżali się do niego, a on nie mógł już szybciej biec; jego nogi odmawiały posłuszeństwa. Panika ścisnęła mu gardło.

Jeden z mężczyzn nagle przyśpieszył i rozbił butelkę retsiny na jego głowie. Wiedział, że to powinno boleć, że straszliwy ból powinien rozejść się po czaszce. Ale jedyne, co odczuwał, to wzmożone echo, które grzmiało w jego głowie jak klakson.

– Obudź się, Indy.

Otworzył oczy i skrzywił się z powodu okrutnie jaskrawego światła.

– O Boże - jęknął. Ryk klaksonu za oknem odbijał się we wnętrzu jego głowy. - Co tam się, do cholery, dzieje?

– To nasz transport do Delf. Przygotuj się szybko. Najpierw jednak napij się tego.

Usiadł na łóżku, przetarł oczy i zobaczył, że Dorian była już ubrana. W filiżance nie większej od naparstka podała mu kawę gęstą jak syrop.

– Mam nadzieję, że nie ma w tym żadnego alkoholu. - Podczas obiadu dokończyli retsinę, a później spróbowali innego greckiego wynalazku, napoju przypominającego Indy'emu pernoda, którego czasami pił w Paryżu. Teraz głowa mu pękała w wyniku działania mieszanki.

– Ani kropli. Obiecuję.

Skrzywił się, gdy klakson zawył ponownie, ale kilka minut później był już ubrany i gotowy do odjazdu. Sięgnął pod łóżko po swoją torbę, lecz nie mógł jej wyczuć. Nachylił się, dostrzegł ją... i coś jeszcze. Wsunął rękę, chwycił i wyciągnął but. Drugi leżał obok i oba wyglądały na obuwie wojskowe.

– Indy, chodźmy. - Dorian zatrzymała się we drzwiach. - Co robisz?

– Właśnie brałem torbę - upuścił but i spojrział na nią.

– Jeśli cię to interesuje, należą do syna dozorczy tego domu. Zginął w Turcji. Poczekam na zewnątrz - odwróciła się.

Indy kopnął but pod łóżko i chwycił swoją torbę. Śmieszne miejsce na trzymanie butów zmarłego żołnierza - pomyślał. Kiedy wyszedł na dwór, dwóch mężczyzn z karabinami stało za samochodem. Gdy usiadł z przodu obok Dorian, zapytał ją, co to za jedni.

- Ochrona.
- Spodziewasz się kłopotów?
- Po prostu jestem przygotowana.

Po kilku minutach, podskakując na wyboistej drodze, kierowali się w stronę gór za miastem. Resory w samochodzie były kiepskie i na licznych nierównościach Indy obijał sobie głowę.

Silnik zaczynał wyc za każdym razem, gdy przyśpieszali, co praktycznie uniemożliwiało konwersację.

– Ta droga... - usłyszał głos Dorian i widział, jak porusza ustami, ale niczego więcej nie zrozumiał.

– Co?

– Droga. Edypa.

Zmarszczył brwi, pokręcił głową. Jaki mógł być związek między tą drogą a Edypem?

Dorian nachyliła się i krzyknęła:

– Droga, po której teraz jedziemy, nie zmieniała się wiele od czasów Edypa.

Wierzył w to.

Dorian zrezygnowała z rozmowy, więc Indy wpatrywał się w sosny i szare, skaliste wzgórze. Wydawało się, że odkąd opuścili Paryż, wyprawa z każdym dniem przybierała nowy wymiar. Na początku jego związek z Dorian zmienił się dramatycznie. Potem dowiedział się, że ona może być *persona non grata* w swoim kraju. Niepokoiła go myśl, że mógł zostać uwikłany w polityczne machinacje, których nie pojmował. Powiedziała, że powinni być wobec siebie otwarci, ale najwidoczniej ona była otwarta tylko wtedy, gdy to było korzystne.

Teraz zaczynał rozumieć podejrzenia Conrada. Nawet Shannon, który jej nie spotkał, miał rację w jednej sprawie. Podróż z Dorian to niewątpliwie przygoda i miał wrażenie, że nie widać jej końca. A niech to, jeszcze nawet nie byli w Delfach.

On jednak chciał jakiegoś wyzwania, może nawet odrobiny niebezpieczeństwa. W końcu właśnie o to w przygodach chodziło. Ale pragnął również pozostać przy życiu. Co do tego nie było wątpliwości.

Co jakiś czas oglądał się, by zobaczyć, czy nikt ich nie śledzi. Ale widział tylko tumany kurzu wyrzucane spod kół samochodu. Dorian w końcu przysunęła się do niego.

– Mógłbyś przestać się martwić? Mamy ze sobą ochronę. Jeśli będą jakieś problemy, oni sobie z nimi poradzą.

Skinął głową, usiadł wygodniej i przymknął oczy. Po chwili monotony warkot silnika uspił go. Zaczął drzemać, obudził się, znów drzemał, rytm łatwy do przewidzenia jak tykanie zegarka. Wczesnym popołudniem wjeżdżali już na dolne stoki Parnasu.

– Jesteśmy prawie na miejscu - rzekła Dorian, spoglądając przez szybę na szczyt góry.

Indy położył rękę na jej udzie. Odsunęła jego dłoń.

– Musimy zachowywać się profesjonalnie, gdy będziemy w ruinach. Tutaj jesteś moim studentem, to wszystko. Rozumiesz to?

Jej twarz stała się poważna, jakby wyrzeźbiona w kamieniu.

– Och, co ty, obawiasz się skandalu, bo jestem od ciebie młodszy?

– To nie jest śmieszne, Jones, a wiek nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu nie jest dobrze postrzegane, gdy profesorka śpi ze swoim studentem.

– Nie jest dobrze postrzegane przez kogo? - pomyślał Indy, ale nie zapytał. Poczul nagłą ochotę, aby powiedzieć jej, że nigdy nie przeżył czegoś podobnego z inną kobietą. To było coś więcej niż zwykła seksualna namiętność. To stało się spełnieniem jego pragnienia kobiety, która byłaby inna od wszystkich dotychczas mu znanych. A poza tym pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek. Była tak ponętna i enigmatyczna jak sama tajemnica Delf, a on jej potrzebował. Nie powiedział jednak nic. Bał się, że zacznie się śmiać, że nazwie go swoim słodziutkim studentem miłości czy czymś równie upokarzającym.

– Tam - wskazała. - Widzisz?

Indy pochylił się do przodu i zobaczył taras skalny, który zdawał się po prostu wisieć w powietrzu, nad przepaścią między złowieszczymi, skalistymi szczytami. Sprawiał wrażenie małego i nic nie znaczącego w porównaniu z górą.

Dorian powiedziała kierowcy, żeby zatrzymał się na chwilę. Wyszli z samochodu i spojrzeli na Delfy.

– Chyba spodziewałem się, że to będzie większe - rzekł Indy.

– Wielkość nie ma tu nic wspólnego ze znaczeniem. Pomyśl o tym, Indy. Przez tysiące lat królowie i politycy, przywódcy wojskowi i kupcy wspinali się po stokach tej góry, by zadać pytania wyroczni.

Przypomniał sobie, jak na wykładach wspominała, że przepowiednie były często niejasne i wieloznaczne. Jeśli tak było, to w jaki sposób to wszystko przetrwało tak długo i robiło na wszystkich takie wrażenie?

– Czy ktoś badał dokładność przepowiedni?

– Dlaczego pytasz?

– Gdybym opierał swoją przyszłość na bełkocie starej kobiety, musiałbym wiedzieć, jak dokładnie potrafi przewidywać.

– Wy, Amerykanie - zaśmiała się Dorian. - Myślisz, że świat przypomina wasze mecze baseballu. Każdy ma umieć uderzać kijem. Wątpię, żeby ktokolwiek prowadził takie zapiski, ale tradycja wyroczni nigdy nie przetrwałaby tak długo, gdyby przepowiednie nie sprawdzały się.

– Założę się, że te sukcesy miały więcej wspólnego z wiedzą kapłanów niż z samą wyrocznią.

Nie odparła nic. Zamiast odpowiedzi na jej ustach pojawił się enigmatyczny uśmiech.

Wsiedli z powrotem do samochodu i dziesięć minut później minęli ostatni zakręt, wjeżdżając do Delf. Na wysokości tysiąca ośmiuset stóp powietrze było troszeczkę chłodniejsze niż w Atenach. Indy spojrzął na

otaczające ich masywne szczyty, które wznosiły się powyżej ośmiu tysięcy stóp i stromym stokiem schodziły w dolinę poniżej.

Samochód zatrzymał się i wysiedli. Po wielu budynkach pozostały tylko fundamenty bądź ruiny, rezultat czasu, trzęsień ziemi i działalności człowieka. Widok pochylonych doryckich kolumn świątyni Apollina tak blisko stromej ściany góry wywołał dreszcze na plecach Indy 'ego. Oto stał w najsłynniejszym miejscu religii starożytnej, miejscu uważanym kiedyś za centrum świata, miejscu z ziemi i kamienia, miejscu, czego był pewien, które wciąż miało jakieś sekrety.

– O czym myślisz, Jones?

Zastanawiało go, że już prawie nie nazywała go Indy, ale dał sobie spokój. Liczyło się tylko to, że był tu, w Delfach.

– To już nie jest tylko mit. To jest realne miejsce, a przynajmniej było.

– To jest wciąż realne miejsce. Nie zapominaj o tym.

Już miał powiedzieć, że obecnie było bardziej rzeczywiste niż Sorbona, ale dostrzegł otyłego mężczyznę śpieszącego w ich kierunku. Starał się biec, lecz jego tusza pozwalała jedynie na chybotliwy chód. Gdy zbliżył się do nich, jasne było, że jest podekscytowany.

– Jakże się cieszę, że pani w końcu przybyła - odezwał się, sapiąc ze zmęczenia. - Już od kilku dni oczekujemy pani.

– Powiedziałam, że przyjadę najszybciej, jak tylko będę mogła - Indy wyczuł irytację w jej głosie i poznał, że była między nimi jakaś animozja. - Jones, to jest Stephanos Doumas, obecny szef ekipy archeologów w Delfach.

Indy ocenił go na zaledwie kilka lat starszego od siebie. Wyciągnął rękę, ale mężczyzna tylko skinął głową i dalej mówił do Dorian:

– Stało się coś niesamowitego - wykrzyknął. - Musi tam pani szybko iść i zobaczyć to sama.

– O czym ty mówisz?

– Szczelina w świątyni - gestykulował obiema rękami. - Unoszą się z niej opary. Takie, jak te wdychane przez wyrocznię.

9.

Powrót

Panos, kamieniarz, szedł wolno główną drogą wioski, na której końcu znajdowała się platia, trawiasty park na skraju osady. Gdy mijał restaurację, skinął głową znajomym starcom siedzącym na długiej, drewnianej ławce przy zniszczonej ścianie. Gdyby nie bursztynowe paciorki komboloi, które trzymali w dłoniach, wziąłby ich za wygrzewające się na słońcu i mruczące z zadowolenia koty.

Kilka metrów od miejsca, w którym siedzieli, dwie nie ociosane, drewniane belki podpierały ścianę, gdzie cegły spaczyły się, wybrzuszyły i spowodowały pęknięcia tynku, rozchodzące się na wzór pajęczej sieci. Zniszczenia po ostatnim trzęsieniu ziemi - pomyślał. Ale życie toczy się dalej. Trzęsienia ziemi i wstrząsy nie były tu w Delfach czymś bardziej znaczącym od większej burzy. Część życia: narodziny, śmierć, trzęsienie ziemi.

Jeden z mężczyzn zapytał o zdrowie jego matki. To było wszystko, o czym mógł z tym człowiekiem rozmawiać. Znajdował się w wiosce, ale nie należał do niej. Był kolejnym gościem, jak ludzie, którzy przyjeżdżają tu obejrzeć ruiny. Tylko starsi znali go; pamiętali Panosa z innych czasów.

A więc opowiedział im o zdrowiu matki słowami, które byli w stanie zrozumieć.

– Czuje się dużo lepiej, gdy jej syn i wnuk są tu z powrotem - uśmiechnął się. - Mówi, że raz pod górkę, a raz z górki.

Mężczyźni zaśmiali się. Tak odpowiadał każdy w Delfach, gdy się go zapytało o zdrowie. „Pod górkę i z górki”. Takie było życie w górach. Raz się wchodziło na szczyt, innym razem trzeba było z niego zejść.

Widok tych starców zawsze dobrze mu robił. Byli typowymi mieszkańcami wioski. Zdawało się, że zawsze byli tam, przy restauracji, czekali, patrzyli, czasami rozmawiali. Wiedział, że kiedyś byli aktywnymi, tryskającymi życiem mężczyznami, pracującymi i podróżującymi pod górkę i z górki. Stolarze, rzemieślnicy, kupcy, pasterze.

Ale to było przed zmianą, nim wioska została przeniesiona ze świętych ruin na swoje obecne miejsce. Teraz ludzie ci byli podobni do ruin Delf, ich wiekowe kości nie były już zdolne do prowadzenia aktywnego życia.

Szedł dalej, a starcy mruzcili między sobą. Pewnie mówili coś o wypadku wiele lat temu, w którym zginęła Estelle. Albo, co bardziej prawdopodobne, powtarzali starą historię o tym, co się stało później. Estelle spacerowała górską ścieżką niosąc swego malutkiego synka Grigorisa, gdy nagle obsunęła się ziemia, grzebiąc obojga. Panos, który szedł kilkanaście metrów przed nimi, zdołał wykopać Grigorisa z rumowiska. Jakimś cudem nic mu się nie stało. Ale gdy Panos dotarł do Estelle, krzyknął z bólu i żalości. Estelle, jego piękna i młoda żona, była martwa. Kamień zmiażdżył jej czaszkę.

To był rok dużych zmian. Trzydzieści lat temu - pomyślał. Rok, w którym przybyli archeolodzy. Rok, w którym wszystko się odmieniło.

A przecież wraz ze śmiercią Estelle narodziło się nowe życie - jego własne. Przeszedł transformację spowodowaną śmiercią żony, zmianami w wiosce i życiem z Milosem, ojcem Estelle. Odkąd tylko pamiętał, Milos nazywany był Szaleńcem, a po tym wszystkim stał się jeszcze bardziej szalony. Ale Panos nauczył się patrzeć poza szaleństwo Milosa. Powoli zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że ten człowiek jest jasnowidzem i strażnikiem pradawnej wiedzy.

Panos dotarł do platii i usiadł na swej ulubionej ławce. Sam plac był mały i niezbyt interesujący, ale widok doliny wszystko wynagradzał. Po śmierci Estelle spędził tu wiele dni wyobrażając sobie, że jest krukiem i że

szybuje nad doliną. W tych właśnie dniach Milos podszedł do niego i powiedział mu, że nadszedł czas, aby poznał tajemnice Zakonu Pytii.

Niedaleko dwóch mężczyzn w niebieskich kostiumach roboczych bieliło pień dębu, aby ochronić go przed insektami. Nigdy nie widział żadnego z nich, co było dziwne, bo znał prawie każdego, kto tu żył. Chociaż przez kilka lat mieszkał w Atenach, powracał do Delf kilka razy do roku, aby odwiedzić matkę i być w pobliżu świętego miejsca.

Przyglądał się mężczyznom, aż ten, który stał bliżej, spojrzał w jego stronę. Panos skinął głową, powitał go i zapytał, jak się czuje. Zapytany przerwał, zdjął czapkę i otarł ręką czoło. Odpowiedział, że czuje się dobrze, ale nigdy wcześniej nie pocił się w tak chłodnym klimacie.

– Słońce jest gorące, a powietrze zimne.

– Tak właśnie jest w górach. Inaczej niż w Atenach - rzekł Panos, szybko rozpoznając stołeczny akcent mężczyzny. - Jak długo jest pan tutaj?

– Od wczoraj. Rząd mnie przysłał - wypiął klatkę i przemówił zarożumiałym głosem. Przyglądał się Panosowi, ciekaw, czy zrobiło to na nim wrażenie.

Ale Panos zawiódł go. Zaczął się śmiać i potrząsnął głową.

– A więc teraz rząd przysyła ludzi do opieki nad drzewami po trzęsieniu ziemi. Potem znów przeniesie wioskę.

Mężczyzna zaczął się bronić.

– Jestem tu, ponieważ w przyszłym tygodniu król na pewno odwiedzi Delfy.

– Przyjedzie tutaj? - zapytał z powątpiewaniem.

Mężczyzna uśmiechnął się, bo wiedział coś, o czym Panos, miejscowy wieśniak, nie miał pojęcia.

– Tak, oczywiście. Przyjedzie obeerzec zniszczenia powstałe w ruinach i pozostanie tu przez dwa dni - założył czapkę i powrócił do pracy.

Panos wpatrywał się w dolinę, w myślach rozważając to, co usłyszał. Wiedział, że król miał niedaleko górską rezydencję, ale rzadko ją

odwiedzał. Teraz był już pewien, że przepowiednia sprawdza się. Czas był ku temu doskonały.

– Tato, tu jesteś.

Panos spojrział przez ramię i zobaczył Grigorisa idącego szybkim krokiem przez plac. Jego syn, już dorosły, był prawie jego duplikatem: muskularny, szczupły, z czarnymi, kręconymi włosami. Bez wątplenia dopiero co usłyszał o wizycie króla i pragnął zaskoczyć swego ojca.

– Nie uwierzysz w to, tato. To już się dzieje.

Panos wstał z ławki, chwycił syna za ramię i odciągnął od robotników.

– Wiem. Chodź.

– Skąd możesz wiedzieć? Przecież byłeś tutaj. Właśnie rozmawiałem ze Stephanosem.

Panos zatrzymał się i spojrział Grigorisowi w oczy.

– Powiedziałem ci, żebyś się trzymał z dala od ruin, a ty od razu tam poszedłeś.

– Nie byłem w ruinach. Stałem na zewnątrz. Ona mnie nie widziała. Ten obcy też nie. Byłem bardzo ostrożny.

Panos pokręcił głową. Jego syn przeciągał strunę. Grigoris popełnił błąd w Atenach, dając się zauważyć na Akropolu. Potem, nim Panos zdołał go zatrzymać, jeszcze bardziej skomplikował sprawy, podążając za parą.

– Powiedziałem, że przepraszam za to, co tam się stało. Ile razy mam to jeszcze powtarzać? Nie jestem już dzieckiem. Czy teraz mnie posłuchasz?

– Co byś zrobił, gdyby zatrzymali się i poczekali na ciebie?

Jego syn przewrócił oczami z poirytowania.

– Mówiłem ci, że chciałem odstraszyć tego obcego. Może bym mu powiedział, żeby trzymał się z dala od tego miejsca.

Panos przez chwilę wpatrywał się w Grigorisa, po cichu go strofując go.

– Nie ma powodu przepraszać mnie. Przepraszaj siebie - już miał się odwołać do jednej ze świętych dyrektyw: „Poznaj siebie”, ale Grigoris przerwał mu.

– Ojczy, zasłona spadła. Opary znów się unoszą ze świątyni.
– Co?
– Cały czas staram się ci to powiedzieć.
– Jesteś pewien? - zawsze rano była mgła wokół świątyni Apollina i wiele razy wyobrażał sobie, że to opary znów się unoszą i spełnia się przepowiednia o Powrocie.

– Nie widziałem tego osobiście, bo zabroniłeś mi chodzić do ruin. Ale to musi być prawda.

Panos wiedział, że Stephanos uważał Grigorisa za naiwnego. Może to był jeden z jego dowcipów.

– Zobaczymy - odparł.
– Co zrobimy? - zapytał zniecierpliwiony syn.
– Czekaliśmy tyle lat. Możemy poczekać kilka godzin lub kilka dni dłużej.

Panos zaczął przypominać sobie przepowiednię. Po śmierci Estelle, Milos przewidział Powrót i objaśnił wszystkie jego znaki. Wtedy Milos był jedynym pozostałym członkiem Zakonu Pytii, ale przez lata powoli przekazał wiedzę Panosowi. Wreszcie nadszedł czas, aby Panos ujawnił się jako nowy przywódca Zakonu.

Osobiście porozmawia ze Stephanosem, ale już wyczuwał, że to była prawda. W końcu wszystko się łączyło. Nie było już powodu obawiać się Dorian Belecamus i jej władzy w świętym miejscu. Wszystko stało się jasne. Ona była tą wybraną.

Ona zostanie nową Pytią, a on będzie interpretatorem. Pierwsza przepowiednia, tego był pewien, będzie dla samego króla.

10.

Krew bogów

Lampa stała na drewnianym stole, oświetlając wnętrze prymitywnej, krytej słomą chaty. Obok lampy leżała gruba książka, otwarta na stronicy ze starogreckimi napisami. Był to tekst z kamiennej tablicy, która pochodziła z zasobów Delf. Jej autorem był Plutarch, kapłan Apollina w Delfach w pierwszym wieku naszej ery. Przez kilkanaście minut Indy powoli tłumaczył tekst i zapisywał go na kartce. Wersja angielska dostępna była na następnej stronicy, on jednak chciał sprawdzić swoje umiejętności. Nie był pewien tylko trzech słów, ale domyślił się ich znaczenia z kontekstu. Pomachał kartką, aby atrament wysechł i położył pióro na stole.

– Okay, zobaczmy - wymamrotał i przybliżył kartkę do lampy. Zdołał się zorientować, że tekst był odpowiedzią na pytanie: dlaczego przepowiednie wyroczni były często dwuznaczne? Cichym głosem odczytał swoje tłumaczenie:

„Nie były to pytania pojedynczych ludzi, dotyczące handlu niewolnikami czy innych prywatnych kwestii, ale pytania potężnych obywateli, królów i tyranów mających nie zaspokojone ambicje i poszukujących rady bogów w ważnych sprawach. Rozgniewanie lub zasmucenie takich ludzi przykrą prawdą, która kolidowała z ich żądzami, byłoby niekorzystne dla kapłanów”.

Indy przewrócił kartkę i zobaczył, że tekst był dłuższy. Tym razem przetłumaczył go ustnie, bez zapisywania na kartce. Jak dziecko uczące się czytać, wolno przeczytał tekst, wahając się przy niektórych słowach: „Co się tyczy odpowiedzi. udzielanych zwykłym ludziom, również czasami było wskazane. aby były ukryte przed ich ciemiężcami lub. utajnione przed

wrogami. I tak odpowiedzi te także były. dwuznaczne i. ukwiecone, aby znaczenie przepowiedni ukryte przed obcymi, zawsze mogło być uchwycone przez tych, których dotyczyło, pod warunkiem, że zaangażowali się w interpretację”.

Zupełnie jakby polityk tłumaczył się, dlaczego nie dotrzymał przedwyborczych obietnic - pomyślał Indy, przewracając kartkę. Przejrzał załączone angielskie tłumaczenie i uśmiechnął się. Był zadowolony z dokładności i pewny, że przetłumaczy tekst na tablicy, która czekała na niego w rozpadlinie. Gdy tylko Dorian przestanie tracić czas, on zabierze się do dzieła.

Wyciągnął z kieszeni zegarek i spojrzał na niego. Opary unosiły się zawsze przez dwanaście minut, ale długość okresu między emisjami powoli wzrastała. Gdy pierwszy raz obliczyli ten okres, trwał on trzy godziny i pięć minut. Później przerwa osiągnęła trzy godziny i jedenaście minut. Nie trudno było ustalić, że każdy odstęp wydłużał się o sześć minut. Mijał już trzeci dzień ich pobytu w Delfach, a Dorian wciąż nalegała na dalsze prowadzenie pomiarów.

Indy obserwował szczelinę od trzynastej. Gazy wzniosły się o szesnastej szesnaście, spokój panował już przez cztery godziny i pięć minut. Jeżeli wszystko odbędzie się zgodnie z rozkładem, to opary pojawią się za osiemnaście minut, o dwudziestej trzydzieści dziewięć. Śmieszne - pomyślał. Opuścił uczelnię w środku semestru z powodu czegoś, co wydawało się życiową szansą. Ale jak na razie pilnuje jedynie dziury w ziemi. Pokręcił głową ze wstrętem. Już się nie mógł doczekać kolacji. Zwolnią go o dziewiątej i pójdzie do wioski.

Wyciągnął ręce nad piecykiem węglowym, który ogrzewał chatę. Gdy stwierdził, że jest mu wystarczająco ciepło, odsunął zasłonę wiszącą przy wejściu. Sięgnął po leżący na stole kapelusz i przy okazji potracił lampę. Przewróciła się i zaczęła zsuwać ze stołu. Skoczył w jej kierunku i złapał, gdy już miała spaść na podłogę.

Ostrożnie postawił ją na środku stołu, odsunął ręce.

– Teraz stój spokojnie - cofnął się o krok i uderzył piętą w piecyk, przewracając go. Rozgrzane węgle wypadły na brudną podłogę i potoczyły się w stronę ścian.

Zaklął i prędko zaczął wykopywać węgle na środek chaty, a potem na zewnątrz. Rozejrzał się wokoło, powąchał.

Dym.

Nagle na jednej ze ścian zajaśniały płomienie. Indy zaczął je gasić swoją kurtką. W końcu znalazł węgiel i wykopał go za drzwiami. Przydeptał iskry i powachlował zasłoną przy wyjściu, aby rozwiać dym. Jednakże świeże powietrze wznieciło płomień, którego nie zauważył i ściana znów się zapaliła.

– Au...! - krzyknął. Chwycił stojący na podłodze dzbanek z wodą i ugasił ogień. Gdy upewnił się, że nie było już żadnych płomieni, wziął lampę i zbadał uszkodzenia. Spora powierzchnia ściany była czarna, czuć było dym, ale struktura chaty pozostała nie naruszona. Z pewnością nie chciał zakończyć swojej warty, paląc doszczętnie chatę.

A przecież Dorian nie miałaby nic przeciwko temu.

Chata zbudowana z desek, słomy i wosku była próbą odtworzenia pierwszej świątyni w Delfach. Była to część planu wprowadzanego przez Stephanosa Doumasa, planu mającego połączyć teraźniejszość z przeszłością i uczynić ruiny bardziej przystępne i interesujące dla zwykłych turystów. Została zbudowana obok świątyni przez Doumasa i jego asystentów na krótko przed trzęsieniem i przetrwała nie naruszona.

Po przyjeździe, gdy Doumas prowadził ich do szczeliny, Dorian zatrzymała się przy chacie, obejrzała ją i zapytała Doumasa, co to jest. Wybuchnęła śmiechem, gdy ten skończył wyjaśniać.

– A więc obok archeologii zajmujesz się rozwojem turystyki. Czy tego cię nauczyłam na studiach?

– No, niezupełnie, ale.

– W rzeczywistości uczyłam cię, Stephanos, że turyści to kosztowny kłopot. Rozwój turystyki pochłania pieniądze, które mogłyby pójść na badania. Jeżeli pozostawimy turystów bez opieki, to zniszczą naszą pracę.

Doumas był przytłoczony jej krytyką, ale szybko się otrząsnął.

– Cóż, przyjedzie tutaj bardzo ważny turysta. Nie kto inny tylko sam król i jestem pewien, że to dobry pomysł, aby go zadowolić.

Dorian odwróciła się od chaty i przez kilkanaście sekund patrzyła w stronę świątyni. Indy był zdziwiony widząc, jak dobrze potrafiła skrywać swoje uczucia. Na pewno przypuszczała, że przyjazd króla do Delf ma związek z polityczną sytuacją jej rodziny oraz z jej własnym powrotem.

Gdy znów na nich spojrzała, była uśmiechnięta.

– A więc wszystko dzieje się naraz. Opary się unoszą, król przybywa.

– I pani tu jest - dodał Doumas.

– Tak, jestem tu. Teraz powiedz mi coś więcej o tych gazach.

Doumas wyjaśnił, że opary unoszą się trzy razy dziennie w odstępach od dwóch i pół do trzech godzin.

– Dobrze, przekształcimy chatę w punkt obserwacyjny i będziemy się przyglądać tym gazom - stwierdziła.

Gdy Doumas zaprotestował mówiąc, że chata nie jest do tego przeznaczona, Dorian przypomniała mu, że skontaktował się z nią po trzęsieniu ziemi i poprosił o pomoc.

– Skoro przyjechałam tu aż z Paryża, pozwól, że będę robiła to po mojemu, Stephanos. Czy to jasne? - Doumas szybko wycofał się i od tej chwili nie było żadnych wątpliwości, że w czasie swego pobytu w Delfach Dorian jest szefem.

Indy założył kapelusz i wyszedł na zewnątrz. Światło księżyca oświetlało ruiny, rozjaśniając kolumny świątyni Apollina, głazy i szczątki starożytnych murów. Za świątynią nagły wznios stoku górskiego pozostawał w cieniu i wywoływał uczucie trwogi. Potarł dłoń o dłoń, walcząc z chłodem i udał się w stronę świątyni.

Myślał o tym, co ostatnio przeczytał o Delfach i próbował wyobrazić sobie, jak by to było odwiedzić święte miejsce u szczytu jego chwały. Świątynia została wzniesiona w czwartym wieku przed Chrystusem, po tym, jak poprzednią zniszczyło trzęsienie ziemi. Przez następne stulecia ustaliła się specjalna formuła. Pielgrzymi pragnący znać swoją przyszłość musieli wpierw złożyć w ofierze owcę lub kozę i dopiero wtedy, kiedy odczyt z wnętrzości zwierzęcia był pomyślny, byli wpuszczani do świątyni. - Gdy osoba była bogata, to wnętrzości bez wątpienia miały układ pomyślny - wywnioskował Indy.

Po przejściu przez portal widzieli najpierw ściany z napisami typu: „Poznaj siebie” czy „Niczego za wiele”. Za portalem znajdowały się posągi Posejdona, Apollina i Mojr. Inne skarby to posąg Homera i żelazne krzesło, na którym siedział Pindar, gdy przyjechał do Delf śpiewać ody na cześć Apollina.

Poniżej powierzchni ziemi znajdowały się główne kaplice świątyni. Wielka, złota statua Apollina strzegła wejścia do wewnętrznego sanktuarium nazywanego adytonem. W sanktuarium tym znajdował się grób Dionizosa i trójnóg, na którym siadała Pytia i wdychała tajemnicze gazy, wznoszące się przypuszczalnie z rozpadliny w ziemi. Tam również leżał omfalos, czarny, stożkowaty kamień, który był uważany za pępek świata i zawsze znajdował się w pobliżu Pytii, gdy ta przemawiała.

Ale to wszystko przepadło, zaginęło, zostało ukradzione lub zniszczone - myślał, mijając Świętą Drogę. Zatrzymał się w miejscu, w którym lina blokowała wejście do świątyni. Dopóki nie będzie wiadomo czegoś więcej o oparach, nikomu nie wolno było wchodzić głębiej.

Zanim lina została rozciągnięta, Dorian dokładnie zmierzyła szczelinę. W najszerszym miejscu miała około dziewięciu stóp i była długa na trzydzieści stóp. Ziemia na brzegach rozpadliny była wybruszona, a szparę otaczał wał piachu i kamieni. Jednakże podejść można tam było tylko od

strony najbliższej wejścia do świątyni. Z drugiej strony dostępu bronił głęboki rów.

Cienka nić dymu pojawiła się nad wałem. Indy spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzydzieści dziewięć. Cztery godziny i dwadzieścia trzy minuty od ostatniej emisji. Dokładnie na czas. W ciągu kilku sekund opary zgęstniały i zakłębiły się nad szczeliną.

Co by się stało, gdyby spróbował wdychać gazy? Najprawdopodobniej była to po prostu woda zamieniona przez rozgrzaną ziemię w parę. Cholera, miał już dość obserwowania tych oparów. Spróbuje gazu i udowodni, że jest nieszkodliwy. Jeżeli chociaż trochę zakręci mu się w głowie, może po prostu cofnąć się i odetchnąć świeżym powietrzem.

Obejrzał się do tyłu i przełożył nogę przez linę. Powietrze nad szczeliną miało teraz fioletową barwę. Jego serce zaczęło bić szybciej, gdy przekładał drugą nogę. Może to błąd. Może to jest trujący gaz.

Skończ z tym wreszcie. Zrób to.

– Jones, co ty tam robisz?

Opuścił nogę, stając okrakiem nad liną i spojrzał za siebie na Dorian wynurzającą się z cienia chaty. Księżyc oświetlał połowę jej twarzy. Z zakłopotaniem powrócił przed linę.

– Znów się zaczęło. Dokładnie o czasie.

– To widzę - zbliżyła się do niego. - Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co zamierzałeś zrobić?

Próbował znaleźć jakąś wymówkę.

– Chciałem się przyjrzeć z bliska.

– Myślałam, że wyraziłam się jasno, zabraniając tobie czy komukolwiek wchodzić tam, gdy opary się unoszą.

– Może to krew bogów.

Teraz widział jej twarz dokładnie; nie była rozbawiona. W żyłach bogów płynął specjalny eteryczny płyn.

– Nie czas na żarty - burknęła. - Archeologia wymaga racjonalnego myślenia i powolnej pracy.

– Jeżeli chcesz mówić racjonalnie, w porządku. O gazach nie dowiemy się nic, dopóki ktoś tam nie wejdzie i nie będzie nimi oddychał.

– A ty chcesz być tą osobą, jak przypuszczam?

– Jestem gotów spróbować.

– Nie - odpowiedziała stanowczo. - W ten sposób tego nie zrobimy - w tym momencie opary zaczęły słabnąć, opadły i zniknęły. Dorian sprawdziła godzinę. Gdzie jest notes? Nie zapisujesz czasu?

– Zostawiłem w chacie, a czas zapamiętuję - powiedział jej, o której godzinie gazy się uniosły.

Dorian pokręciła głową.

– Jones, jeśli chcesz zostać archeologiem, musisz nauczyć się cierpliwości. Epoka łowców skarbów, archeologów-poszukiwaczy przygód już minęła. Archeologia to powolna, staranna praca. Studiujemy najdrobniejsze szczegóły, fragmenty, szczątki, odpryski czasów. W ten sposób powiększamy naszą znajomość przeszłości.

– Rozumiem to, ale w tym wypadku musimy spojrzeć z geologicznego punktu widzenia. Im dłużej czekamy, tym większe jest ryzyko straty tablicy w wyniku kolejnego wstrząsu.

– Jestem tego świadoma - jej głos stał się zimny i oschły. - Jutro rano zamierzam przywiązać kozę w pobliżu szczeliny. Zobaczymy jej reakcję.

– Kozę? - zaśmiał się. - Ładnie się łączy - w legendzie o wyroczni delfickiej koza jako pierwsza wdychała zapach gnijącego ciała Pytona i oszalała. Później pasterze odkryli rozpadlinę i wielu z nich, odurzonych gazami, wpadło do szczeliny.

– Myślałam, że to ci się spodoba.

Indy jednak nie przestał jej prowokować. No to co, że zezłości się na niego. Lepsze to, niż być ignorowanym. Odkąd tu przybyli, stała się zimna. Nie tylko przestała być jego kochanką, ale również prawie go nie

zauważała. Zastanawiał się, czy jest jakiś inny mężczyzna, może ktoś z wioski. W końcu pracowała tu przez kilka lat, nim wyjechała do Paryża.

– Zapewne masz nadzieję, że te gazy są prawdziwe, że wprowadzają ludzi w trans i powodują widzenie przyszłości.

– Jones, jesteś bezczelny i nie doceniasz mnie. Nie wysuwam żadnych przypuszczeń. Niczego nie chcę udowodnić.

– A jeśli koza nie będzie reagować?

– Wtedy zajmiemy się najważniejszym.

– To znaczy?

– Zdecydowałam, że to ty powinieneś zejść do szczeliny. Oczywiście nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz. Decyzja należy do ciebie. Ja ci tylko stwarzam możliwość.

– Zrobię to - powiedział bez chwili wahania. - Im szybciej, tym lepiej.

– Dobrze. Cieszę się, że to słyszę - spojrzała mu prosto w oczy, jakby chciała przejrzeć go na wylot. - Przepraszam, jeśli ignorowałam cię, ale byłam bardzo zajęta - dodała cieplejszym głosem.

– To zrozumiałe. Tak mi się wydaje. Dużo masz przyjaciół w wiosce?

– Dlaczego pytasz?

Wzruszył ramionami.

– Powiedziałaś, że byłaś zajęta.

– Zajęta pracą, nie kontaktami z ludźmi. Jeśli nie zauważyłeś, to powiem ci, że większość mieszkańców wioski trzyma się z dala od ludzi pracujących w ruinach.

– Dlaczego?

– To jest swego rodzaju tradycja i pochodzi z czasów, kiedy wioska została przeniesiona, aby umożliwić nam, archeologom, prowadzenie wykopalisk.

Uśmiechnęła się i już miała coś powiedzieć, gdy Indy zbliżył się i chciał wziąć ją za rękę. Gwałtownie cofnęła się i zwróciła do niego oficjalnym głosem:

– Możesz iść już na kolację. Moussaka jest dziś wyśmienita. Do rana ja będę obserwować.

Wciąż zimna - pomyślał. Chociaż ostrzegła, że będzie się tak zachowywać, to mimo wszystko bolało. Patrzył jak wycofała się do chaty. Już miał odejść, ale zdecydował się pozostać. Wiedział, że to jeszcze nie koniec. Nie czekał dłużej niż kilka sekund.

– Jones - krzyknęła. - Skąd ten dym tutaj?

Gdy wyszła na zewnątrz, on podszedł do chaty i opowiedział jej, co się stało.

Skinęła głową, ręce oparła na biodrach i obeszła chatę wokół. Potem zbliżyła się do niego.

– Powinieneś pozwolić jej się spalić - wyszeptała. Nachyliła się i pocałowała go delikatnie w usta. Bariera, która pomiędzy nimi wyrosła, zachwiała się przez chwilę. - Lepiej już idź.

– W porządku. Wezmę tylko książki na wypadek, gdyby pożar znów wybuchł.

Roześmiała się gwałtownie, a on po raz pierwszy od przyjazdu poczuł się blisko niej. Włożył książki do płóciennego plecaka i zatrzymał się w wejściu.

– Niepokoisz się przyjazdem króla?

– Niepokoję? Dlaczego nie? Jestem nawet podekscytowana.

Incydent w tawernie

Indy jadł kolację i przeglądał książki. Uważał, żeby nie poplamzić kartek ostrym, aromatycznym sosem. Nim tablica zostanie wydobyta i oczyszczona, chciał każdą wolną chwilę poświęcić na studiowanie starogreckich pism. Udowodni Dorian, że wybrała sobie dobrego asystenta.

Gdy skończył jeść, wyjął ołówek i zrobił kilka obliczeń. Jeśli opary będą unosiły się z taką samą częstotliwością, to pojawią się znów o pierwszej zero osiem, piątej czterdzieści trzy, a potem o dziesiątej dwadzieścia cztery. Dorian powiedziała, że jutro wczesnym rankiem umieści w oparach kożę. A więc wyjdzie o piątej czterdzieści trzy i on tam będzie. Nic go nie powstrzyma od zobaczenia tego.

Była już prawie jedenasta, gdy Indy zbierał się do wyjścia. Zarzucając plecak z książkami na ramię, spojrzął w górę na migoczące konstelacje i ruszył drogą. Wyobraził sobie siebie jako naukowca badającego język starogrecki w drodze do Delf. I co temu lingwiście powiedziałyby wyrocznia? Że będzie miał świetną pracę, poślubi córkę króla, stanie się doskonałym nauczycielem? Ale dlaczego ten młody, inteligentny naukowiec nie zorientuje się, że wyrocznia jest narzędziem w rękę kapłanów, że powiedziano mu bzdury? Być może dlatego, że nie chce wiedzieć.

Indy już miał wejść do hotelu Delfy, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich szczupły, ale dobrze zbudowany chłopak. Miał około piętnastu lat, krótkie włosy i rysy typowego Greka.

– Cześć, Nikos.

– Indy, chyba nie idziesz już do pokoju? Dziś jest sobota. Chodź ze mną do tawerny.

– Nie jesteś trochę za młody?

Jego ciemne oczy zabłyśły.

– Co masz na myśli? - zapytał Nikos.

Indy zmarszczył brwi. W jego kraju nie wolno było nikomu pić. Tutaj nastolatek o godzinie jedenastej szedł sobie do tawerny.

– Lubisz retsinę?

– Ja nie piję - odparł Nikos. - Ojciec mi nie pozwala. Ale mogę posłuchać muzyki i potańczyć. Chodź ze mną. Zobacysz, jak my się bawimy.

Nikos był recepcjonistą w hotelu, który należał do jego ojca. Wychowywał się w małej wiosce, ale miał styczność z wieloma cudzoziemcami i nauczył się angielskiego, niemieckiego i francuskiego.

Indy spojrział w stronę tawerny. Wahał się, ale Nikos nalegał:

– Daj mi te książki. Położę je za biurkiem. Ty też możesz się trochę rozerwać.

Wzruszył ramionami.

– Okay. Ale tylko na kilka minut - podał chłopakowi plecak i patrzył jak ten znika w hotelu.

Indy nie chciał obrazić Nikosa. Był wartościowym źródłem informacji i chyba jedyną osobą, która z nim rozmawiała. Poza tym drink przed spaniem dobrze mu zrobi, ale tylko jeden. Chciał być w swoim pokoju najpóźniej o północy.

Nikos rozmawiał z Indym po angielsku i zadawał wiele pytań o Amerykę. Pewnego razu chciał wiedzieć, czy to prawda, że są tam miasta pełne samochodów i że w każdym domu jest radio. Innym razem pytał, czy Ameryka jest większa niż Grecja i Turcja razem wzięte. Indy odpowiadał mu, jak tylko mógł najlepiej, a w zamian Nikos dostarczał mu ciekawych informacji o tym, co się działo w wiosce i w ruinach.

Od Nikosa dowiedział się, że Dorian i Doumas sprzecniają się o niego. Nikos nie słyszał wszystkiego, ale powiedział Indy'emu, że Doumas narzekał na jego brak kwalifikacji do pracy w ruinach i że uskarżał się, iż jego obecność jest obrazą wszystkich greckich archeologów. Doumas był wściekły, gdy Dorian nie chciała ustąpić. Teraz Indy znał powód jego gniewu. Musiała powiedzieć mu, że chce, aby Indy zszedł do szczeliny po tablicę.

– Chodźmy - rzekł Nikos, pojawiając się w drzwiach. - Zabawimy się dzisiaj. Chodziłeś do tawern w Atenach?

Indy pokręcił głową.

– Nie miałem czasu.

– Najlepsze są na Platia Phlomouson Hetairae - Nikos szedł obok niego, wymachując rękami.

– Plac kurtyzan kochających muzykę - powiedział Indy.

– Tak. Twoja greka jest bardzo dobra.

Gdy zbliżyli się do tawerny, Indy usłyszał nikły, ale piskliwy jęk, którego wcześniej nie zauważył.

– Co to za hałas?

– To nie hałas. To muzyka. To askomandra, wiesz, rodzaj wielkiej piszczałki. Tylko że zrobiona jest ze skóry owcy.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Czy gdzieś tu w okolicy grają jazz?

– Jazz? Co to jest jazz?

Indy zaśmiał się w myślach.

– Chyba nie. Jak będziesz w Chicago, to zabiorę cię do Dreamlandu, żebyś zobaczył kapelę jazzową.

– Dreamland jest w Ameryce? [z ang. „kraina marzeń” - przyp. tłum.]

– Niektórzy tak mówią - Indy otworzył drzwi i weszli do tawerny.

– Świetnie. Chcę pojechać do Ameryki - krzyknął Nikos ponad kakofonią dźwięków.

Na środku sali mężczyźni tańczyli w kole w rytm tradycyjnej greckiej muzyki przy akompaniamencie askomandry. Indy rozejrzał się wokół czując, że nie pasuje do tego miejsca. Ale prawie natychmiast pojawił się kelner w białej koszuli i podał mu drinka.

– Ouzo - powiedział Nikos, gdy Indy trzymał szklankę i wpatrywał się w jej przeźroczystą zawartość.

– Myślałem o piwie.

Nikos pomachał ręką i pokręcił głową.

– Tu nie ma piwa. Tylko ouzo, retsina, rakii aretsinoto.

– Oczywiście - rzekł Indy i z niechęcią spojrział na napój. - Gdy jesteś w Delfach, zachowuj się jak delfiny.

Kilku mężczyzn wokół przyglądało się Indy'emu.

– On jest z Ameryki - obwieścił głośno Nikos. Skinęli głowami i wzniesli szklanki, jak gdyby pokazując, jak należy pić.

Gdy wychylił pachnący anyżem płyn, dwaj mężczyźni pokleпали go po plecach, jakby gratulując mu. Nikos rozglądał się z dumą.

Jeden z mężczyzn, podstarzały, ze zniszczoną marynarską czapką na głowie, podszedł do niego i wymamrotał coś. Indy potrząsnął głową, nie będąc w stanie dosłyszeć go przez hałas.

Nikos nachylił się do ucha Indy'ego i powiedział głośno:

– To szalony starzec. Mówi o dawnych bogach.

– Co powiedział?

Nikos pokręcił głową.

Starzec jednak był natarczywy. Klepnął Indy'ego w pierś i przemówił ponownie. Indy spojrział na Nikosa.

– Coś o Pytii.

– Co o Pytii?

Nikos porozmawiał ze starcem, który spojrział na Indy'ego i znów zamruczał.

– No, o co chodzi? - zapytał Indy, gdy Nikos się nie odzywał.

– Mówiłem ci, że on jest nienormalny. Nazywają go tu Szaleńcem.

– Ale co powiedział? - dopytywał się Indy.

– Twierdzi, że Pytia złapała cię mocno i...

– I co?

– .i połknie cię jak małą myszkę. Właśnie to powiedział.

Indy wyszczerzył zęby w uśmiechu i pochylił się do Nikosa.

– Powiedz mu, że jeszcze jej nie spotkałem. Ale kiedy spotkam córkę węża, to na pewno ją poznam.

Inny stary Grek podszedł do Szaleńca, poklepał Indy'ego po ramieniu i przemówił niewyraźnym głosem. Nikos tłumaczył:

– Zaprosił cię, żebyś go odwiedził i spróbował jego domowej retsiny.

– Dzięki - Indy uśmiechnął się i skinął głową. - Ten wynalazek smakuje straszliwie.

Mężczyzna, który nie zrozumiał ani słowa, pokiwał z zadowoleniem głową.

Indy i Nikos wybuchli śmiechem.

– Przyjazna gromada - rzekł Indy, ale jak tylko wypowiedział te słowa, jego uśmiech nagle zniknął. Krąg tańczących mężczyzn rozdzielił się i rozproszył, stwarzając lepszy widok na drugą stronę sali. Przy stole pod ścianą siedział Doumas, a wraz z nim znajomo wyglądający mężczyzna z kręconymi włosami. Jego widok sprawił, że Indy poczuł się nieswojo. Próbował przypomnieć sobie, gdzie go widział; to był jeden z tych dwóch, którzy śledzili jego i Dorian na Akropolu. Był tego pewien.

– Nikos, kto to rozmawia z Doumasem?

Nikos wyciągnął szyję.

– Nazywa się Panos. Jest z Aten, ale urodził się tutaj. Przyjeżdża odwiedzić swoją matkę. Przywozi ze sobą syna.

– Skąd Doumas go zna?

– Stephanos zna wszystkich.

Chciał się przekonać, jak mężczyzna zareaguje na jego widok i zaproponował, aby poszli tam i przywitali się z Doumasem.

Nikos pokręcił głową.

– Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego nie?

– Panos nie jest przyjazny, szczególnie wobec ludzi, takich jak ty, to znaczy obcokrajowców.

– Cóż, to jest duży świat. Będzie musiał to znieść. - Indy zaczął przeciskać się przez tłum, ale Doumas zauważył go i podniósł się, stając między nim a Panosem.

Pierwszego dnia, gdy Indy przyjechał, Doumas przy każdej okazji chwalił się swoją wiedzą o Delfach i o archeologii w ogóle. Następnego dnia, gdy dowiedział się, że Indy nie jest nawet studentem archeologii, zaczął go po prostu ignorować.

– Dobry wieczór, Stephanos - powiedział swobodnie. - Kim jest twój przyjaciel? Chyba go jeszcze nie poznałem.

– Zajmij się swoimi sprawami, Jones.

Indy wzruszył ramionami.

– W porządku - zaczął się odwracać, ale zamiast tego obszedł otyłego archeologa i postawił na nogi Panosa.

– Cześć.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Pokręcił głową.

– Ja nie angielski.

– Ja cię znam - powiedział, gdy muzyka zaczęła grać. - Bawiliśmy się w chowanego na Akropolu.

Doumas chwycił Indy'ego za ramię.

– Jones, co ty, do cholery, wyprawiasz? - krzyknął.

Wbił łokieć w brzuch Doumasa i wyzwolił się z jego uchwytu.

– Śledziłeś mnie i moją przyjaciółkę. Dlaczego? - powiedział powoli i głośno, ale Panos pokręcił tylko głową i próbował się uwolnić.

– Indy, uważaj - wrzasnął Nikos, ale było za późno.

Indy dostrzegł coś kątem oka. Nie był to Doumas, lecz ktoś inny, młodszy, chudszy. W tym momencie pięść nieznajomego mocno uderzyła w szczękę Indy’ego.

Zatoczył się do tyłu, wpadając w krąg przytupujących tancerzy. Ktoś chwycił go pod rękę. Został obrócony i odepchnięty. Greckie wrzaski i jęki askomandry wirowały wokół jego głowy. Fragmenty twarzy zlewały się. Oczy i nosy zmieniały pozycje, jak na kubistycznych portretach. Znów ujrzał nieznajomego. Była to młodsza wersja Panosa. Napastnik cofnął rękę, by zadać kolejne uderzenie, lecz tym razem Indy zareagował szybciej i walnął go w nos.

Nagle obok niego pojawił się Nikos.

– Chodź, szybko, musimy iść.

Indy był już prawie przy drzwiach. Usłyszał za sobą zamieszanie i włosy na głowie stanęły mu dęba. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę, którego uderzył, gnającego w jego kierunku z nożem nad głową. Indy zasłonił się ręką, gdy ten zaatakował. Jego cios jednak nie dotarł, ponieważ otoczyły go mięsiste ręce Doumasa. Napastnik został uniesiony i odsunięty.

Indy rozejrzał się wokoło. Wszyscy w tawernie wpatrywali się w niego. Uśmiechnął się nieśmiało.

– Najwyższy czas iść spać - wyszedł z lokalu i rozmasował sobie szczękę.

Po chwili dogonił go Nikos.

– Wszystko w porządku, Indy?

– Chyba tak. Czy tawerny w Atenach też są takie zabawne?

– Jones - zawołał ktoś gardłowym głosem. Indy odwrócił się i zobaczył Doumasa stojącego w drzwiach tawerny. Jego twarz była czerwona i spocona, a palec wyciągnięty w stronę Indy’ego. - Nie należysz do nas. Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć Paryż, trzymaj się z dala od greckich spraw.

Indy otworzył drzwi do swojego pokoju, uchylił je na kilka cali i położył książki na podłodze. Spojrzał przez ramię upewniając się, że Nikos go nie widzi. Potem, zamiast wejść do środka, zamknął drzwi i ruszył w stronę schodów. Wyszedł na zewnątrz, skierował się do hotelowej stajni i osiodłał jednego z koni należących do ekipy archeologów.

Musi czym prędzej udać się do ruin. Delfy to pułapka. Dumas na pewno jest częścią spisku przeciwko Dorian i jej ojcu i on musi jej to powiedzieć. Trzeba stąd uciekać i nie ma czasu do stracenia.

Nie mógł jechać drogą przez wioskę, bo musiałby przejeżdżać obok tawerny i Dumas lub inni mogliby go zauważyć. Poprowadził konia za stajnię wąską ścieżką prowadzącą do lasu. Jechał tą dróżką tylko raz i było to w dzień w towarzystwie Nikosa. Wiedział, że w drodze będzie musiał polegać na instynkcie konia.

Indy jechał cwałem wśród ogłupiającej ciemności. Widoczność ograniczała się do kilku metrów przed koniem. Ścieżka wznosiła się łagodnie, potem opadała i znów się wznosiła. Podskakiwał w siodle trzymając się cugli, więc zwolnił do kłusu.

– Spokojnie, malutki. Po prostu trzymaj się drogi.

Nagle dróżka gwałtownie opadła. Koń zachwiał się i zarżał.

– Uaa, uaa - krzyknął Indy pociągając za cugle. To był błąd, duży błąd - powiedział sobie w myślach. Ale nie zawróci teraz. Zrobi to. Jakimkolwiek sposobem. Jakby w odpowiedzi na jego myśli, koń nagle zatrzymał się.

– Co się stało?

Wtedy Indy dostrzegł, że dróżka rozwidlała się i koń czeka na polecenia.

– Hej, ja nie wiem. Po prostu biegnij w stronę obozu. Wiesz, twojej stajni.

Koń parsknął, potrząsnął łbem i poruszył się. Ale nie wybrał żadnej z dróg. Nagle Indy usłyszał jakieś dźwięki z tyłu. Odwrócił głowę i

nasłuchiwał. Znow się pojawiły; tętent kopyt zwierzęcia biegnącego dróżką w jego stronę.

Chryste. Jadą za nim. Ruszaj.

Skierował konia na lewo, dotknął piętami jego boków i potrząsnął cugłami. Koń ruszył kłusem i zaczął wspinać się pod górkę. Musieli zobaczyć go, jak wychodził z hotelu i zorientowali się, co chce zrobić. To miejsce zdecydowanie nie nadawało się do konfrontacji, a oni niewątpliwie właśnie tego chcieli. Żadnych świadków. Czy jestem frajerem? - myślał, słysząc zbliżający się pościg.

Może powinien zejść z konia i posłać go dalej samego. Pojechaliby za koniem, a on mógłby uciec.

– Dobry pomysł - powiedział do siebie. Już miał zatrzymać konia, ale cugle wyślizgnęły mu się z ręki. Sięgnął po nie w ciemność, ale nie mógł ich znaleźć.

– Do diabła z nimi - zaklął na głos i zaczął schodzić z konia w biegu. W tym momencie ścieżka zakręcała i gruba gałąź uderzyła Indy'ego prosto w czoło. Zachwiał się w ciemności i spadł z hukiem na ziemię.

Wciągnął do płuc powietrze. Usłyszał tętent kopyt. Przekręcił się na brzuch, potem wstał. Zrobił jeden krok, drugi i opadł na kolana. Próbował podnieść się, ale upadł do tyłu. Wysoko nad nim gwiazdy zaczęły zataczać szalone kręgi. Zamknął oczy i stracił przytomność.

Głos.

– Indy, dobrze się czujesz?

Otworzył oczy i ujrzał Nikosa.

– Gdzie oni są? Jechali za mną i...

– To byłem ja. Chciałem cię dogonić. Prawie na ciebie najechałem.

– Czuję się tak, jakbyś to zrobił.

– Możesz iść?

Usiadł i potarł głowę.

– Kto wie. Chyba nic sobie nie złamałem.

Nikos pomógł mu wstać.

– Po co jechałeś w nocy do ruin?

– Muszę porozmawiać z Dorian. Gdzie jest mój koń?

– Tutaj - rzekł Nikos, wskazując na ścieżkę. - Ale wjechałeś w złą drogę.

Tędy nie dojedziesz do ruin.

– Pokaż mi drogę - Indy otrzepał ubranie i podszedł do konia.

– Indy, myślę, że powinieneś uważać na panią Belecamus.

– Uważać na nią? Dlaczego?

– Z powodu tego, kim ona jest. Nie wiesz o niej wszystkiego.

– Masz rację, nie wiem - przypomniał sobie, co mówiła mu o nastawieniu mieszkańców wioski wobec niej. - Porozmawiamy o tym kiedyś. Teraz jednak muszę się dostać do ruin.

Odwiązał konia od drzewa i przełożył nogę nad siodłem.

– Posłuchaj mnie - Nikos pośpieszył za nim. - Przebywanie w jej pobliżu jest dla ciebie niebezpieczne.

Indy odwrócił się i spojrzał na niego.

– O czym ty mówisz?

Nikos podszedł bliżej i chwycił cugle konia Indy'ego.

– Wyrocznia powraca, a oni mówią, że Belecamus jest Pytia.

– Kto to mówi?

– Ci ludzie w tawernie. Panos, jego syn Grigoris, Doumas chyba też. Oni wszyscy należą do Zakonu.

Indy pokręcił głową.

– Do jakiego zakonu?

– Zakonu Pytii. Oni są strażnikami pradawnej wiedzy.

– A dlaczego myślą, że Belecamus to Pytia?

– Ten starzec w tawernie, Szaleniec, jest najstarszym członkiem Zakonu i wiele lat temu przewidział, że Pytia powróci. Powiedział, że nastąpi to po trzęsieniu ziemi i przed przyjazdem króla.

– Dobrze. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Dlaczego Belecamus jest nową Pytią?

– Szalenciec powiedział, że Pytia będzie należała do Dorów.

– Do Dorów? Ilu ich jest?

Nagle przypomniał sobie coś, co ostatnio przeczytał. Dorowie to najeźdźcy, których imię było synonimem greckiej Czarnej Ery około 1000 roku przed Chrystusem. Zastąpili większość bogiń bóstwami rodzaju męskiego i ich wpływ mógł być powodem panowania Apollina w Delfach. Było wielu Dorów, a Belecamus nie miała z nimi nic wspólnego. Ale niewątpliwie miała na imię Dorian.

– Przez lata niewiele się mówiło o tej przepowiedni - wyjaśniał Nikos. - Jednak po trzęsieniu ziemi Doumas skontaktował się z Dorian Belecamus i gdy ona zgodziła się przyjechać, Panos był już pewien, że proroctwo sprawdzi się.

– Wierzysz w to?

Nikos spojrział ze zdziwieniem na Indy'ego.

– Nikt mnie nigdy o to nie pytał. Myślałem, że to zwykłe brednie, dopóki się nie dowiedziałem o przyjeździe króla. Widzisz, wszystko pasuje.

– Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytał podejrzliwie.

Nikos uśmiechnął się i mrugnął okiem.

– Tym się zajmuję. Obserwuję i słucham. Tu można dużo zobaczyć i usłyszeć. Gdyby tak nie było, to bym się zanudził.

– Nieźle. Nikos, czy Dorian jest Pytią, czy nie, muszę z nią porozmawiać. Ci ludzie są niebezpieczni.

– Nie. Ty nic nie rozumiesz. Oni jej krzywdy nie zrobią. Oni chcą ją ochraniać.

– Ochraniać? Przed kim?

– Przed ludźmi z zewnątrz. Takimi, jak ty.

W oparach

Gdy nastał dzień, niewielka koza wkroczyła na szczyt starożytnego wału. Gdy doszła do brzegu nachyliła się, napinając linę. Z miejsca, gdzie stali Indy i Nikos, kilkanaście metrów od wału, trudno było stwierdzić, czy koza chciała przeskoczyć szczelinę, czy wskoczyć do niej. Była piąta czterdzieści i gazy miały się pojawić za trzy minuty. Nie ulegało wątpliwości, że agresywne zwierzę znajdzie się w obłokach wyziewów.

Indy spojrzał na Dorian i Doumasa, którzy rozmawiali, jak gdyby byli najlepszymi przyjaciółmi. Przypomnił sobie, jak się poświęcał, aby do niej dotrzeć i wszystko na nic. Pojechał do chaty i powiedział jej o mężczyznach w tawernie i o tym, czego się dowiedział o Zakonie Pytii. Dorian spokojnie go wysłuchała, a potem stwierdziła, że cieszy się z rozwiązania zagadki dwóch nieznanomych. Teraz mogą zająć się swoimi sprawami.

Indy był zaskoczony jej postawą. Nie przejmowała się organizacją i uważała, że to zabawne, iż biorą ją za Pytię. Wiedziała o tej grupie już od dawna. Była to część kultury i folkloru wioski i ci ludzie byli niegroźni. Wiedziała też, że Doumas zainteresował się Zakonem, a nawet zachęcała go do działania, ponieważ tworzyło to jakąś więź między wioską a naukowcami.

Indy powrócił do hotelu i czuł się jak sflaczały balon. Był zdezorientowany, ale zdał sobie sprawę, że Nikos prawdopodobnie miał rację mówiąc, że Zakon bardziej interesował się nim, obcym, niż Dorian, przypuszczalną Pytią. Jak gdyby chcąc okazać swoją troskę, Nikos błagał Indy'ego, żeby pozwolił mu przyjść tego ranka. Indy niechętnie zapytał

Dorian o pozwolenie, a ona zgodziła się pod warunkiem, że będzie opiekował się chłopcem.

Doumas nagle krzyknął i wyciągnął rękę w stronę rozpadliny. Indy spojrzał we wskazanym kierunku. Przez chwilę nie mógł się zorientować, dlaczego Doumas był tak podekscytowany. Wreszcie dostrzegł, że koza poluzowała postronek i teraz spacerowała niebezpiecznie blisko przepaści.

– Złapię ją - zawołał Nikos i przeszedł przez linę odgradzającą wejście.

– Nie, zostaw ją - wrzasnął Indy. - Nie podchodź tam.

Nikos jednak już biegł w stronę wału.

– A niech to, Nikos - Indy ruszył za nim, ale zatrzymał się po paru krokach. Nikos przykucnął kilka metrów od postronka.

– Spokojnie, mała. Spokojnie - mówił Nikos, zbliżając się powoli do kozy, gdy ta spoglądała w przepaść. Już miał chwycić sznurek, gdy nagle kamienie zadrżały i dał się słyszeć dziwny syk. Och Boże, kolejne trzęsienie ziemi - pomyślał Indy, ale nagle przypomniał sobie, że zeszłego wieczoru słyszał podobny dźwięk, lecz słabszy, gdy opary zaczęły się unosić.

Koza straciła równowagę. Ześlizgnęła się w stronę rozpadliny. Nikos skoczył, chwycił koniec sznurka i pociągnął. Nagłe szarpnięcie przewróciło zwierzę, ale po chwili było z powrotem na nogach i wspinało się na wał. Za kozą zaczęły podążać pierwsze smugi gazów.

Indy podbiegł do Nikosa i wziął od niego sznurek.

– Trzymaj się nisko - polecił mu.

Już chciał ściągnąć zwierzę z wału, ale przypomniał sobie powód, dla którego tu się znalazło. Położył się na ziemi, zakrywając nos i usta. Spojrzał przed siebie i zobaczył, że koza stoi nieruchomo spowita w gęsty, biały dym. Jej głowa była opuszczona i kiwała się z boku na bok.

Potem, bez żadnego ostrzeżenia, koza podskoczyła i sznurek wyślizgnął się z ręki Indy'ego. Zwierzę wykonywało dziwny taniec, zataczając okręgi i

wykrzywając ciało w różne strony. Zaczęło podskakiwać, potem upadło na kolana i wbiło rogi w ziemię.

Nikos natychmiast podskoczył, aby złapać sznurek.

– Wracaj tu - krzyknął Indy, ale było za późno. Opary gęstniały i Nikos zniknął w obłokach razem z kozą.

Gazy przekroczyły wał i płynęły w jego stronę. Zupełnie jakby myślały i czuły jego obecność. Indy nie wiedział, czy iść za Nikosem, czy się wycofać. Po chwili jednak Nikos, tak szybko jak zniknął, wyskoczył z obłoków i obaj wybiegli ze świątyni.

– Nic wam nie jest? - zapytała Dorian, spoglądając raz na Indy'ego, raz na Nikosa.

– Gdzie jest koza? - dorzucił Doumas.

– Koza tańczyła - powiedział Nikos. - Prawie złapałem sznurek, ale ona wskoczyła prosto w dziurę.

– Jesteś pewien? Może przeskoczyła na drugą stronę - rzekł Doumas.

– Dlaczego pozwoliłeś mu tam iść? - Dorian spojrzała z wyrzutem na Indy'ego.

– Zrobiłem to sam - odparł Nikos. - To moja wina. Chciałem wam pokazać, że potrafię uratować kozę.

Opary w końcu zniknęły, ale kozy nigdzie nie było. Wspięli się na wał i Indy wraz z Nikosem obeszli szczelinę i zajrzeli do wąskiego rowu po drugiej stronie. Był pusty. Teraz już się upewnili. Koza zginęła.

Gdy powrócili, Dorian położyła dłoń na ramieniu Nikosa.

– W porządku. Czy wdychałeś opary?

Pokręcił głową.

– Raczej nie. Wstrzymałem oddech.

– Dobrze - spojrzała w rozpadlinę. - Szkoda tej kozy. Nie możemy teraz stwierdzić, czy to była reakcja wywołana chwilowym strachem, czy też efekt działania gazów.

– Sądzę, że była tylko przestraszona - rzekł Indy. Pociąganie za linę, jak zrobił to Nikos, mogło spowodować u kozy taką właśnie reakcję.

– Być może - powiedziała Dorian. - Ale nie mamy pewności - wątpliwość w jej głosie była oczywista. Wyglądało na to, jakby Dorian chciała wmówić sobie, że opary powodują jakieś efekty.

– Aby na pewno udowodnić nieszkodliwość gazów, jedno z nas musi tam wejść i oddychać nimi - rzekł Indy.

Dorian skinęła głową.

– Zgadzam się. Następnym razem, gdy gazy się pojawią, wejdę w nie sama.

– Ty? - tym razem Indy, który zeszłej nocy był gotów wdychać wyziewy, nie był pewien, czy to dobry pomysł.

– Już czas, aby skończyć spekulacje. A poza tym nie robiłabym tego, gdybym naprawdę myślała, że są szkodliwe.

Odwróciła się, zeszła z wału i opuściła świątynię.

Indy spojrział na Doumasa, oczekując, że ten będzie protestował. On jednak tylko się jej przyglądał. Za cztery i pół godziny wszystko będzie wiadomo.

Panos z wyrazem determinacji na twarzy podążał nierówną, drzewiastą drogą. Grigoris szedł obok niego. Konfrontacja z tym cudzoziemcem, Jonesem, wyprowadziła go z równowagi, ale pomogła mu również podjąć decyzję. Wiedział, że już czas. Musi spotkać się z Dorian Belecamus. Musi jej powiedzieć. Musi sprawić, żeby zrozumiała.

Zmrużył oczy w przedpołudniowym słońcu, które wzniosło się ponad szczyty górskie. Minęli ścieżkę prowadzącą do stajni i warsztatu. Szli dalej, aż dotarli do miejsca, gdzie dawniej stał mur otaczający Delfy. Była tam dróżka, która zaprowadzi ich nad święte miejsce. Zejdą schodami

teatralnymi wychodzącymi na świątynię Apollina. To była dłuższa droga, ale nikt nie zauważył ich nadejścia.

– Ona nie będzie słuchać, ojciec - rzekł Grigoris, podążając u boku Panosa. - Ona jest intelektualistką. Wyśmiej cię. Pomyśli, że jesteś głupim wieśniakiem z przesadami.

– Czy ty też tak myślisz?

Panos był pewien, że jego syn jest głęboko oddany Zakonowi, niemniej jednak od czasu do czasu sprawdzał go.

Grigoris zawahał się nim odpowiedział:

– Gdybym wychowywał się w Atenach i studiował tam, z pewnością tak bym myślał.

Panos spojrział na niego z wyrzutem. Nauczył syna dawać proste odpowiedzi na pytania, bez niepotrzebnych komentarzy.

– Ja jednak zbyt dużo wiem - dodał szybko. - Nie jestem tak krótkowzroczny jak intelektualiści. Jestem otwarty na to, czego oni nie akceptują.

Panos pokiwał głową. To była odpowiedź, jakiej oczekiwał od Grigorisa. Poczł się dumny. Któregoś dnia jego syn poprowadzi Zakon Pytii. Jako kapłan Delf, emisariusz Apollina stanie się zdeterminowanym i zdyscyplinowanym człowiekiem. Najpierw jednak musi nauczyć się rozumieć i kontrolować swoje emocje. Jeśli mu się nie uda, to znaczy, że wszystkie lata, które Panos poświęcił na naukę syna, były stracone.

Za każdym razem, gdy zaczynał martwić się temperamentem Grigorisa, myślał o bogach z Olimpu. W swoim czasie zachowywali się podobnie jak jego syn. Byli gwałtowni, doszli do władzy w wyniku brutalnej walki ze swoimi poprzednikami, Tytanami. Apollo, na przykład, okazywał ten sam rodzaj agresywności co Grigoris. Gdy pytano Apollina w Delfach o zasadność wywoływania wojny, najczęściej radził zaatakować wroga.

Dróżka zakręciła i znaleźli się wśród kamiennych ławek, które tworzyły stary amfiteatr. Poniżej, świątynię okrywały obłoki, zupełnie jak wczesnym

rankiem. Ledwie można było dostrzec kolumny. Ale nie była to zwykła mgła, nie o tej porze. To były gazy - opary krwi bogów witające go. W jakiś sposób wiedział, że będą się unosić, kiedy przybędzie. Były kolejnym znakiem, że nadszedł odpowiedni czas.

Popatrzył przez moment na chatę stojącą pomiędzy Świętą Drogą a miejscem, gdzie kiedyś stało sanktuarium Posejdona. Dumas powiedział mu, że została tak zbudowana, aby kilku ludzi mogło przenieść ją w poblizsze szczeliny, gdzie on i Pytia będą mogli przyjąć króla i innych, którzy pragnęliby usługi. Później, gdy odrodzenie Delf stanie się głośne, będzie wystarczająco dużo pieniędzy, aby zbudować nową świątynię. Jeśli chodzi o Panosa, to pozostałości starych budowli mogły być usunięte.

Bardziej niż cegokolwiek Panos pragnął usłyszeć mowę Pytii. Wiedział, że od razu rozpozna to, co inni będą uważali za bełkot. Rozumienie tajemniczego języka bogów to przywilej Zakonu. Uczył się go jak zwykłego języka, ale pojmował na wyższym poziomie. Przez tysiąc sześćset lat, pokolenie po pokoleniu, stulecie po stuleciu Zakon służył jako strażnik świętej wiedzy i sekretów. Z czasem Zakon podupadł, miał jednego czy dwóch członków, ale wiedza i sekrety przetrwały.

Panos nie miał wątpliwości, że bogowie czuwali nad Zakonem, prowadzili jego członków, napędzając ich nadzieją, że któregoś dnia wyrocznia powróci. Bogowie i przeznaczenie tworzyli przecież jedność i powrót Pytii był nieunikniony. Teraz, po wielu stuleciach oczekiwania, miała zacząć się nowa epoka.

W tej chwili ujrzał Dorian Belecamus - Pytię - wychodzącą z chaty. Zatrzymał się i patrzył, jak weszła do świątyni i zniknęła w oparach. Chciał krzyknąć z radości. Zastanawiał się, w jaki sposób zaciągnie ją w opary, żeby jej udowodnić, że jest prawdziwą Pytią. Ona jednak robiła to sama, co jeszcze bardziej upewniło go, że wszystko dzieje się zgodnie z planem.

Pośpiesznie zszedł po kamiennych schodkach, Grigoris podążył tuż za nim. Gdy byli już na dole, pojawiły się jeszcze dwie osoby zmierzające za

Pytia.

– Oni idą do świątyni - krzyknął Grigoris.

Potem, nim Panos zdążył powiedzieć mu, żeby czekał i patrzył, Grigoris zawołał Doumasa. On i Indy zatrzymali się i spojrzeli w stronę teatru.

– Nie jesteś ostrożny - syknął Panos, chociaż wiedział, że Grigoris miał rację. Nadszedł czas, aby działać, a nie patrzeć.

– Panos - wrzasnął Doumas. Pomachał szaleńczo rękami. Grigoris przyśpieszył, a Panos starał się dotrzymać mu kroku. Gdy dotarli do Doumasa, ten powiedział im to, co już wiedzieli. Belecamus weszła w obłoki wyziewów i nie było jej widać. Jones stał kilka kroków w tyle i przyglądał im się z ciekawością. Jeśli incydent w tawernie przestraszył go, to nie pokazywał tego po sobie.

Grigoris stanął pomiędzy Jonesem a świątynią.

– Popilnuję go, ojciec.

– Co się dzieje? - zapytał Jones.

– Nie twój interes - odparł Doumas. - Nie zapominaj, co ci wczoraj powiedziałem.

Grigoris podszedł bliżej, jak gdyby potwierdzając, że to właśnie on zaatakował Jonesa.

Panos odwrócił się w stronę świątyni i zapytał Doumasa o dokładne położenie szczeliny. Otyły archeolog machnął ręką i pokazał mu. Wtedy właśnie niesamowity krzyk przebił zasłonę dymu. Dźwięk ten wywołał dreszcze na plecach Panosa.

– Zostańcie tu i czekajcie na mnie - powiedział Panos i pobiegł do świątyni. Przeszedł nad liną i resztkami muru i popędził w stronę piaszczystego wału, który częściowo był spowity oparami. Wiedział, że gazy mają wpływ tylko na tych, którzy są podatni na stany transowe i że on, jako kapłan Zakonu, jest zabezpieczony. A jednak nabrał powietrza w płuca, wstrzymał oddech i wspiął się na wał.

Stanął na szczycie i rozejrzył się. Ani śladu po Dorian. Wypuścił powietrze z płuc i ostrożnie powąchał opary. Nie miały żadnego zapachu ani nie wywoływały natychmiastowego efektu. Zrobił krok naprzód i spojrzał w dół ziejącej przepaści. Serce waliło mu w piersiach, gdy pomyślał, że krzyk, który słyszał, mógł być ostatnim tchnieniem Pytii spadającej w otchłań. Nie byłoby powrotu. Nie w jego życiu. Belecamus była jedyna. Nikt nie mógł jej teraz zastąpić. Ale jak mógł tak się mylić?

Nagle zakręciło mu się w głowie, zupełnie jakby nagle wstał po wypiciu kilku szklanek retsiny. Miał zawroty głowy, ale myślał normalnie. Był świadom swojej sytuacji i czuł, że coś się stanie. Delikatnie odsunął się od rozpadliny. Nagle jakaś ręka chwyciła go za łokieć. Odwrócił się, przestraszył i wyrwał rękę z uścisku. To była Belecamus. Ręce miała wzniesione, jakby chciała wrzucić go do szczeliny. Wtem zobaczył jej twarz. Oczy miała wywrócone, usta otwarte, a język wysunięty w lewą stronę.

Patrzył, zaskoczony.

– Wiesz, kim jesteś?

Jej usta zaczęły się poruszać, pokiwała głową, ale nie wypowiedziała ani słowa.

– Jesteś Pytią. Musisz zrozumieć. Wyrocznia powróciła, a ty jesteś Pytią.

Zrobiła chwiejny krok naprzód, pokręciła głową. Otwierała i zamykała usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Potem, z nagłym przypływem energii zakręciła się, rozłożyła ramiona i zatoczyła się na brzeg szczeliny. Zamierzała skoczyć.

Panos chwycił ją mocno w pasie, odciągając od przepaści.

– Musisz to przyjąć, musisz to przyjąć.

Zaczęła się rzucać w jego ramionach. Nagle wydała krzyk, wyraz nie kontrolowanego bólu, niczym rodząca matka. Zadrzała i opadła.

Panos uniósł ją i wtedy zorientował się, że powietrze się oczyszczało. Wyniósł ją wiedząc, że transformacja została dokonana. Dorian Belecamus

była Pytią. Następnym razem, gdy opary wzniosą się, ona znów wejdzie w obłoki gazów i on też tam będzie, jej przewodnik, jej interpretator, jej głos.

Przepowiednie

Dorian stała obok ławki w parku z widokiem na dolinę. Miała na sobie bawełnianą, wiejską sukienkę zamiast obszernych spodni, które nosiła od czasu przyjazdu. Ręce trzymała na biodrach. Gdy Indy szedł w jej kierunku, przypominała mu grecki posąg.

Stanął w odległości kilku kroków i odchrząknął.

– Jak się dzisiaj czujesz?

– Dużo lepiej - nie przestała spoglądać na dolinę.

Wyraz jej twarzy kazał Indy'emu przypuszczać, że widzi tam coś szczególnego. Ale on dostrzegał tylko krajobraz. Piękny krajobraz, ale nie było powodu, żeby patrzeć na niego tak, jak ona to robiła.

– Co tam widzisz? - zapytał cicho.

Nie wahała się.

– Historię. Kulturę. Przeszłość - jej głos był miękki, odległy.

Indy spojrział na dolinę. Minęły już dwa dni odkąd Panos wyniósł ją ze świątyni. Spała przez jedenaście godzin i gdy się obudziła, przebadał ją lekarz, ale nic nie stwierdził. Powiedział, że to prawdopodobnie wynik stresu i nadmiaru pracy i że potrzebny jej odpoczynek. Jednakże następnego dnia w południe wstała i poszła do magazynu, który był w pobliżu ruin, i siedziała tam do dziewiątej.

Wyglądała na zamyśloną, zupełnie jakby tylko jej część była obecna. Czy było to przemęczenie, czy może opary? Dużo o tym rozmyślał. Doszedł do wniosku, że i to, i to. Musiała walczyć ze zmęczeniem już od kilku dni, a wyziewy, albo podejrzenia Dorian co do ich działania, wywołały załamanie.

– Cóż, Jones - powiedziała, odwracając wzrok od doliny. - Nie możemy całego dnia przesiedzieć w parku. Mamy pracę do wykonania.

– Na pewno dasz radę?

Wyprostowała się.

– Czuję się dobrze. Powiem nawet, że świetnie. Czuję się świetnie.

Nagła zmiana jej nastroju i przypływ energii zaskoczyły go. Zupełnie jakby obudziła się ze snu.

– Co będziemy robić?

Spojrzała na niego w taki sposób, jak gdyby postradał zmysły.

– Nie wiesz, że jak najszybciej musimy wydobyć tablicę ze szczeliny? I tak już straciliśmy zbyt dużo czasu. Chcę, żeby do przyjazdu króla, czyli pojutrze, tablica była wyjęta i oczyszczona.

– Czy nie śpieszysz się za bardzo? Myślałem, że archeologia to powolna i szczegółowa praca.

Uśmiechnęła się do niego.

– Tak, ale my jesteśmy w wyjątkowej sytuacji. Tablica znajduje się w szczelinie i z każdą godziną ryzyko jej utraty zwiększa się - tym razem ona była tak niecierpliwa, jak on przed jej wejściem w opary.

– Dlaczego chcesz ją pokazać królowi? - zapytał. Nie uważasz, że jego przyjazd może mieć związek z twoim powrotem?

Zaśmiała się.

– Daj spokój.

– Co w tym śmiesznego?

– Król może nie być zbyt ważny, ale nie zmienia swoich planów z powodu kogoś takiego, jak ja. Wątpię nawet, czy on wie, że tu jestem.

– Myślisz, że już nie grożą ci żadni polityczni wrogowie twojej rodziny?

Pokręciła głową.

– Nie. Na pewno nie w Delfach. Nie martw się. Jesteśmy bezpieczni, a gdy król zobaczy nowe odkrycie, przekona się, że nawet trzęsienia ziemi mają swoje dobre strony.

Indy wzruszył ramionami wciąż zdumiony jej nagłym dążeniem do wydobycia tablicy i życzliwym stosunkiem do króla.

– A więc co mam robić?

– Wszystko już przygotowane. Zacznesz schodzić w południe.

– A co z wyziewami? - zapytał.

Poprawiła swoje gęste ciemne włosy.

– Pomyślałam o nich. Rano pojawiły się trzy minuty po dziewiątej, pięć godzin i trzydzieści pięć minut po poprzednich. Przerwa zwiększyła się o sześć minut.

Indy wyjął z kieszeni zegarek i zaczął obliczać czas następnej emisji.

Obserwowała go przez chwilę.

– O czternastej czterdzieści cztery. Będziesz miał dużo czasu. Musisz tylko owinąć tablicę siatką i odkuć ją od ściany.

– A jeśli opary zaczną się unosić wcześniej? - był ciekaw jej reakcji, ponieważ niewiele mówiła o swoim doświadczeniu.

– Nie mamy powodu przypuszczać, że zmieni się dotychczasowy schemat emisji - odpowiedziała wymijająco.

Indy ponownie spojrział na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści pięć. Zastanawiał się, co będą robili do południa.

– Zapewne powinienem odpocząć trochę przed południem. Wracasz do hotelu? - jeśli wyczuła jego intencję, to nie pokazywała tego.

– Powiedziałałam, że mamy pracę, Jones. Chodźmy do magazynu. Musimy przejrzeć narzędzia.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę hotelu, gdzie czekały konie.

– Idziesz, Jones? - zawołała przez ramię.

Poprawił kapelusz i poszedł za nią.

– Hej, a co z Doumasem? - zapytał Indy, gdy siadali na konie.

Zmarszczyła brwi.

– A co ma być?

– Zdawało mi się, że on jest przeciwny temu, żebym ja schodził po tablicę.

Machnęła ręką.

– Och, już mu przeszło. To była tylko sprawa urażonej dumy.

Indy skinął głową, ale nie mógł przestać myśleć o związku Doumasa z Zakonem Pytii. Gdy wyjechali z wioski zastanawiał się, czy archeolog, podobnie jak Panos i jego syn, też chciał ochraniać Dorian przed obcymi. Jeśli tak, to zejście do szczeliny z nim w pobliżu mogło być niebezpieczne. Ale Doumas również był zainteresowany tablicą i prawdopodobnie nie zrobi nic, co by zagroziło jej wydobyciu.

Byli już w połowie drogi do magazynu, gdy Indy zauważył samotną osobę stojącą przy drodze. Gdy podjechali bliżej okazało się, że był to starzec w marynarskiej czapce, który rozmawiał z nim w tawernie. Szaleniec. Przez to wszystko, co się zdarzyło od tamtej nocy, zapomniał o nim. Spróbował przypomnieć sobie, co wtedy mówił. Coś o Pytii. Że ona go połknie. Tak, to było to. Teraz te słowa nabrały większego znaczenia niż tamtej nocy. Mimo wszystko najprawdopodobniej był to tylko pijacki bełkot starego człowieka.

Starzec przyglądał się im, gdy go mijali.

– Znasz go? - zapytał Indy.

Uśmiechnęła się, co było oczywistym znakiem, że go znała.

– Nim nie ma się co przejmować.

– Słyszałem, że należy do Zakonu Pytii i że głosi przepowiednie.

Zaśmiała się i pokręciła głową.

– Pewnie dlatego znany jest jako miejscowy głupiec. Nikt nie bierze go poważnie - jakby dając mu znak, że nie chce dłużej rozmawiać o starcu, wbiła pięty w boki konia i pogalopowała naprzód.

Indy podązał za nią aż do stajni, gdzie zostawili konie. Potem przeszli do sąsiedniego magazynu. Był to drewniany budynek, który wewnątrz przypominał zakurzoną, słabo oświetloną bibliotekę. Ale zamiast książek

na półkach znajdowały się starożytne przedmioty. Indy zdążył się już zorientować, że żaden z tych eksponatów nie zainteresowałby poszukiwaczy skarbów. Żadnego złota, srebra czy kamieni szlachetnych. Ani śladu po olbrzymim skarbie, jaki Krezus dał za jedną przepowiednię: sto siedemnaście sztabek szlachetnych metali, lew ze złota ważący pięćset siedemdziesiąt funtów i wiele innych cennych przedmiotów. Cała ta fortuna dawno temu zaginęła, rozgrabiona przez cesarzy, królów i innych. Sam Neron ukradł z Delf pięćset złotych posągów.

Większość półek zastawiona była niewielkimi tabliczkami, na których wyryto starożytne przepowiednie. Tuzin lub więcej leżało na stole, przy którym Dorian zwykle pracowała.

– Czytałaś je ostatnio? - zapytał Indy, dotykając jednej z tabliczek.

– Przeczytałam wczoraj kilkadziesiąt tabliczek - oznajmiła.

– Po co?

– Już dawno ich nie czytałam. Czasami dobrze odświeżyć sobie wiedzę o przepowiedniach.

Indy wziął jedną z tabliczek i przetłumaczył starogrecki tekst. Była to przepowiednia udzielona kupcowi, dotycząca planów sprzedaży sześciuset bel wełny. Wyrocznia radziła mu trwać przy swojej cenie, a potem opuścić ją tuż przed transakcją, co ustali mocny, korzystny i długotrwały kontakt z klientem.

Odłożył tabliczkę. Zastanawiał się, co Dorian może zyskać czytając takie rzeczy. Może był to po prostu rodzaj relaksu po załamaniu. Chciał usłyszeć jej wrażenia, ale tylko raz poruszył ten temat, a ona nie odpowiedziała mu nic.

Patrzył jak wyjęła z szafki ręczną torbę i przeniosła ją na stół. Wydobyła z niej sześć różnej długości dłut i wyjaśniła mu, że początkowo wszystkie były identyczne, ale zużyły się.

– Wielu archeologów woli używać kielni, ponieważ mniej niszczą znaleziska. Ja doszłam do wniosku, że jeśli jest się ostrożnym, to dłuto

może być o wiele przydatniejszym narzędziem. Wybierz sobie jedno.

Indy przejechał po dłoni ostrzem dłuta, które wybrał.

– Pewna jesteś, że nie zniszczę tablicy?

– Nie, chyba że w nią uderzysz. Nie śpiesz się i zacznij od krawędzi. Na podstawie tego, co można zauważyć z góry, zagłębiona jest na jakieś sześć do ośmiu cali. Nie będziesz musiał zbyt blisko do niej podchodzić.

– Dlaczego czasami używano dużych tablic, a czasami małych? - zapytał.

– Większość przepowiedni zapisana została na małych. Ale ważne proroctwa, które nie były przeznaczone dla pojedynczych osób, lecz dla wszystkich, często były upamiętniane na większych tablicach, jak ta w szczelinie.

Indy wskazał palcem szczotki znajdujące się w torbie i zapytał, czy będą mu potrzebne. Pokręciła głową.

– Tablica zostanie oczyszczona dopiero po wydobyciu.

Sięgnęła do torby i wyjęła szczotkę z drucianymi włosami.

– Ale weź tę, na wypadek gdybyś trafił na coś nieoczekiwanego.

I zanim zapomnę, tu jest uchwyt do pochodni i młotek, którym będziesz mógł go przybić do ściany.

Gdy Indy chował wszystkie narzędzia do plecaka, Dorian rozglądała się, jakby czegoś jej brakowało.

– Stephanos musiał wziąć już liny i siatkę. Na jednej linie będziesz oczywiście wisiał ty, a druga jest na tablicę. Jak tylko będziesz na miejscu okryj tablicę siatką, a potem zaczepek haki za pętlę na końcu liny.

– Myślę, że dam sobie radę - sposób, w jaki go traktowała, był denerwujący. Może nie miał doświadczenia, ale nie był imbecylem.

Wiedział, jak przyczepić siatkę do liny.

– Jakież pytania?

– Chyba nie.

Ściągnęła mocno usta i Indy nie mógł odczytać nic z wyrazu jej twarzy.

– To, co ci powiedziałam, może wydawać się bardzo banalne, ale to również może zadecydować o sukcesie bądź porażce. Nie chcę, żebyś zszedł tam i nie wiedział, co robić lub, co gorsza, zrobił to źle.

– Ile czasu to zajmie?

– Wisząc na linie nie będziesz w stanie długo tam wytrzymać. Wyciągniemy cię po dwudziestu pięciu minutach. Potem, jeśli będziesz mógł, zejdziesz jeszcze raz.

– Może skończę za pierwszym razem.

Uśmiech pojawił się na jej ustach.

– Nie licz na to. Praca w takich warunkach nie jest łatwa. Gdy nie skończysz za drugim razem, poczekamy, aż gazy wylecą i spróbujemy znowu około trzeciej.

– A więc opary są niebezpieczne?

Zasunęła suwak w torbie.

– Trudno byłoby pracować w obłokach gazów, nie sądzisz?

Unikała odpowiedzi na to pytanie.

– Tak, szczególnie gdy są niebezpieczne.

Zaniosła torbę do swojej szafki. Nadszedł czas, aby ją przycisnąć.

– Co pamiętasz?

Wróciła do stołu i stanęła przed nim.

– Słucham?

– W oparach. Co tam się stało?

Odwróciła wzrok od niego. Spojrzała na stare tabliczki.

– Nie jestem pewna, Indy - jej głos stał się nagle zmęczony. - Chyba starałam się nie myśleć o tym.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Delf nazwała go Indy.

– Dobrze by było, gdybyś sobie przypomniała.

Skinęła głową i powoli obróciła wzrok na niego.

– Pamiętam, jak weszłam w obłoki, oddychałam nimi i myślałam, że nie ma w nich nic szczególnego. Że są niegroźne. Tak naprawdę, to gdy teraz o

tym myślę, czuję się dobrze, lepiej niż przez ostatnie dni.

– Ale zemdlałaś.

– Nic więcej nie pamiętam.

– Może to była reakcja po uświadomieniu sobie, że gazy nie są szkodliwe - zasugerował. - Byłaś zmęczona, zbyt ciężko pracowałaś i to wszystko razem zadziało.

– Być może, ale ja nie należę do tych, które mdleją. Można to także tłumaczyć działaniem gazów.

Indy skrzywił się. Bardziej niż kiedykolwiek podejrzewał, że Dorian była podatna na ten sam rodzaj fascynacji mitami, który pożerał jego ojca.

– Pomyśl. Gdyby opary były groźne, to ten człowiek, który cię wyniósł, Panos, miałby podobne objawy. Na pewno nie wstrzymał oddechu tak, jak to zrobił Nikos. Był w środku zbyt długo.

Podłoga za nimi zaskrzypiała i oboje odwrócili się. Przy drzwiach stał Doumas.

– Już prawie południe.

Dorian wyprostowała się i skinęła głową.

– Tak. Jesteśmy gotowi.

Dorian patrzyła, jak czubek kapelusza Indy'ego znika w szczelinie. Doumas i jego dwaj pomocnicy wolno przesuwali linę w rękach. Już wkrótce będą mieli tablicę. Może okazać się interesująca, ale nie będzie miała większego znaczenia.

Wykopaliska w Delfach właściwie już zakończono. Cokolwiek zostałyby teraz znalezione, potwierdziłoby tylko odkrycia już znane. Oczywiście nie powiedziała tego Jonesowi, a on w swojej naiwności przyjechał tu za nią myśląc, że weźmie udział w wielkim odkryciu. Ale Jones odegra jeszcze ważną rolę i to już niedługo. Nie ma nawet pojęcia, jak ważną.

Człowiek Alexa w gabinecie króla wykonał swoje zadanie doskonale. Wszystko dobrze się układało. Króla zdołano przekonać. Była nawet zaskoczona szybkością decyzji.

Miała jednak trudności ze skupieniem się na misji Alexa. Właśnie tak - pomyślała. Misja Alexa, nie jej.

Opary zmieniły wszystko. Odkąd weszła w obłoki gazów tajemnica wyroczni zdominowała jej myśli. To było dziwne. Nigdy nie myślała o wyroczni jak o tajemnicy. Była fenomenem starożytności, ery przednaukowej. Teraz stała się czymś więcej: fenomenem, który ma również przyszłość.

A może to wszystko jest pomyłką. Czy naprawdę jest Pytią? Będzie musiała porozmawiać z Panosem. Ale nikt nie może ich zobaczyć.

– Czy mogę pomóc?

Dorian obróciła głowę. Za nią stał młody Grek, którego widziała w wiosce.

– Co ty tu robisz?

– To syn Panosa - powiedział Doumas. - Chodź tu, Grigoris, i pomóż nam z tą liną.

Dorian patrzyła podejrzliwie. Nagle lina straciła swoją sprężystość i Doumas krzyknął do Jonesa.

– Musi już tam być - rzekła Dorian.

Doumas pokręcił głową.

– Nie. Jeszcze tam nie dotarł.

– Więc naciągnij tę linę - krzyknęła, przypuszczając, że Jones zaklinował się między skałami. - Pośpiesz się - ale Doumas nie zareagował na czas i lina z trzaskiem naprężyła się.

Dorian pochyliła się nad szczeliną i zawołała Jonesa. Po chwili odpowiedział jej, że nic mu nie jest i że zgubił pochodnię. Natychmiast następną przywiązano do liny przeznaczonej na tablicę i posłano na dół.

Gdy Jones dał znak, że ma pochodnię, Doumas i jego pomocnicy kontynuowali opuszczanie.

– Bądź z nim ostrożny - ostrzegła Dorian.

Niedługo potem Jones zawołał, że widzi tablicę.

Dorian chodziła wzdłuż szczeliny. Jeśli Jones będzie miał szczęście, to ukończy wszystko w ciągu pół godziny. Wiele zależy od tego, jak mu będzie szła praca. Gdyby jej głównym celem była tablica, nigdy nie pozwoliłaby mu iść po nią. Chociaż był zdolny i miał sporo wiadomości na temat archeologii, brakowało mu doświadczenia. Doumas miał oczywiście rację: nie miał kwalifikacji. Wybrała go jednak do tego zadania ponieważ wiedziała, że musi rzucić mu jakieś wyzwanie, bo inaczej może stracić zainteresowanie i powrócić do Paryża.

Nie mogła pozwolić, żeby tak się stało. Nie teraz. Odgrywał zbyt dużą rolę w jej grze.

Była przy drugim końcu rozpadliny, gdy usłyszała głośnie wymianę zdań pomiędzy Doumasem a jego pomocnikami. Jones na pewno jeszcze nie wyjął tablicy. To niemożliwe. Chyba że była pęknięta i potłuczona. Gdy podeszła do mężczyzn, Doumas trzymał w ręku jedną z lin, która kiwała się swobodnie nad otchłanią.

– Co się stało!?! - wrzasnęła.

– Lina pękła. Nie wiem, jak to się mogło zdarzyć.

– Która lina? - zapytała.

– Ta, na której był Jones - odpowiedział Doumas.

– Co? Nie!

Upadła na kolana i zajrzała w przepaść, ale widziała tylko ciemność. Zabrała Doumasowi linę i szybko wyciągnęła ją na powierzchnię. Wyglądało na to, że została nadcięta, a potem wybrudzona, żeby sprawiała wrażenie przetartej. Wstała i wyciągnęła rękę z liną. Ten drań Grigoris uśmiechał się głupio. Mogła przysiąc, że tak było, chociaż starał się

zachować poważną minę. A Doumas? Kiwał się na boki, jakby miał się zaraz przewrócić.

Nagle przypomniała sobie o drugiej linie. Może Jones złapał się jej, gdy pierwsza pękła. Rozejrzała się, ale nigdzie jej nie dostrzegła.

– Gdzie jest druga lina?

Doumas spojrzał na Grigorisa.

– On ją wypuścił. W zamieszaniu.

Wtedy usłyszała głos. Nie mogła uwierzyć, że dochodził z rozpadliny. Upadła na kolana i przyłożyła dłonie do ust.

– Indy, słyszysz mnie?

Jego głos był odległy i wytężony.

– Tak, słyszę cię.

– Nic ci nie jest?

Nie odpowiadał przez chwilę.

– Nie wiem. Daj mi linę. Szybko!

– Dobra. Gdzie jesteś? - krzyknęła.

– Wiszę na tablicy, ale nie wiem, jak długo mnie jeszcze utrzyma.

Dorian spojrzała przez ramię na Doumasa.

– Stephanos, pośpiesz się. Lina.

Doumas rozejrzał się, jakby oczekując, że ujrzy gdzieś leżącą linę.

– Będę musiał pójść po nią. Jest w stajni.

– Więc nie stój tak, do diabła. Idź po nią. Prędko!

– Biegnij do stajni, Grigoris - powiedział Doumas. - Szybko. Weź linę wiszącą na haku przy drzwiach.

– Nie mówiłam ci, żebyś jego posłał - warknęła Dorian, ale Doumas już toczył się za chłopakiem, który pognał naprzód. Za nimi podążyli wszyscy pomocnicy. Najwidoczniej żaden z nich nie chciał z nią zostać. Zastanawiała się dlaczego.

Pokręciła głową i obróciła się w stronę szczeliny.

– Jest w drodze, Jones. Jeszcze kilka minut.

Powinna sama pójść po linę. Żadnemu z nich nie można zaufać.

Nie było odpowiedzi.

– Jones, jesteś tam?

Znów brak odpowiedzi.

Gdyby spadał, to czy nie wrzeszczałby?

– Indy, odezwij się!

– Tak - dał się słyszeć słaby głos. - Szybko.

Ostatnia nadzieja

Indy siedział na tablicy jak na siodle. Przycisnął do niej twarz, i mocno objął ramionami. Policzkiem wyczuwał wyryte litery. Jak długo jeszcze będzie musiał czekać?

Próbował odwrócić uwagę od niebezpieczeństwa, przypominając sobie, co się stało. Zdążył zapisać tłumaczenie tekstu, gdy lina zaczęła pękać. Rozpaczliwie podciągnął się, ale sznur przerwał się tuż pod miejscem, w którym trzymał rękę. Wisiał przez chwilę, potem poczuł szarpnięcie z góry i lina wyslizgnęła mu się z dłoni. Wolną ręką sięgnął do sąsiedniej liny, chwycił ją i zsunął się po niej na tablicę. Krzyknął, a lina nagle zwiotczała i spadła w przepaść, prawie ściągając go.

Jego myśli przerwało trzeszczenie tablicy pochylającej się pod ciężarem ciała. Odchyliła się już o czterdzieści pięć stopni i trudno było się na niej utrzymać.

Nagle zorientował się, że wciąż jeszcze ma przy sobie plecak z narzędziami. Nic tylko kopać swój własny grób. Ten ciężar był zbędny. Delikatnie zsunął plecak z ramion. Już miał go wyrzucić, gdy przypomniał sobie, że dłuto może się jeszcze przydać. Włożył rękę do pakunku, poczuł ostrą końcówkę narzędzia i wyciągnął je. Potem wypuścił plecak, który spowodował łoskot, uderzając w coś. Pomyślał, że plecak musiał odbić się od ściany. Nasłuchiwał odgłosu walnięcia w dno. Pokręcił głową, gdy niczego nie usłyszał.

– Nie ma dna. A niech to.

Mówienie do siebie łagodziło strach.

– Muszę coś zrobić. Ale co?

Poczuł, że tablica nachyliła się o kolejny cal. Przymknął oczy. Przypomniał sobie co Dorian mówiła o używaniu dłuta i o sposobie przyczepienia liny do tablicy. Powinna bardziej interesować się tym, co się dzieje na górze. Cholera, powinna sprawdzić tę linę, zanim on zaczął schodzić. A co z Doumasem? Nie miał jednak czasu, aby rozmyślać nad tym, co się stało. Był zbyt zajęty utrzymaniem się przy życiu.

Poczuł siatkę pod nogami i zaczął zastanawiać się, czy jej nie odpiąć, by zmniejszyć obciążenie. Nie, to by wymagało zbyt dużo ruchów. Jeden mocniejszy wstrząs i tablica spadanie w dół. A poza tym to on był zbędnym ciężarem, a nie siatka.

– Oto chodzi. Muszę się przenieść.

Gdyby zdołał wykuć oparcie dla rąk i nóg, mógłby spróbować utrzymać się na ścianie. Ale jak długo?

– Lepiej umrzeć, próbując ratować swój tyłek, niż nie robić nic - mrucał.

Tablica zatrzeszczała i znów się obsunęła. Długo się nie utrzyma. Powoli przesunął się w stronę ściany. - Jeszcze kilka cali - powtarzał sobie. Cierpliwości. Wreszcie był wystarczająco blisko, aby dotknąć ściany dłutem. - Teraz walnij mocno.

Unióśł rękę nad głowę i uderzył dłutem w ścianę. Ale ku swojemu zdziwieniu, trafił w coś i dłuto wyleciało mu z ręki. Tablica skrzypnęła, pochyliła się jeszcze bardziej i Indy zsunął się o kilka cali.

Chryste, trafił w uchwyt na pochodnię! Zupełnie o nim zapomniał. A on tam był, przymocowany do ściany czterema gwoździami. Teraz to była jego jedyna nadzieja. Jeśli rozłoży ciężar pomiędzy tablicę i uchwyt, to będzie miał jeszcze szansę uratowania się.

Wyobraził sobie akrobatę bezskutecznie balansującego na chwiejącej się tablicy. Znów usłyszał trzeszczenie i szybko zapomniał o akrobatycznych ruchach. Znieruchomiał, ale płyta zaczęła się kołysać. Zaklął. Pomyślał o swoim biczu, który wciąż wisiał w jego pokoju w Paryżu. Gdyby go teraz

miał, z łatwością zarzuciłby na uchwyt. Przysiągł sobie w myślach, że jeśli przeżyje, to na następną wyprawę archeologiczną nie rusza się bez bicza.

Zsunął się o kolejne kilka cali. Im niżej się zsuwał, tym bardziej tablica odstawała od ściany. Trzeszczenie stało się głośniejsze. Tablica za chwilę miała runąć w dół. Rozpaczliwie wdrapał się na górę i rzucił na ścianę. Kapelusz spadł mu z głowy i zniknął w ciemności, ale ręce zacisnęły się na uchwycie, najpierw jedna, potem druga.

Sprawdził wytrzymałość uchwytu. Dłuto nieco go skrzywiło i gwoździe zaczęły wychodzić ze ściany.

– Nieźle - delikatnie stanął na tablicy, używając uchwytu i ściany jako podpórki.

– Indy... Wszystko w porządku? - głos Dorian odbił się echem w szczelinie. - Indy?

– Nie.

– Lina już tu powinna być. Trzymaj się.

– Dobra rada - odparł.

Znów nazywała go Indy. Dużo dobrego by się stało, gdyby spadł. „Pytia połknie cię jak małą myszkę”. Słowa starego człowieka zagrzmiały mu w głowie. Może on nie mówił o Dorian, ale o mitycznym pytonie. Teraz właśnie wisiał w gardzieli bestii.

Dreszcze przeszły mu po plecach.

– Nie znoszę węży, nawet tych mitycznych - powiedział do siebie.

Czarne myśli jednak nie chciały go opuścić. Może jego pierwsze doświadczenie archeologiczne będzie zarazem ostatnim. Krótka kariera. - Dobry kawał, Indy. Tylko tak dalej.

Spojrzał na jasny punkt wysoko nad głową. - Pośpieszcie się z tą liną.

Kolejna straszna myśl przysłała mu do głowy. A co się stanie, jeśli nikt nie poszedł po linę? Jeśli Dorian wysłała Doumasa, to on może w ogóle nie przyjść. Ten drań na pewno przeciął linę, a gdy się zorientował, że Indy

może chwycić drugą, po prostu wypuścił ją. Jakie może być inne wytłumaczenie? Wypadek? Wątpił w to.

Ktoś, prawdopodobnie Doumas, już tu był i wyczyścił tablicę. To dlatego Doumas nie chciał, aby on schodził jako pierwszy. Potem zmienił zdanie, gdy pomyślał, że może ochraniać Pytię poprzez pozbycie się go.

To rozzłościło Indy'ego. Jeszcze pokaże Doumasowi. W jakiś sposób wydostanie się stąd.

– Musi mi się udać - rzucił przez zaciśnięte zęby. Nie spadnę.

A niech to! Może nawet da się uratować tablicę. Kiedy opuszczą linę - a na pewno opuszczą - i on się do niej dobrze przywiąże, to chwyci sznur, który wciąż przywiązany jest do siatki oplatającej tablicę. Był pewien, że pociągnięcie z góry wyciągnie ją ze ściany. Ale z tym poczeka do czasu, aż znajdzie się na górze.

– Indy?

– Masz ją? - krzyknął z nadzieją w głosie.

– Nie. Idę zobaczyć, co ich tak długo zatrzymuje. Powinam ją sama przynieść. Doumas jest do niczego.

Wspaniale. Dalsze czekanie.

Starał się rozluźnić, zmieniając pozycję. Błąd, ale było już za późno. Niewielki ruch wystarczył, żeby tablica wyleciała. Z głośnym hukem pękła i zwała się w dół.

Jego nogi zawisły w powietrzu. Po chwili oparł je o ścianę. Usłyszał łoskot, gdy tablica w coś uderzyła. Szukał stopami jakiejś nierówności, ale ściana była prawie gładka. Uchwyt na pochodnię wygiął się do dołu, gwoździe powoli wychodziły.

– O cholera!

To było to. Zaciśnął zęby. Serce waliło mu w piersiach, gdy gwoździe po kolei wypadały.

Zaczął spadać. Ponownie.

Poruszał się tunelem w stronę światła. Stawało się coraz jaśniejsze. To jest śmierć.

Indy. Indy.

Ten dźwięk odbijał mu się echem w głowie.

Zmrużył oczy przed światłem. Było tak jasne. Jak ognista kula. Tak blisko. Co się stanie, gdy dotrze do światła? Dokąd potem pójdzie?

Spojrzał w bok i w świetle dostrzegł swój kapelusz, plecak, który wyrzucił, i kawałki potłuczonej tablicy. Wszystko wracało do niego. Spadł w otchłań. Kolanami uderzył w piersi. Poczł przeszywający ból.

Potem przyszła pustka.

Teraz bolały go zębra. Rwała go prawa ręka; była zakrwawiona. W gardle miał pełno pyłu, a jedno udo bolało go, jakby dostał w nie młotkiem. Czy śmierć jest tak bolesna? Czy człowiek budzi się i czuje ból, który go ominął z powodu utraty przytomności? Chciał się unieść, ale nie mógł. Wciąż próbował poruszać się w stronę płonącego światła. Raziło go w oczy.

Wtedy zorientował się, że to pochodnia. Była przywiązana do liny i zbliżała się do niego. Wciąż był żywy i tkwił w tej przeklętej dziurze.

Skulił się i usiadł. Dlaczego ciągle jeszcze żyje?

Pochodnia dyndała teraz kilkanaście metrów nad nim i mógł zobaczyć, że znajduje się na występie skalnym odstającym od ściany. Spojrzał w stronę światła. Nie potrafił stwierdzić, na jakiej wysokości znajdowała się tablica, ale nie spadł daleko. Może jakieś pięć, sześć metrów. Wyczuł pod sobą szczątki potłuczonej tablicy. Gdyby nie miał na sobie swojej skórzanej kurtki, byłby w gorszym stanie.

Obserwował, jak pochodnia minęła go i jasność zmieniła się w odbłask z dołu. - Miałem ją zatrzymać. Ale nie zrobiłem tego.

- Indy. Słyszysz mnie?

- Dorian, już dawno minęliśmy poziom tablicy - zabrzmiał drugi głos. - Nie ma go. Spójrzmy prawdzie w oczy - ten głos nie brzmiał tak głośno jak

głos Dorian, ale w szczelinie niósł się daleko. Doumas. Ten drań chciał go zostawić.

Znów się robiło jasno. Pochodnia unosiła się. Dokładnie wiedział, co się działo. Zamierzali go zostawić. A on był oszołomiony i nie mógł skoordynować myśli z ruchami. Coś zrobić.

Odkasznął. Z wysiłkiem krzyknął:

– Dorian!

Ale z jego ust wydobył się tylko szept. W gardle miał sucho i wydawało mu się, że było wypełnione kurzem. Spróbował ponownie. Tym razem głośniejszy, ale nie wystarczająco.

Pochodnia znalazła się na wysokości jego kolan, pasa, klatki piersiowej. Wyciągnął rękę, chwycił ją. Poczł szarpnięcie i sam pociągnął. Potem lina zwiotczała i zaczęła wić się jak wąż.

– Musiała się o coś zaczepić - powiedział Doumas. Wąż rozprostował się, aż Indy poczuł, że pochodnia ucieka mu z rąk. Przyciągnął ją mocniej.

Przez chwilę nie było żadnej reakcji, potem poczuł kolejne szarpnięcie, które postawiło go na nogi. Poczł się jak w czasie wędkowania, tylko że on był rybą.

– Co to było? - zapytała Dorian.

– Nie wiem.

– Daj mi to. Indy. Indy.

Nachylił się, aby podnieść kapelusz i dostrzegł, że stoi o krok od niewielkiej wypukłości.

– Indy. Proszę, odpowiedz.

Odsunął się do tyłu. Zobaczył stożkowaty kamień wystający ze ściany i oparł się na nim. Pociągnął linę jeszcze raz i potem znowu.

– To on. Czuję to. On tam jest. Indy, pociągnij, jeśli mnie słyszysz.

Pociągnął. Szybko ustalili prosty sposób komunikacji. Jedno pociągnięcie, tak. Dwa, nie. Czy jest ciężko ranny? Nie. Czy może obwiązać się liną? Tak. Czy potrzebuje więcej liny? Tak.

Rozwinęli linę o kilka metrów. Usiadł, aby wymyślić najlepszy sposób przywiązania liny. Nie chciał zakładać jej wokół pasa ani wokół piersi. Miał złamane co najmniej jedno żebro z każdej strony. Może więcej. Lina się plątała, ręce mu się trzęsły. Przycisnął prawą rękę do brzucha, próbując powstrzymać krwawienie. W końcu zawiązał pętlę, przełożył przez nią linę. Potem wszedł w większą pętlę. Będzie siedział jak na huśtawce.

Już miał dać sygnał, że jest gotowy, gdy ponownie spojrzął na kamień, którego się trzymał. Był czarny, miał kształt stożka i częściowo tkwił w ścianie. Indy poświecił sobie pochodnią. Powierzchnię kamienia pokrywały wgłębienia, jakby kiedyś był owinięty siatką, której nici pozostawiły po sobie ślady.

– Co to jest? - odezwał się ochrypłym głosem.

Podniósł plecak i wyciągnął z niego drucianą szczotkę. Zdrapał część brudu pokrywającego znalezisko i przejechał palcami po jego powierzchni. Opuścił pochodnię, aż prawie dotykała kamienia. Wyglądał jak obsydian, jak żelazo, a wzory... nie mogły być naturalne, lecz wykonane przez człowieka.

– Indy, wszystko w porządku? - zawołała do niego Dorian.

Spojrzął do góry i pociągnął raz linę.

– Gotowy? - krzyknęła Dorian.

Tym razem pociągnął dwukrotnie. - Stracił tablicę, ale może uda mu się wydobyć stożek. Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że to jest coś ważnego, coś, czego nie powinien zostawić.

Chwycił kamień obiema rękami sprawdzając, czy da się go wyjąć. Pociągnął i zdawało mu się, że stożek poruszył się. Znowu. Ruszył się. Był tego pewien. Oparł się piersioma o kamień, aby złapać oddech. Był wyczerpany, kręciło mu się w głowie.

Wtedy ujrzał orła.

Szybował w górę i Indy przyglądał mu się.

Orzeł. Jego orzeł.

Przybył tu na pomoc.

Orzeł. Jego strażnik, jego obrońca.

– Gdzie byłeś? Potrzebowałem cię. - Indy słyszał swoje myśli, jakby je mówił, ale był pewien, że nie poruszał ustami. Orzeł wciąż wznosił się. Indy poczuł dreszcze. Nie spał, ale czuł się tak, jakby się jeszcze nie obudził.

Jego myśli odleciały do przeszłości. Miał czternaście lat i na pustynnej wyprawie z ojcem poznał starego Indianina z plemienia Navajo. Nazywał się Zmienny Człowiek. Indianin polubił młodego Indy'ego i powiedział, że się jeszcze spotkają. To wydawało się mało prawdopodobne, ponieważ kilka miesięcy później Indy przeniósł się do Chicago. W wakacje po ukończeniu średniej szkoły powrócił do Southwest, aby popracować na farmie swojego wuja. Przez ten czas już prawie zapomniał o spotkaniu ze starym Indianinem.

Któregoś dnia poszedł do sklepu po zakupy, a tam był Zmienny Człowiek. Nie tylko pamiętał Indy'ego, ale zachowywał się tak, jakby go oczekiwał. Zapytał Indy'ego czy jest gotowy na spotkanie wizji? Indy nie wiedział, o co mu chodzi, ale był ciekaw zwyczajów starego Indianina i powiedział, że jest gotów. Następnego dnia o świcie spotkali się przy sklepie i udali na płaskowyż. O zmierzchu Indy został na pustyni sam i bez jedzenia. Zmienny Człowiek powiedział mu, że musi poczekać, aż zbliży się do niego zwierzę. Od tego momentu to zwierzę będzie jego opiekunem i duchowym przewodnikiem.

Po dwóch dniach umierał z głodu, a jego manierka była prawie pusta. To był błąd, wielki błąd. Może wizję przeżywali tylko Indianie. Nim nie zainteresowało się żadne zwierzę, chyba że chciało zjeść go po śmierci. Odszedł od kamiennego schronienia, które wybudował, mając nadzieję, że starczy mu sił, aby zejść z płaskowyżu. Znajdzie wodę i pożywienie, wróci na farmę i za kilka tygodni będzie w Chicago, gdzie rozpocznie naukę w college'u. Gdy doszedł do skraju płaskowyżu, usłyszał za sobą głos. Głos

Zmiennego Człowieka. „Dokąd idziesz?” Przestraszony odwrócił się. Nikogo tam nie było. Miał halucynacje. Ale zawahał się. Ścieżka była zbyt stroma. Słońce zachodziło. Czując się przegrany, powrócił na noc do schronienia. Poczeka do rana.

Nagle nad płaskowyżem pojawił się orzeł i wylądował na dachu jego schronienia. Indy stanął i przyglądał się. Usłyszał głos Zmiennego Człowieka: „On będzie cię zawsze prowadzić”. Mimo przeżyć, a może właśnie w ich wyniku, znalazł swojego opiekuna.

Przypomniał sobie to wszystko teraz, gdy patrzył na orła szybującego nad nim. Ptak obracał głowę, jakby dostrzegł swoją ofiarę. Albo może jego. Wydawał dźwięki. Co on mówił? Orzeł zniknął, ale dźwięki pozostały.

– Indy, Indy.

To była Dorian. Krzyczała wściekle.

– Odpowiedz mi.

Pociągnął linę.

– Nie ma wiele czasu. Opary.

Opary. Chryste. Zupełnie o nich zapomniał. Czy był w szczelinie tak długo? Wyciągnął zegarek z wewnętrznej kieszeni. Przetrwał upadek i chodził. Była czternasta czterdzieści cztery. Wstał i zacisnął pętlę. Nie sądził, żeby opary były szkodliwe, ale nie chciał ryzykować.

Nie miał już czasu na wydobycie kamienia. Musiał być w letargu prawie minutę. Ale wróci po niego. Pociągnął linę.

Chwilę później został uniesiony z występu skalnego. Skupił wzrok na czarnym obiekcie tkwiącym w ścianie. Potem okryła go ciemność, zaginął w czeluści.

Wyciągnął rękę z pochodnią i szukał miejsca, w którym była tablica. Powoli się unosił. Zrobiło się mglisto od dymu z pochodni, ale w końcu dostrzegł je. Ciemna dziura, a nad nią niewielki ślad po uchwycie na pochodnię. Boże, miał szczęście. Ludzie spadali z jednego metra i łamali

sobie kości. On zwał się z wysokości dwóch pięter i miał tylko parę zadrapań, niewielkich ran i kilka pękniętych żeber.

Usłyszał dziwne grzmienie z dołu. Po tym nastąpiło to samo syczenie, które poprzedzało emisję wyziewów. Wiedział, że im nie ucieknie. Nie mógł zrobić nic, aby przyśpieszyć powolny, kołyszący ruch wznoszenia. Pomachał przed sobą pochodnią, dostrzegając mgłę. Było tego zbyt dużo jak na dym z pochodni.

Mocniej uchwycił linę i nabrał powietrza do płuc. Zabolały go żebra i musiał wypuścić część powietrza. Zastanawiał się, ile czasu upłynie zanim znajdzie się na powierzchni. Minęła minuta. Powoli wypuścił resztę powietrza. Skażonego powietrza. Nie było sensu wstrzymać oddechu, skoro i tak oddychał już oparami.

Wciągnął nosem powietrze. Nie wywoływało żadnego natychmiastowego efektu poza tym, że poczuł się senny. Był wyczerpany upadkiem i ranami. Oparł głowę o linę i zamknął oczy. W ciągu kilku sekund zapadł w drzemkę.

Głowa mu drgnęła i złapał się liny. Musiał przysnąć. Wokół niego unosiły się opary. Jak długo nimi oddychał? Starał się skupić na linie i utrzymywaniu równowagi. - Po prostu trzymaj się. Spróbuj nie oddychać. Boże.

Minęła kolejna minuta, przeraźliwie długa minuta, która wydawała się godziną. Wreszcie wysunął się nad szczelinę i odetchnął świeżym powietrzem. Wał spowiły obłoki i nikogo nie było widać. Stanął na nogi, krzywiąc się z bólu i poczuł, że ktoś ściąga go z wału.

- Indy, tutaj.

Potknął się, ruszając z miejsca. Wyciągnął ręce, aby się podeprzeć. Nagle ktoś go chwycił. Zdjęto z niego linę. Opadł na kolana i przewrócił się na brzuch. Ktoś go odwrócił.

- Musimy zawieźć go do lekarza - to był głos Dorian. - Zanieście go do powozu. Szybko.

Widział wokół siebie ruch, postacie, kolory. Poczuł, że ktoś go unosi.
Zamknął oczy.

– Co tam się stało, Indy? - zapytała Dorian. - W jaki sposób przeżyłeś?

– Znalazłem kamień, czarny kamień - wymamrotał.

– Jaki kamień? - to był głos Doumasa.

– W kształcie stożka, z wrytymi rowkami.

– Dasz radę go później odnaleźć? - zapytał Doumas.

Ale Indy nie odpowiedział. Zamknął oczy i stracił przytomność.

15.

Manewry

Dorian podniosła wzrok znad stosu kamiennych tabliczek. Usłyszała pukanie, ale było tak słabe, że pomyślała, iż mógł to być wiatr. Wtem usłyszała je ponownie, tym razem głośniejsze.

– Proszę.

Drzwi powoli otworzyły się. Najpierw pojawił się cień, potem stanął w nich Panos.

– Czekałam na ciebie.

Panos zawahał się, spojrzał na swoje dłonie.

– Nie tak długo, jak ja - z trudnością zdobył się na wypowiedzenie tych słów. Potem wszedł do środka i spojrzał na rzędy kamiennych tabliczek. - Wkrótce zostanie wzniesiony nowy budynek dla archiwum - jego głos był silniejszy, a słowa zostały wypowiedziane jak wyzwanie. Przyglądał jej się dokładnie.

– Wiem - odparła.

– Tak? - ponownie spuścił wzrok, gdy ich oczy się spotkały. Zorientowała się, że Panos czuje się nieswojo, jest skrępowany.

– Będzie potrzebny - dodała.

– Powiedz mi, kim jesteś - zażądał, lecz wciąż rozglądał się nerwowo.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała bez wahania.

– Pytia, oczywiście.

Skinął głową i spojrzał na nią.

– Zasłona otwiera się. Wiedziałem, że tak będzie.

Wzięła do ręki jedną z tabliczek i przebiegła po niej palcami.

– Teraz rozumiem, że wyrocznia nigdy nas nie opuściła. Została po prostu uśpiona przez ostatnią Pytię, a teraz się budzi.

– Dobrze powiedziane.

– To bardzo dziwne, ale teraz rozumiem, że moja dotychczasowa praca była tylko wstępem do Powrotu. Jeszcze tydzień temu śmiałabym się na myśl o tym. Teraz wiem to na pewno.

Panos chodził wzdłuż długiego stołu zastawionego kamiennymi tabliczkami. Podniósł jedną z nich, przeczytał i odłożył. Było w tym coś wyzywającego, jakby rościł sobie prawo własności do magazynu i wszystkiego, co on reprezentował. Rzucił jej wyzwanie.

– Mój syn, Grigoris, powiedział mi, że Jones znalazł coś w szczelinie. Co to jest?

– Nie jestem pewna. Wspomniał coś o czarnym kamieniu.

Panos obrócił się na piętach i spojrzał na nią.

– Ten kamień jest ważny, a Doumas nie może go nigdy dotknąć - powiedział ostro. Jego oczy zabłysły. - Jest nasz i musimy go mieć.

Dorian była zaskoczona. Zdziwił ją jego wybuch. Nie wiedziała, o czym mówi.

– Nie rozumiesz? On znalazł omfalos. Musimy go mieć.

Omfalos stanowił jedną z tajemnic wyroczni w Delfach, a Dorian nie umiała jej wytłumaczyć. W legendzie był czasami opisywany jako kamień wielkości pokoju, a czasami jako mały, w kształcie stożka, właśnie tak jak go opisał Jones. Czasami same Delfy nazywane były omfalosem, Pępkiem Świata. Dorian zawsze uważała, że jest to bardziej symbol niż realna rzecz, definicja Delf, a nie zabytek, który można odkryć.

– Skąd wiesz, że to jest omfalos?

– Wyrocznia nie mogłaby powrócić bez omfalosa odpowiedział.

– Dlaczego?

Zmarszczył brwi.

– Musisz się jeszcze dużo nauczyć. Pytia powinna znać wielki sekret Delf.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jestem Pytią, ale jestem też Dorian Belecamus i nie wiem tego, co wie Pytia. Opowiedz mi o omfalosie.

Panos milczał. Dorian miała taki wyraz twarzy, że nie był pewien, czy powinien coś mówić. A jednak zdecydował się i przemówił:

– Sekret jest prosty. Omfalos stanowi siłę Delf.

– Rzeczywiście, proste - to zabrzmiało jak interesująca wiadomość. Nic więcej. Ale przez wszystkie lata studiów i pracy w Delfach nigdy czegoś takiego nie słyszała. Omfalos zawsze był tajemniczy, symboliczny, lecz nigdy nie był siłą samą w sobie.

– Czy to oznacza, że moc Pytii może być przeniesiona z Delf, jeśli weźmie się omfalos?

– Pępek świata jest tam, gdzie znajduje się omfalos.

Dorian skrzyżowała ręce i pochyliła się nad stołem.

– Panos, muszę tyle spamiętać. Powiedz mi coś więcej o omfalosie. Skąd się wziął?

Panos skierował swój palec wskazujący w górę.

– To jest dar od samego Apollina.

Spojrzała w górę, jakby ujrzała bogów zamieszkujących dach magazynu.

– To znaczy, że spadł z nieba i wylądował tu w Delfach?

Zanim odpowiedział, przez ponad minutę wpatrywał się w kamienne tabliczki na stole.

– To jest kolejna tajemnica.

Czekała z niecierpliwością, aż będzie kontynuował.

– Chciałbym odpowiedzieć: tak, ale prawdą jest, że spadł gdzieś indziej i to posłaniec Apollina przyniósł go tu, do świętego miejsca, w którym gazy unoszą się z ziemi.

Prawdopodobnie meteoryt - pomyślała Dorian. To miało sens, taki kamień byłby czczony, a fakt, że nie spadł w miejscu, z którego unoszą się opary, czynił go jeszcze bardziej wiarygodnym. Uśmiechnęła się poufale.

– Wydostaniemy omfalos. Ale na razie przyjeżdża król.

– Tak. A ty musisz do niego przemówić. Trzeba, żeby zrozumiał, kim jesteś. Musi to zaakceptować.

Skinęła głową.

– Wiem, że będziesz miała na niego wpływ - jego słowa były delikatne, spokojne, ale wciąż czuł się w jej obecności nieswojo. Gdy mówił, spoglądał na stół.

– Tak, już nawet wyczuwam, co Pytia powie.

Powoli podniósł wzrok. Jego spojrzenie zdradziło go. Miał nadzieję, że coś mu ujawni.

– Powiem ci, co dotychczas wiem - zaczęła. - Wkrótce świat pozna, że wyrocznia w Delfach żyje. Cały świat będzie patrzył z nadzieją na wyrocznię, a potęga Grecji zostanie stukrotnie zwiększona.

Panos uśmiechnął się szeroko.

– I Pytia powie to królowi.

Zamrugwała nagle oczami.

– To i jeszcze coś.

Wzięła kamieniarza pod rękę i poprowadziła do drzwi, cały czas mówiąc mu dużo więcej rzeczy, niż się spodziewał.

Panos popijał retsinę i słuchał Doumasa. Było wczesne popołudnie i w tawernie było zajętych tylko kilka stołów. Siedzieli w tym samym miejscu, gdzie podszedł do nich Jones. Teraz cudzoziemiec znów zaprzętał myśli Panosa. Ten człowiek stanowił problem, i to poważny.

Doumas, niestety, nie postrzegał tego w ten sposób. Ten tłusty intelektualista był bardziej oddany ideom niż działaniu.

– Nie wiem, co Grigoris sobie myślał, ale musisz go kontrolować. Prawie zabił Jonesa. A co gorsza, Belecamus podejrzewa, że to nie był

wypadek.

Podwójny podbródek Doumasa trzął się podczas mówienia. Archeolog przypominał Panosowi spasionego indyka. Chciał mu zarzucić, że nie ma zapału, że nie załatwił sprawy z Jonesem, ale zamiast tego udał zdziwienie.

– Skąd to wiesz?

– Ponieważ zastała mnie w stajni, kiedy się kłóciłem z Grigorisem. Groził mi nożem, żebym nie zaniósł jej drugiej liny.

– Czy widziała nóż albo słyszała waszą rozmowę?

– Raczej nie. Śpieszyła się. Ale wie, że się kłóciliśmy.

Panos rzucił niecierpliwe spojrzenie na osoby siedzące przy jednym ze stołów. Byli cudzoziemcami, trzech mężczyzn i kobieta. Rozmawiali głośno po angielsku. Kobieta miała piskliwy głos. Chciałby, żeby wyszli. Nie powinni tu być, nie w tawernie, nie w Delfach. Nie teraz.

– Jest coś, czego nie rozumiem. Jeśli lina pękła, to dlaczego Jones jeszcze żyje?

Doumas był poirytowany.

– Miał szczęście.

Panos myślał przez chwilę. Powinien powiedzieć Doumasowi, że będzie kontrolował Grigorisa, ale prawda była taka, że jego nie dało się kontrolować.

– Porozmawiam z synem. Nie powinien był ci grozić. Przeprosi cię. Obiecuję.

Doumas nie wyglądał na usatysfakcjonowanego. To źle.

– Teraz powiedz mi coś. Co łączy Jonesa z Belecamus? Doumas uśmiechnął się. Był to szelmowski uśmiech, który mówił, że on coś wie.

– Ona lubi młodych cudzoziemców. Co więcej mogę powiedzieć? A więc to tak. Teraz Panos był już zupełnie pewien, że Jonesa należy szybko zlikwidować. On może tylko sprawiać kłopoty, może opóźnić transformację. Nadszedł czas, aby wypróbować Doumasa.

– Tak czy inaczej Jonesem trzeba się zająć. I to natychmiast. Nie możemy ryzykować, że zacznie wtrącać się do naszych spraw.

– Nie będzie się wtrącać. Musi leżeć w łóżku w swoim pokoju. Jestem pewien, że nie będzie w stanie ruszyć się gdziekolwiek do czasu, aż król odjedzie. A poza tym Belecamus będzie rozgniewana, jeśli coś mu się stanie.

– Skąd możemy mieć pewność, że zostanie w łóżku? Nie ufam mu. On nie rozumie o co w Delfach chodzi.

– Za bardzo się martwisz, Panos. Wiesz przecież, co znajdowało się na tablicy w szczelinie. Nic nie powstrzyma teraz Powrotu. Ani Jones, ani nikt inny. To jest tak pewne, jak to, że król jest bogaty.

Panos popatrzył na niego groźnie.

– Tablica potwierdzała przepowiednię. My jednak musimy zrobić wszystko, co jest konieczne, aby się spełniła.

Doumas opróżnił swoją szklankę i postawił ją na stole.

– Musisz zrozumieć moją sytuację. Jestem naukowcem, archeologiem. Muszę dbać o reputację.

Panos wybuchnął śmiechem.

– Jaką reputację, Stephanos? Jesteś opiekunem starych kamieni. Przestań się wahać. Twoje ruiny wciąż tu będą, niezależnie od tego, co zrobisz.

– Czego ode mnie chcesz, Panos? Sprowadziłem tu Belecamus. Zszedłem w tę dziurę i odczytałem tablicę. Mogłem przy tym zginąć. Czego więcej chcesz?

– Chciałeś wiedzieć o Zakonie Pytii. Chciałeś wiedzieć wszystko. Teraz musisz wypełniać swoje powinności.

– Nie jestem mordercą. To zajęcie Grigorisa.

Panos zerwał się z krzesła i chwycił Doumasa za kołnierz.

– Nie mów w ten sposób o moim synu - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Rozumiesz? Nie chcę tego słuchać.

Gdy z powrotem siadał na krześle, grupa cudzoziemców spojrzała w ich stronę. Zignorował ich.

Doumas popatrzył na niego.

– Nie każ mi zabijać Jonesa czy kogokolwiek innego. Nie zrobię tego. Za to powiem ci coś, czego nie wiesz. Coś wartościowego.

Panos wbił w niego swój wzrok.

– Co takiego?

Doumas pochylił się nad stołem.

– Wiem dokładnie, kiedy wzniosą się opary. Jest schemat i jeśli nic się nie zmieni, to mogę przewidzieć czas emisji na jutro, przyszły miesiąc i na całe lata.

Panos rozważył w myślach to, co usłyszał. Był zaskoczony, że Doumas mógł wiedzieć coś takiego, ale starał się ukryć swoje zdziwienie.

– Dobrze, powiedz mi.

Gdy Doumas opowiadał, Panos spoglądał ponad ramieniem archeologa na dwóch umundurowanych mężczyzn, którzy weszli do tawerny. Rozejrzeli się i usiedli przy stoliku. Wyższy z nich wyglądał znajomo.

Panos skupił się na słowach Doumasa.

– Dobrze wiedzieć. Sześć minut... to jest właśnie klucz.

Jego wzrok znowu powędrował do innego stolika. Przypomniawszy sobie, gdzie widział tego człowieka. Belecamus spotkała się z nim tego ranka, gdy śledził ją w drodze od jej domu do Rzymskiej Agory. Ze sposobu, w jaki się zachowywali wywnioskował, że są sobie bliscy. Myślał wtedy, że oficer może być potencjalnym kłopotem i teraz wiedział, że miał rację.

– Mamy kolejny problem - przechylił głowę w stronę tamtego stolika.

Doumas się obejrzał.

– Wojskowi. Prawdopodobnie w związku z wizytą króla.

Panos rozpoznał po wyrazie twarzy Doumasa, że ten coś wie.

– Kim on jest, Stephanos? Widziałem go z nią.

Doumas ponownie się obejrzał, jakby nie rozpoznał mężczyzny. Nachylił się nad stołem.

– Pułkownik Alexander Mandraki. Belecamus spotyka się z nim już od lat. Kochankowie.

Panos zmarszczył brwi.

– Co ona może w nim widzieć? Jest paskudny.

Doumas wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Władzę, oczywiście. Powinieneś to wiedzieć.

Panos odchylił się na krześle. Nikły uśmiech pojawił się na jego twarzy. Plan nabierał kształtów.

– Musimy skierować go przeciwko Jonesowi, aby wykonał za nas całą robotę.

Doumas spojrzał przez ramię upewniając się, że Mandraki nie słyszał ich.

– To jest możliwe.

– Potem Belecamus będzie na niego wściekła, co też da nam korzyści.

– Ale ona jest związana z Mandrakim - powiedział Doumas. - Nie obróci się przeciwko niemu.

– Może nie na długo. Ale szok po poznaniu zabójcy młodego studenta-kochanka na pewno zrazi ją, przynajmniej chwilowo, a nam potrzeba tylko kilku godzin.

Doumas splótł palce i strzelił kostkami.

– Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Jesteś bystry, Panos. Powinieneś być politykiem.

Panos spojrzał na cudzoziemców, którzy zbierali się do wyjścia. Gdy transformacja się dokona, będzie politykiem, jakiego jeszcze nie było, będzie miał kontakt z wielkimi przywódcami, którzy będą przychodzić po radę do Pytii, do wyroczni w Delfach.

– Nie traćmy więcej czasu, Stephanos.

– W porządku, pójdę powiedzieć mu o Jonesie.

– Nie, ja to zrobię. Wy intelektualiści nie umiecie zajmować się sprawami uczuć. Chcę mieć pewność, że wszystko będzie dobrze zrobione. Chcę, żeby rozzłościł się i działał.

Panos odsunął krzesło, wstał i bez słowa odszedł od stołu.

Doumas widział, jak Panos pochylił się nad stołem Mandrakiego i coś mu powiedział. To może być interesujące - pomyślał i napełnił sobie szklankę. Pułkownik skinął głową i odwrócił się do drugiego mężczyzny przy stole. Żołnierz energicznie wstał i podszedł do baru. Mandraki wskazał Panosowi krzesło i słuchał, podczas gdy mały człowieczek oparł łokieć o stół i przystawił dłoń do ust w geście poufności.

Doumas odwrócił wzrok i zobaczył, że dwóch cudzoziemców opuszcza tawernę. Wiedział dokładnie, co Panos o nim myśli. Dla prostych ludzi, takich jak kamieniarz, nadwaga jest oznaką słabości. Panos uważał go za strażnika ruin. Ale o to chodziło. Tego właśnie chciał.

Wiedział, że Panos wyobraża sobie siebie jako najwyższego kapłana wyroczni, ale jest głupcem myśląc, że Dorian Belecamus pozwoli sobą manipulować. Belecamus ma swoje własne plany. Nawet gdyby opary na nią działały, jak twierdził Panos, to długo nie pozostanie pod ich wpływem.

Panos nie zna Belecamus. Nie słyszał historii, które prawie każdy na wydziale archeologii mógł o niej powiedzieć. Nawet Szaleniec, który niby dużo wie, nie wiedział nic o jej prywatnym życiu. Doumas zna Belecamus, zna wszystkie historie i wie, że są prawdziwe.

Twarz Mandrakiego spochmurniała i stała się szara. Kąciki ust opadły ku dołowi. Potarł podbródek i skinął głową, a potem machnięciem ręki odprawił Panosa. Panos prawie podskoczył i przewrócił krzesło.

Pułkownik uśmiechnął się szyderczo i wskazał ręką drzwi. Doumas dokładnie słyszał jego głos:

– Zejdź mi z oczu, *malaka*.

Panos pośpiesznie się wycofał. Towarzysz pułkownika podszedł do stołu i podniósł przewrócone krzesło. Mandraki machnął ręką, jakby mówiąc, że nic się nie stało, i dał żołnierzowi znak, żeby usiadł.

– *Malaka* - powtórzył głośno Mandraki.

Doumas zaśmiał się w myślach. Poczucił się dobrze słysząc, jak przewodnik Zakonu Pytii, który wysoko mierzył, a tak nisko oceniał jego wartość, został nazwany dupkiem i odprawiony jak sługa, który nie wywiązał się ze swoich obowiązków.

Gdyby Belecamus była normalną kobietą, zachowywałaby się tak, jak Panos oczekiwał. Porzuciłaby pułkownika Alexa, jeśli ten zabił by Jonesa. Ale dla Belecamus Jones był już martwy. Doumas nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Teraz wszystko jest w jego rękach. Pułkownik nie pozwoli Panosowi zaprowadzić Belecamus nad szczelinę, a jeśli Panosowi się nie uda, to przepowiednia nie będzie już aktualna. Utracą szansę. Panos powróci do Aten, do swojego kamieniarstwa, a Dorian Belecamus, niedoszła Pytia, wróci do Paryża, do swojego nauczania.

Ale to nie będzie koniec. Wiadomość, którą odkrył na tablicy przed przyjazdem Belecamus, przekonała go, że Panos jest na dobrej drodze. Napis wyraźnie pozostawiał otwartą sprawę, kto ma przejąć obowiązki nowej Pytii. Nawet przepowiednia Szaleńca, która wspominała o powrocie kogoś z Dorów, nie mówiła, że przybysz stanie się nową wyrocznią.

Bez względu na to, co się stało przy szczelinie, miał pewność, że Belecamus nie jest Pytią. Była bezwzględna i przebiegła, a to nie pasuje do dobrej Pytii.

Kapłan mógł być przebiegły, ale Pytia była niewinną, nieskazitelną wiejską dziewczyną przekształconą w narzędzie wróżb.

Gdy wszyscy wyjadą, a on zostanie sam i będzie miał władzę nad Delfami, po cichu wydobędzie czarny kamień - omfalos. Potem przetestuje młode, wiejskie dziewczyny i może wśród nich znajdzie prawdziwą Pytię.

Był coraz bardziej przekonany, że wykształcenie nowej Pytii było nie Panosa, ale jego przeznaczeniem. On będzie interpretatorem, kapłanem i tym, który zaprezentuje ją światu.

Władza będzie w jego rękach.

16.

Królewskie przyjęcie

Indy otworzył oczy, ale nie poruszył się. Ledwo oddychał. Poczł w powietrzu coś, czego tam być nie powinno, czyjąś obecność. Ktoś tu z nim był. Odruchowo napiął mięśnie. Powoli obrócił głowę, rozglądając się po pokoju.

Wreszcie dostrzegł postać stojącą przy oknie, oświetloną popołudniowym słońcem.

– O Chryste, Nikos - powiedział, rozpoznając orli nos i klasyczne greckie rysy. - Co ty tu robisz?

Chłopak zaczynał się naprzykrzać. Przez ostatnie dwa dni zaglądał do niego co kilka godzin. Indy rozmawiał z nim tuż przed zaśnięciem.

– Przepraszam. Właśnie wychodziłem. Nie chciałem cię obudzić. Przyniosłem plecak. Włożyłem go pod łóżko.

– Szybki jesteś.

– Spałeś prawie cztery godziny.

– Naprawdę? - Indy skrzywił się, siadając na łóżku i dotykając swojego boku. Gdy ostatni raz rozmawiali, poprosił Nikosa, aby niepostrzeżenie wyniósł jego plecak z magazynu. Przetarł zaspane oczy.

– Czy ktoś cię widział?

Nikos pokręcił głową.

– Nikogo tam nie było. Wszedłem przez okno.

Indy spojrzał na stolik przy łóżku. Wyteżył wzrok, próbując zrozumieć to, co zobaczył. Na szafce stała miseczka, a w niej leżały powiązane trzy główki czosnku.

– Co to jest?

Nikos przeniósł wzrok z miseczki na Indy'ego.

– Moly. To ci pomoże.

Indy znów na to spojrział.

– Moly. Boże, od dzieciństwa nie słyszałem, aby ktoś nazywał czosnek w ten sposób.

Nikos przybliżył się o kilka kroków.

– Nie wiedziałem, że moly rośnie w Ameryce. Gdy byłeś dzieckiem, do czego go używałeś?

– To długa historia?

– Opowiedz mi - rzekł, siadając na brzegu łóżka.

Indy założył ręce za głowę i przywołał z pamięci zdarzenie, którego nigdy nie zapomni.

„Podaj mi moly” - polecił mu kiedyś jego ojciec, a gdy Indy przyznał się, że nie wie, co to jest, musiał zjadać dziennie ząbek czosnku, dopóki się nie dowiedział, skąd pochodzi ta nazwa. Pytanie dręczyło Indy'ego prawie przez dwa tygodnie, wystarczająco długo, aby stracił kilku kolegów, którym zaczął śmierdzieć. W wyniku tego większość wolnego czasu poświęcił na czytanie Homera.

Wreszcie w jednej ze scen Odysei odkrył moly. Był to gatunek czosnku, który miał ponoć magiczną moc. Hermes dał go Odyseuszowi dla ochrony przed czarami Kirke. Później ojciec nigdy nie wymagał od niego, aby jadł czosnek albo nazywał go moly.

– Myślisz, Nikos, że potrzebuję ochrony?

– Tak.

– Dlaczego?

– Dziwne rzeczy się dzieją.

– Jakie na przykład? - zapytał. Był pewien, że miały coś wspólnego z Zakonem Pytii i oczekiwał, że Nikos powie mu o spisku Panosa z Doumasem na jego życie. Ale pomylił się.

– Gdy wróciłem z magazynu, do hotelu weszło dwóch Amerykanów. Byli bardzo mili. Powiedzieli, że znają cię i chcą się z tobą zobaczyć.

– Co?

– Tak, ale zanim zdążyłem ich tu przyprowadzić, przyszli trzej żołnierze i zabrali ich.

– Gdzie ich zabrali?

Nikos pokręcił głową.

Indy był zdziwiony.

– Znasz ich nazwiska?

– Nie przedstawili się, ale jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć.

– Och, co takiego? - teraz usłyszysz o Zakonie - pomyślał i znowu się pomylił.

– Chodzi o panią Belecamus. Nie wiedziałem, czy to ma jakieś znaczenie, ale teraz jestem tego pewien.

Głośne pukanie do drzwi uciszyło Nikosa. Stał na baczność, jakby poraził go prąd.

– W porządku, otwórz - polecił mu Indy.

To była Dorian. Miała na sobie białą suknię, jak gdyby wybierała się na bal. Jej czarne włosy błyszczały w popołudniowym świetle wpadającym przez okno, a jej piękno było oszałamiające. Przeniosła wzrok z Nikosa na Indy'ego.

– Czy przeszkadzam w czymś?

– Nie. Wejdz.

– Muszę już iść - odezwał się Nikos.

Dorian podeszła do łóżka.

– Jak się dzisiaj czujesz?

Indy wzruszył ramionami.

– Lepiej. Miło cię widzieć - powiedział z sarkazmem w głosie. To była dopiero jej druga wizyta, a w czasie pierwszej wpadła tylko na kilka minut. Przeprosiła wtedy za wypadek, ale gdy zapytał, jak to się stało,

odpowiedziała, że nie ma pojęcia. Nie uwierzył jej. Był pewien, że coś ukrywała. Być może swoje podejrzenia wobec Doumasa.

– Byłam zajęta, ale myślałam o tobie. Słyszałam, że Nikos dotrzymuje ci towarzystwa - jej uśmiech wskazywał na to, że uważała zainteresowanie chłopca Indym za zabawne. - To miłe, ale o czym wy dwaj ze sobą rozmawiacie?

– O wielu rzeczach. Przed chwilą na przykład, powiedział mi o dwójce Amerykanów. Przybyli do hotelu i pytali o mnie.

– Widziałeś się z nimi? - zapytała.

– Nie. Nikos powiedział, że przyszli żołnierze i zabrali ich.

– To była ich eskorta - odparła. - Spotkałam ich w tawernie i zaprosiłam na dziś wieczór na królewskie przyjęcie. Urocza para. Przyszłam zapytać, czy byś też nie poszedł.

– Ale kim oni są? Nie znam nikogo w Grecji.

Dorian uśmiechnęła się nieznacznie.

– Dowiedziałam się trochę o twojej przeszłości. To twoja była dziewczyna, którą zostawiłeś w Paryżu.

– Madelaine? - Indy'ego zamurowało.

– Tak, ona. Jest z Brytyjczykiem o imieniu Brent. Miły facet. Byli w Atenach, gdy usłyszeli, że król się tu wybiera i natychmiast przyjechali.

– Nie mogę w to uwierzyć. Po co ich zaprosiłaś na przyjęcie?

– Cóż, właściwie cały czas wspominali o przyjęciu. Byli uradowani, gdy zaproponowałam im pójście tam.

– Domyślam się. Są wyśmienitymi gośćmi. Mają duże doświadczenie w bywaniu na przyjęciach.

Dorian usiadła na łóżku i poklepała go po udzie.

– Jesteś trochę zazdrosny.

Zaśmiał się nerwowo.

– Nie. Nie zazdrosny. Po prostu zdumiony.

– Pójdiesz ze mną? Jestem pewna, że będą chcieli się z tobą spotkać.

– Sam chciałbym się z nimi spotkać.
– Dobrze. W takim razie musisz poczuć się lepiej.
– Na to wychodzi. Nie lubię całymi dniami leżeć w łóżku.
– Będziesz miał okazję poznać króla. Wiem, że słyszał o twoim wypadku i z pewnością będzie chciał cię poznać. Możesz mu dokładnie opowiedzieć o swojej przygodzie.

– Miałem nadzieję, że ty będziesz nią zainteresowana. Nawet nie zapytałaś o tablicę.

Była zdumiona.

– Dlaczego powinnam zapytać o tablicę? Przecież straciliśmy ją, czyż nie?

– Ktoś tam przede mną był i wyczyścił ją.

– Co? - na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie. - Jesteś pewien?

– Zdążyłem nawet przetłumaczyć napis.

– Naprawdę? I o czym on mówił?

– Przeczytam ci - Indy zdjął nogi z łóżka i poprawił koszulę nocną. Sięgnął pod łóżko i zacisnął zęby, czując ból w boku. Wyczuł ręką plecak i wyciągnął go.

– Skąd to masz? - zapytała Dorian podejrzliwie.

– Ach, posłałem po to - odparł wymijająco.

Sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął notes. Ledwie odczytał swoje pismo. Biorąc pod uwagę warunki, w jakich pisał, nie było to dziwne. Powoli przeczytał tłumaczenie. Tekst zaczynał się od pytania, po którym następowała odpowiedź:

„Musimy wiedzieć. Czy Pytia zawsze będzie?

To pytanie zadaje każde pokolenie,

a odpowiedź jest zawsze ta sama.

Wielka jest moc Wyroczni Apollina,

ale tylko dopóki wiara istnieje.

Rzeczywiście nadejdzie dzień, gdy ostatnia
Pytia opuści święte Delfy.
Dopiero wtedy zniknie wielka moc Apollina
i rozbije w pył pracę jego wyznawców”.

Spojrzał znad notesu na Dorian, która siedziała cicha i zamyślona.
– To nie wszystko - odwrócił kartkę. Miał zapisane jeszcze drugie
pytanie i odpowiedź.

„O Pytio! Modlimy się do twego majestatu,
trzymając w rękach zapytania nasze i prosimy,
udziel nam bardziej pocieszającej odpowiedzi
dotyczącej twojej przyszłości. W przeciwnym
wypadku nie opuścimy twojej świątyni i zostaniemy
tu aż do śmierci naszej.

Prawdą jest to, co zostało powiedziane.
Dopiero, gdy Wyrocznia
będzie odległym wspomnieniem,
pojawi się nadzieja.
Teraz rozchmurzcie się
i wracajcie szczęśliwie do domów
ponieważ w czasie odnowy
Wyrocznia powróci
i ujawni się jej wielka tajemnica”.

Dorian przyłożyła rękę do piersi.
– Interesujące, bardzo interesujące - wymamrotała. Wstała i przejechała
ręką po sukni, rozprostowując zagniecenia. Uśmiechnęła się słabo. -
Szkoda, że nie udało się jej wyciągnąć. Przygotuj się. Za dwadzieścia minut
przed hotelem będzie czekać powóz.

– Dwadzieścia minut? Boże, dzięki za wcześniejszą wiadomość - ale Dorian nic nie odpowiedziała; była już za drzwiami.

Skrzywił się, zakładając koszulę, potem delikatnie włożył spodnie. Nie miał ze sobą zbyt wielu ubrań, więc spodnie koloru khaki, biała, bawełniana koszula i krawat będą musiały wystarczyć na przyjęcie. Gdy był już ubrany, założył skórzaną kurtkę i kapelusz. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył moly. Podniósł go ze stołu i obrócił w dłoni. Nie uważał się za przesądny. Moly to czosnek, a czosnek to po prostu czosnek. Ale pomyślał, że nie zaszkodzi mieć go ze sobą i wetknął moly do kieszeni.

Hall hotelu w Delfach nie wyglądał wspaniale. Było to nędzne pomieszczenie z wytartym dywanem, sofą, która widziała lepsze czasy, i kilkoma prostymi krzesłami. Z jednej strony znajdowała się recepcja. Za nią, pod schodami stało łóżko, na którym wylegiwał się Nikos. Gdy zobaczył Indy'ego, zerwał się na równe nogi.

– Dlaczego wyszedłeś z łóżka?

– Idę na przyjęcie do króla.

– Ale.

Drzwi wejściowe otworzyły się i zajrzała przez nie Dorian.

– Jesteś już. Chodź. Powóz czeka.

– Okay - spojrzał na Nikosa i wzruszył ramionami. - Pogadamy później.

Przy akompaniamencie stukotu kopyt wyjechali z wioski i skierowali się w stronę gór. Indy starał się usiąść wygodnie, ale powozem rzucało i bolały go żebra. Zaczął żałować, że nie został w łóżku i już prawie powiedział Dorian, żeby zawrócili.

– Kiedy zamierzacie wprowadzić tu samochody?

– Nie jesteś w Chicago, Indy. A poza tym na tej drodze limuzyną jechałoby się podobnie.

– Pewnie masz rację - powiedział. - Zastanawia mnie, dlaczego jedziesz na to przyjęcie? Dziwię się, że w ogóle zostałeś zaproszona i że chcesz tam iść.

– Ależ, Indy. Nie jesteśmy barbarzyńcami - położyła dłoń na jego rękę, ale tylko na chwilę. - Żyjemy w końcu w latach dwudziestych. Tak jak inni cywilizowani ludzie mamy etykietę. Król okaże mi swój szacunek, a ja zrewanżuję się tym samym. Moje poglądy polityczne nie mają tu znaczenia.

Korciło go, aby położyć dłoń na jej udzie i zobaczyć jak zareaguje. Przemyślał to jednak głębiej. Pewnie, że chciał, aby wszystko było jak przed przyjazdem do Delf. Jeśli jednak ona nie zmieniła swojej postawy, to on nie mógł nic w tej sprawie zrobić. W każdym razie nie tego wieczoru.

– Jutro rano, Indy, chciałabym, żebyś przyłączył się do orszaku króla podczas wizytacji ruin.

– Dlaczego?

– Dlaczego nie? Myślę, że to by był dobry moment, abyś powiedział mi o tablicy. Dziś wieczorem będzie bardzo zajęty.

Kilka minut później ich oczom ukazała się rezydencja króla. Jej masywna struktura wykonana została z kamienia, a cały budynek zdawał się wręcz wyrastać z samej góry. I rezydencja, i pałac miały pomarańczowoczerwony kolor, nadany im przez promienie zachodzącego słońca. Gdy zjechali z głównej drogi, Indy dostrzegł grupę osób na tarasie. Po chwili rezydencja zniknęła z widoku.

Zatrzymali się w punkcie kontroli bezpieczeństwa. Gdy Dorian podała ich imiona, strażnik spojrzał na listę. Potem pozwolono im wjechać. Powóz dowiózł ich przed frontowe drzwi. Gdy weszli po schodach, kolejny strażnik przyjrzał im się. Zmarszczył brwi na widok stroju Indy'ego, ale w końcu niechętnie machnął ręką, żeby weszli. Dorian przeszła obok niego obojętnie, ale Indy surowym tonem zwrócił mu uwagę:

– Popraw krawat.

Wreszcie znaleźli się w środku. W sali było pełno gości i kelnerów w białych marynarkach, którzy roznosili drinki i *hors d'oeuvres*. W pomieszczeniu tym znajdowało się co najmniej pół tuzina kominków, a w każdym palił się ogień.

– Byłaś tu kiedyś? - zapytał Indy.
– Tylko raz. Piękny dom.
– Duży, to pewne.
– Trzydzieści cztery pokoje, w tym piętnaście sypialni. Myślę, że dla króla to przeciętność.

– Dużo miejsca, żeby się wreszcie położyć. Może pożyczymy sobie jedno. Żyjemy w końcu w latach dwudziestych.

Przechyliła głowę w jego stronę i powiedziała:

– Nie wygłupiaj się, nie flirtuj i cokolwiek zrobisz, nie powiedz nic głupiego królowi.

– Chyba dam radę.

Indy dostrzegł Doumasa przeciskającego się przez tłum w ich kierunku. Akurat jego nie chciał widzieć. Pulchny archeolog albo był niekompetentny, albo specjalnie wziął zbutwiałą linę.

– Patrz, kto idzie - rzekł do Dorian.

– Jones, nie leżysz w łóżku? Wspaniałe ozdrowienie. Zdziwiał mnie twoja odporność.

Nagle byli dobrymi przyjaciółmi.

– Mnie też.

– A więc co wspominałeś o tym czarnym kamieniu? - podczas mówienia bez przerwy coś jadł.

Indy zmarszczył brwi.

– Nie pamiętam, żebym cokolwiek o nim wspominał.

– Cóż, obojętne czy pamiętasz, czy nie, ale wspominałeś - rzekł Doumas. - Gdy wyciągnęliśmy cię na powierzchnię, mamrotałeś, że znalazłeś stożkowaty kamień i że chcesz zejść tam po niego.

– Tak mówiłem?

– Byłeś w szoku - oznajmił Doumas. - Ale co dokładnie tam widziałeś?

Indy spojrzał na Dorian. Patrzyła się w niego uważnie.

– To, co powiedziałem. Coś go pokrywało, jakby odciski sznurka. I chciałbym zejść po niego.

– Dlaczego? - zapytała Dorian.

Indy nie wiedział. Dużo jednak myślał o tym kamieniu. Tak naprawdę to nie mógł wybić go sobie z głowy.

– Po prostu myślę, że warto po niego zejść, szczególnie po tym, jak straciliśmy tablicę.

– Nie jesteś w stanie tam pójść - powiedział Doumas. - Zgodzi się pani ze mną?

Dorian odpowiedziała stanowczo.

– Ty też nie jesteś w stanie. Nie chcę, żeby ktokolwiek schodził do szczeliny bez mojego pozwolenia. Zrozumiałeś, Stephanos?

– Oczywiście, ale...

Dorian odeszła bez słowa i zniknęła w tłumie.

– Jest na mnie zła - powiedział Doumas. - Z powodu tej liny - ugryzł kawałek bułki.

Przez chwilę Indy był zaskoczony bezczelnością archeologa.

– To ja powinienem być wściekły. Co tam się, do cholery, stało?

– Lina była zbutwiała. Potem, w zamieszaniu, upuściliśmy drugą. Przepraszam. Miałem zamiar przeprosić cię wcześniej, ale nie chciałem ci przeszkadzać.

Indy zamierzał właśnie oskarżyć Doumasa o zejście do szczeliny i oczyszczenie tablicy, ale ten się nachylił i szepnął mu do ucha:

– Na twoim miejscu, Jones, byłbym dziś ostrożny, przebywając z panią Belecamus. Jest tu jej przyjaciel, wiesz. Jest tam, to ten mężczyzna w mundurze pułkownika. Wiem, że jest zazdrosny.

Indy prawie się zakrztusił okropnym zapachem bijącym od Doumasa. Cofnął się. Mężczyzna, którego Doumas wskazał, miał różową twarz i wydatny, zakrzywiony nos. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat i był może dwadzieścia lat starszy od Dorian.

– Dzięki, będę pamiętał - rzekł Indy. Jednego dnia Doumas próbuje go zabić, drugiego ostrzega przed niebezpieczeństwem. To nie miało sensu.

A sposób, w jaki Dorian zareagowała w jego pokoju na wieść o tablicy? Była poruszona, ale nie przez fakt, że ktoś wyczyścił tablicę, lecz tym, co jej przeczytał. A szczególnie ostatnimi wersami, w których była mowa o powrocie wyroczni i ujawnieniu wielkiego sekretu.

Liczba zbiegów okoliczności związanych z przepowiednią starca wzrastała. Było trzęsienie ziemi. Pojawiła się Dorian. Przybył król. Teraz tablica zdawała się potwierdzać to, co starzec powiedział. Do diabła, nic dziwnego, że zemdląca. Pewnie zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście nie jest Pytią. Ale zbiegi okoliczności zdarzają się ciągle. Są tajemnicze, bo wszyscy doszukują się w nich tajemniczości.

– Indy, tu jesteś.

Odwrócił się w stronę, z której dochodził piskliwy głos.

– Madelaine - wyglądała, jakby nic się nie zmieniło i jakby była na kolejnym *bal musette*. - Słyszałem, że tu będziesz, ale nie wierzyłem w to.

– Czy to nie wspaniałe. Po prostu kocham Grecję, a ty?

– Coraz bardziej.

– Twoja przyjaciółka Dorian powiedziała, że miałeś wypadek. Ale dla mnie wyglądasz świetnie.

Indy chciał opowiedzieć jej o tym, co się stało, ale ona powiedziała coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

– A twój kumpel, Jack Shannon, będzie tutaj?

– O czym ty mówisz? Shannon jest w Paryżu.

– Nie. Jest tutaj. Spotkałam go dzisiaj w tej małej tawernie. Był z facetem, który powiedział, że też cię zna.

– Widziałaś go tutaj?

– Właśnie to powiedziałam.

– Kim był ten drugi człowiek?

– Nie pamiętam. Jack przedstawił go, ale tyle się działo. Tom, Terry, może Larry. Jest starszy.

– Dużo starszy?

– Ma jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Wiesz, stary. Ma brodę. Jest Kanadyjczykiem, chyba. Nie wiem.

Kogo Indy znał, kto miał brodę i mógł przyjechać do Grecji z Shannonem? Nie był w stanie przypomnieć sobie nikogo starszego i znajomego.

– Jesteś tego pewna? Rozmawiałaś z Shannonem?

– Oczywiście. Razem napiliśmy się ouzo. Powiedział, że chce cię znaleźć. Wydawał się zmartwiony - rozejrzała się. - Gdzie się podział Brent z moim drinkiem?

– Skąd Jack wiedział, że jestem ranny?

– Raczej nie wiedział. Dopiero tu przyjechali, jakąś godzinę przed nami.

– Spotkałaś Dorian? Czy ona z nimi rozmawiała?

– Nie wiem - zaczynała się irytować jego pytaniami. Wyciągnęła szyję, stanęła na palcach i patrzyła wokoło.

Ale Indy nalegał:

– Czy ty i Brent przysłiście do hotelu odwiedzić mnie, gdy usłyszeliście, że jestem ranny?

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Cóż, nie mieliśmy jeszcze okazji - uścisnęła mu rękę. - Ale teraz jesteś tu i wszystko jest już w porządku.

– Tak. Cudownie.

W tym momencie zapowiedziano króla i po chwili wysoki, siwiejący mężczyzna wszedł do sali. Idąc przez tłum, ścisnął dłonie kolejnym osobom. Nieznacznie kulał. Madelaine gdzieś zniknęła, być może chciała znaleźć się bliżej króla, albo ruszyła na poszukiwanie Brenta i swojego drinka.

Indy dostrzegł Dorian stojącą z pułkownikiem. Był pewien, że oboje patrzyli w jego stronę. Bardziej niż cokolwiek pragnął zapytać ją o Shannona i jego towarzysza, ale zawahał się, przypominając sobie, że to żołnierze ich zabrali. Jaki powód Dorian poda tym razem i dokąd, do diabła, oni ich zaprowadzili?

Nie mógł już dłużej zwlekać. Chciał odpowiedzi. Zaczął przeciskać się przez tłum i nagle stanął twarzą w twarz z królem, który wyciągnął swoją rękę. Indy szybko przedstawił się, podając dłoń.

– Och tak! To pan musi być tym, który wpadł do szczeliny?

Indy skinął głową, czując się zażenowany królewskim zainteresowaniem.

– To się nie powtórzy.

Król zaśmiał się i poklepał go po ramieniu.

– Miejmy nadzieję. Jutro rano zamierzam odwiedzić ruiny. Będzie pan tam?

Indy miał obecnie inne sprawy na głowie, ale co mógł odpowiedzieć?

– Tak. Oczywiście.

– Dobrze. Będzie mógł pan opowiedzieć mi, co się wtedy stało. A więc do zobaczenia.

Indy odsunął się na bok, a król zaczął rozmawiać z kimś innym. Nie widział Dorian ani pułkownika. Chodził po sali, był na tarasie. Nigdzie jej nie było.

– Wyglądasz na zagubionego, Indy - usłyszał z tyłu głos Doumasa.

– Widziałeś panią Belecamus?

– Nie ma jej. Wyszła kilka minut temu z pułkownikiem Mandrakim.

Przy ognisku

Indy po cichu wymknął się z rezydencji i poszedł tam, gdzie przy swoich powozach czekali woźnice. Zapytał ich o powóz Doumasa i skierowali go do jednego z mężczyzn.

– Pan Doumas powiedział, żebyś zawiózł mnie do hotelu.

Woźnica popatrzył z wątpliwością.

– Jest pan pewien? Nakazał mi poczekać na niego.

– Zostaje tu na noc - Indy zbliżył się. - Zbyt dużo ouzo.

– Już?

– Już - odpowiedział Indy smutnym głosem.

Mężczyzna skinął głową i usiadł na swoje miejsce. Indy wszedł do powozu. Z tego, co powiedział, nic nie było prawdą, ale nie czuł się winny.

Gdy przybył do hotelu, Nikos leżał na łóżku i czytał książkę.

– Widziałeś Dorian?

– Nie. Jeszcze nie wróciła - odpowiedział chłopak, wstając z łóżka.

Przejechał ręką po krótko obciętych włosach. - Wcześniej wróciłeś.

– Może już za późno. Kim jest ten pułkownik Mandraki?

– Właśnie to miałem ci powiedzieć, gdy ona weszła do pokoju. Nazywa się Alex i jest jej kochankiem.

Nic dziwnego, że stała się zimna, gdy przybyli do Delf.

– To jest bardzo niebezpieczny człowiek i myślę, że pani Belecamus w jego towarzystwie też jest taka. Dlatego przyniosłem ci moly. Ma cię chronić.

– Dzięki. Teraz powiedz mi coś więcej o tych Amerykanach, którzy do mnie przyszli.

– Jeden był wysoki i chudy. Miał rude włosy i niewielką brodę - Nikos potarł się po podbródku, wskazując rzadki zarost. - Drugi był niższy i miał dużą brodę. Zobacz. Mam coś dla ciebie - sięgnął pod blat i wyjął zwinięty bicz. - Twój wysoki przyjaciel prosił, żebym ci to dał zanim się z nim zobaczysz. Powiedział, że poznasz to. Dopiero potem miał wejść do pokoju. Ale przyszli żołnierze.

Indy wziął bicz i przejechał po nim dłońmi. To był dowód. Shannon znajdował się tu, ale wciąż nie znana była tożsamość drugiego mężczyzny.

– Indy, mam kolejne pytanie o Amerykę.

Nie był w nastroju na pogaduszki.

– To nie najlepszy moment, ale mów.

– Czy to prawda, że Amerykanie smarują chleb kompotem z jabłek?

Indy spojrzał na niego.

– O czym ty mówisz?

Pokazał mu książkę, którą czytał.

– Tutaj dziewczyny jedzą taki chleb - był to zniszczony egzemplarz powieści pod tytułem *Siedemnaście*.

– Skąd to masz?

– Jeden z tych Amerykanów dał mi ją. Niższy z dużą brodą.

Indy przypomniał sobie kawiarnię Le Dome w Paryżu, kiedy to Ted Conrad opowiadał mu o spotkaniu z Boothem Tarkingtonem i pokazał książkę. Wziął do ręki powieść i otworzył na pierwszej stronie. Była podpisana przez Tarkingtona: „Tedowi - powodzenia w pisaniu”.

Ale co Conrad, jego były nauczyciel historii, robi tutaj i dlaczego z Shannonem? Nie znali się przecież. I dlaczego Mandraki trzyma ich z dala od niego?

– Zobacz, znalazłem to w książce - powiedział Nikos. - Znasz go?

Podał Indy’emu zdjęcie przystojnego, uśmiechniętego mężczyzny, który był mniej więcej w jego wieku. Stał obok czegoś, co wyglądało na grecki posąg, a za nim znajdowały się kamienne stopnie amfiteatru.

– Nigdy go nie widziałem - powiedział Indy. Zaczął uderzać krawędzią zdjęcia o blat stołu i zmarszczył brwi. Powiedziałeś, że moich przyjaciół zabrali żołnierze. Czy uprzejmie poproszono ich o udanie się z nimi, jakby to zrobiła eskorta?

Pokręcił głową.

– Nic uprzejmego. Zostali pojmani jak przestępcy, a pułkownik Mandraki dowodził żołnierzami.

– Dokąd mogli ich zabrać?

– Nie wiem, ale udali się w kierunku ruin.

– To już coś. Zamierzam ich odnaleźć. Mogę to zatrzymać? - pokazał fotografię.

– Jeśli pozwolisz mi iść ze sobą.

Indy zawahał się.

– Nie chcę, żebyś wplątał się w kłopoty, Nikos.

– Mogę ci pomóc ich odnaleźć. Znam dobre kryjówki w pobliżu ruin. Tam możemy poszukać.

Indy schował zdjęcie do kieszeni w kurtce i przypiął bicz do paska.

– Dobrze, ale pamiętaj, że nie bawimy się z żołnierzami w chowanego. To poważna sprawa.

– Wiem. Masz moly?

Indy wysilił się na uśmiech.

– Tak.

Kilka minut później wsiedli na konie. Indy dotknął ręką pękniętych żeber, potem trącił boki konia i ruszyli galopem. Gdy zbliżyli się do ruin, wskazał ręką magazyn i zjechali z drogi. Wokół było cicho i spokojnie, ale Indy chciał mimo wszystko sprawdzić. Zeszli z koni w pobliżu stajni i ostrożnie podeszli do magazynu. Spróbował otworzyć drzwi i zdziwił się, że nie były zamknięte. Powoli uchylił je. Na długim stole paliła się naftowa lampa.

Przeszedł wzdłuż półek zastawionych kamiennymi tabliczkami, obejrzał podłogę. Nie było żadnego śladu Dorian, ani kogokolwiek innego. Zawrócił w stronę drzwi i nagle dostrzegł coś białego i włóknistego wystającego z jednej z szafek. Uklęknął i dotknął materiału. Był prawie pewien, że wie, co to jest. Otworzył drzwiczki. Miał rację. To była sukienka Dorian, ta, którą miała tego wieczoru na przyjęciu. Była tu i przebrała się. To, że nie poszła do hotelu, oznaczało, że ona i Mandraki śpieszyli się.

Już miał zamknąć drzwiczki, gdy zobaczył kartkę papieru przyklepioną do tylnej ściany szafki. Były na niej trzy kolumny cyfr. Pierwsze dwa rzędy wyglądały następująco:

1 16.23 (3:05)

1 19.28 (3:11)

Nie było trudno odgadnąć, co oznaczał ten zapis. Cyfra z lewej strony przedstawiała dni, a dzień pierwszy, był tego pewien, to dzień, w którym przyjechali i zaczęli mierzyć czas emisji. W środkowej kolumnie znajdowały się czasy wznoszenia się oparów, a cyfry z prawej strony przedstawiały godzinowe odstępy między kolejnymi emisjami.

Przesunął palec w dół kartki i zorientował się, że to był nie tylko zapis poprzednich wyziewów, ale i rozkład przyszłych w ciągu kilku kolejnych. Jeden zestaw cyfr był podkreślony:

9 11.41 (6:53)

Indy policzył dni od przyjazdu. Naliczył osiem. Jutro rano król odwiedzi ruiny, a opary wzniosą się o jedenastej czterdzieści jeden. To może być przydatne. Starał się zapamiętać czasy emisji w następnych dniach.

- Nikogo tu nie ma - powiedział Nikos.
- Wiem. Byli tutaj i wyszli, a gdziekolwiek poszli, Dorian nie chciała mieć na sobie sukienki.

– Może nie chciała jej pobrudzić.

Indy skinął głową.

– Możliwe. Znasz jakieś brudne kryjówki, gdzie mogli zabrać moich przyjaciół?

Nikos pomyślał przez chwilę.

– Nad ruinami jest jaskinia.

– Myślisz, że Dorian ją zna?

– Zna na pewno.

– Skąd to wiesz? - dopytywał się Indy.

Nikos nagle stał się zakłopotany. Wodził oczami wokoło. Szurał nogami po podłodze.

– Wiesz, któregoś dnia, gdy miałem dwanaście lat, zrobiłem coś brzydkiego.

– Mów dalej.

– Poszedłem tam za panią Belecamus i jej chłopakiem. Wślizgnąłem się za nimi do jaskini i patrzyłem, jak to robili.

– Ten chłopak. Miałeś na myśli pułkownika?

Nikos pokręcił głową.

– Nie. To był ktoś inny. Pomocnik. Taki, jak ty. Student.

Więc ona miała w zwyczaju wiązać się ze swoimi studentami.

Pięknie. Nie wiedział dlaczego, ale poczuł się zazdrosny, zdradzony.

– Chodź. Sprawdźmy to.

Poszli dróżką prowadzącą do ruin. Dotarli do starego stadionu, który znajdował się za teatrem. Stamtąd Nikos poprowadził zarośniętą ścieżką. Wskazał ciemne skały powyżej.

– To dokładnie tam.

Indy nie widział nic poza konturami drzew. To nie wyglądało zachęcająco, ale nie mieli dużego wyboru. Ścieżka była stroma i kręta. Z każdym krokiem Indy czuł ból w żebrach i udach. Ale szedł dalej, pobudzany przez widmo zdrady Dorian. W końcu Nikos zatrzymał się i

wyciągnął rękę. W świetle księżycy widoczna była półka skalna szeroka na jakiś metr.

– Jeszcze tylko kawałek - szepnął.

Półka zakrecała za wystającą skałą. Zwęzła się. Stopy Indy'ego były tylko kilka centymetrów od brzegu. Cieszył się, że ciemność uniemożliwiała patrzenie w dół. To nie było niebezpieczne, gdy się nie wiedziało, jak daleko można spaść.

– Zatrzymaj się - szepnął Nikos. Przyłgął do ściany, twarz ukrył w cieniu.

Indy już miał zapytać, co się stało, gdy usłyszał kroki. Ktoś szedł półką skalną w ich kierunku, lecz nie mogli go dostrzec. Pozostało im tylko wtopić się w skały. Przysunął się do ściany, ale natychmiast odskoczył. Nadział się bokiem na wystający kamień.

Odgłos kroków stawał się głośniejszy. Można było dostrzec w ciemności ruch. Ktokolwiek to był, zatrzymał się, prawdopodobnie wyczuwając ich obecność. Byli w pułapce.

Niesamowite, głośne beczenie przerwało ciszę i Nikos wybuchnął śmiechem.

– To tylko koza z trójką małych.

– Co one tu robią?

– Żyją tu. Są dzikie.

Nikos cicho zawołał kozę, ale zwierzę uparcie stało w miejscu.

– Czy jest jakaś inna droga? - zapytał Indy.

– Nie.

Indy rozejrzał się wokoło i dostrzegł grubą gałąź wiszącą nad ścieżką. Odczepił swój bicz i delikatnym ruchem nadgarstka zarzucił go na gałąź. Potem odbił się od półki i przeleciał nad kozami. Wylądował za zwierzętami.

– Dalej, w drogę - syknął i koza oraz małe ruszyły dalej.

– Jak to zrobiłeś? - zapytał zadziwiony Nikos.

– Chyba miałem szczęście. Chodźmy.

Uważnie szli wzdłuż ściany, aż dotarli do miejsca, z którego widać było wejście do jaskini. Wewnątrz paliło się światło. Ktoś tam był.

Indy poklepał Nikosa po plecach.

– Dobra robota. Miałeś rację.

Podeszli bliżej.

Gdzieś z półki wyrastało drzewo i jego gałęzie zasłaniały wejście do jaskini. Nic dziwnego, że wcześniej nie widzieli odbłasku ognia. Gdy zbliżyli się na odległość kilku metrów, Indy usłyszał głosy. Nikos cicho odkaszlnął. Indy odwrócił się i przyłożył palec do ust. Potrącił przy tym jakiś kamień, który stoczył się w przepaść.

– Słyszałeś to? - to był głos Dorian. - Alex, idź i rozejrzyj się.

Indy wstrzymał oddech. O Boże! Jeśli orzeł jest jego obrońcą, to teraz przydałby się bardzo.

– Dopiero co tam byłem - burknął Mandraki. - Powiedziałem ci, że to kozy. Głupie, małe kozy.

– Przepraszam, jestem podenerwowana - odparła Dorian.

Indy otarł pot z czoła. Dziękował Bogu. Dziękował orłu. Dziękował wszystkiemu, co mogło być odpowiedzialne za utrzymanie Mandrakiego w jaskini. Uważnie podszedł na skraj wejścia. Uklęknął i zajrzał do jaskini. Na środku groty paliło się ognisko, dym znikał w niewidocznym kominie u góry. Wokół ognia siedziało kilka osób. Dorian była odwrócona plecami do wyjścia, a obok niej znajdował się Mandraki. Po drugiej stronie siedzieli dwaj żołnierze ze strzelbami.

Gdy jego oczy przyzwyczyły się do migoczącego światła, dostrzegł dwa ciała leżące twarzą do ziemi przy ognisku. Ofiary miały związane na plecach ręce. Za nimi były trzy długie, płytkie otwory w ziemi, a obok leżała łopata. Czy było to miejsce wykopalisk, o którym nie wiedział? Wątpił w to. Otwory bardziej przypominały mu groby. Nowo przygotowane. Dla trzech osób.

– Alex?

– Co?

– To był wielki błąd - powiedziała Dorian. - Powinniśmy zostawić ich w spokoju.

– Nie. To nie był błąd. Gdybym pozwolił im porozmawiać z Jonesem, to już by go tu nie było, a jest nam jutro potrzebny.

– Teraz już wie, że coś się dzieje. Nie przyjdzie do ruin. Będzie szukał swoich przyjaciół.

– Będziemy kontrolować sytuację - zapewnił ją Mandraki.

Indy dał znak Nikosowi, żeby się wycofał. Ostrożnie odeszli od wejścia do jaskini, aż znaleźli się w bezpiecznej odległości.

– Posłuchaj, Nikos. Chcę, żebyś wrócił do hotelu. Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, powiedz, że wróciłem wcześniej i poszedłem spać.

– Co zamierzasz zrobić?

– Znaleźć bezpieczne miejsce do obserwacji. Wcześniej czy później Dorian i Mandraki pójdą sobie. Wtedy ja wykonam swój ruch.

Podczas gdy Nikos skierował się do ruin, Indy wdrapał się na skały i znalazł miejsce, z którego mógł widzieć każdego, kto opuści jaskinię. Pod warunkiem, że nie uśnie. Nazbierał liści i usiadł na nich, opierając się o drzewo. Potarł chore udo i poprawił bandaż na żebrach. Spróbował się odprężyć. Zaczął się zastanawiać nad tym, do czego Dorian i Mandraki mogli potrzebować Shannona i Conrada, i po co ci dwaj tu przyjechali. Im więcej jednak o tym myślał, tym mniej rozumiał.

Zamknął oczy, zaczął drzemać, po chwili jednak ocknął się. Podniósł się i zaczął chodzić, by nie zasnąć. Gdy usiadł ponownie, usłyszał jakiś dźwięk, nie z dołu, ale z góry. Obrócił głowę i nasłuchiwał. To musiały być kozy.

Nagle dostrzegł drgający cień. Nachylił się i wyteżył wzrok. Po chwili zorientował się, że to był odbłask ogniska w jaskini. Prawdopodobnie dorzucili drewna. Zmienił pozycję, starając się usiąść jak najwygodniej.

Było zimno i wilgotno. Zaczął zacierać ręce. Jeśli ci czterej w jaskini na zmianę pilnowali więźniów, będzie to długa noc.

Jego powieki znów stały się ciężkie. Zamrugnął oczami, przetarł policzki i wpatrzył się w ciemność. Wyobraził sobie Dorian i Mandrakiego siedzących przy ognisku i ogrzewających się. Po chwili wyobrażenie odpłynęło i Indy zasnął. Leżał przytulony do Dorian na kuszetce w pociągu. Ciepło, bezpiecznie. Ale nagle wyczuł coś złowieszczonego. To coś było blisko, ale nie mógł tego dostrzec. To był mężczyzna, jasnowłosa, patrzył na niego. To ten sam, który poszedł za Dorian, gdy mu coś powiedziała i zniknął z pociągu. Mężczyzna wyciągnął rękę i jego usta poruszyły się. Co on mówi? Jakies ostrzeżenie, ale Indy nie słyszał go dobrze.

Nagle się obudził. Potrząsnął głową. - To tylko sen. Postaraj się nie zasypiać.

Potarł dłonie. Ale po kilku minutach znów zapadł w drzemkę. Głosy.

Ktoś zakłócał jego sen. Powinien wiedzieć, kto. Powinien coś zrobić, ale głosy mieszały się ze snem, w którym znajdował się w Chicago. To był głos Dorian.

Dorian nie należała do Chicago. Otworzył oczy i rozejrzał się niepewnie. - Jestem na górze. Czekam. Ale na co?

Nagle przypomniał sobie.

Księżyc zaczął chować się za górę, ale było jeszcze wystarczająco jasno, aby widzieć półkę. Nikogo tam nie było, lecz męski głos zagrzemiał z jaskini. Potem głos Dorian. Kłócili się.

Jak długo spał? Wyciągnął zegarek. Siedział tam już od ponad dwóch godzin.

– Wychodzę - oznajmiła Dorian.

– Dobrze, idę z tobą - odparł mężczyzna. Potem ciszej przemówił do kogoś innego. Dorian wyszła z jaskini.

Gdy Mandraki udał się za nią, Indy wyrzwał na półkę. Patrzył za nimi, aż zniknęli z widoku. Czekał i nasłuchiwał. Odgłos ich kroków słabł, aż wreszcie zanikł. Podniósł się i oparł rękę na swoim biczu. Teraz był gotowy.

Zaczął rozglądać się za jakimś zejściem na półkę. Powietrze było zimne, prawie słodkie i powodowało, że jego oczy znów zaczęły się zamykać, ponownie zasypiał. Wreszcie znalazł lukę w zaroślach, umożliwiającą zejście na dół. Okay, tego potrzebował. Już miał schodzić, gdy nagle usłyszał trzask gałązki.

Momentalnie obrócił się.

Na początku nic nie widział. Potem dostrzegł cień, uniesioną rękę, ostrze przecinające powietrze, pędzące w jego kierunku. Zablokował cios przedramieniem, chwycił napastnika za rękę i uderzył nią o swoje kolano. Nóż wyleciał z ręki mężczyzny.

Napastnik próbował uciekać, ale Indy złapał go za kołnierz i pociągnął. Wtedy zobaczył jego twarz.

– Ty! Ty draniu!

Indy poczęstował Grigorisa solidnym ciosem w szczękę. Ten się zatoczył, zderzył z drzewem i upadł na ziemię. Indy podszedł do niego i przykucnął. Ręka Grigorisa skradała się po ziemi w stronę noża, cicho i niepostrzeżenie, jak wąż. Indy był jednak szybszy.

Przyłożył ostrze do gardła mężczyzny.

– Nie lubię cię za bardzo. Wydasz choć jeden dźwięk, to usunę ci migdałki. Rozumiesz?

Przeszukał mu kieszenie i znalazł chustkę do nosa. Zakneblował go nią.

– To miło z twojej strony. Nie musiałem używać własnej. Teraz rozwiąż buty.

Grigoris patrzył na Indy'ego, dopóki ten nie przycisnął ostrza do jego piersi.

– No, dalej - gdy wykonał polecenie, Indy wziął sznurowadła i powiązał je razem. Potem związał ręce Grigorisa wokół drzewa.

Długo go to nie utrzyma, ale przynajmniej powinno opóźnić jego zapędy. Następnym razem głębiej się zastanowi, zanim coś zrobi. Albo tak mu się tylko zdawało.

Podniósł się.

– Jeśli jeszcze dzisiaj cię zobaczę, to zrzucę cię w przepaść. Rozumiesz?

Indy zszedł na półkę skalną i podszedł do wejścia do jaskini. Ogień ledwie się palił. Shannon i Conrad wciąż leżeli tam, gdzie widział ich przedtem. W pobliżu siedział strażnik.

Jeden strażnik. Gdzie się, do cholery, podział drugi?

Gałąź zaskrzypiała mu nad głową. Spojrzał w górę, a w tej samej chwili drugi strażnik zeskoczył na półkę. Zamierzył się kolbą strzelby na Indy'ego. Indy zrobił unik i wbił głowę w brzuch żołnierza. W walce o strzelbę potoczyli się w stronę wejścia do jaskini. Nagle Indy poczuł zimny metal przytknięty do skroni.

– Nie ruszaj się, *malaka*, bo cię zabiję.

18.

Pod strażą

Gdy maszerowali skalną półką, zbliżający się świt rozmywał już czerń nocnego nieba. Shannon szedł za jednym ze strażników, ręce i nogi miał zdrętwiałe, dziko rude włosy i kozia bródka były potargane. Indy szedł za nim. Dalej podążał Conrad; jego wełniany, sportowy kubrak był zmiętoszony i pobrudzony, twarz i broda umazane ziemią z jaskini. Choć Indy przez kilka godzin leżał obok nich, to właściwie dopiero niedawno ich ujrzał. Wcześniej wszyscy trzej byli zakneblowani i mieli zasłonięte oczy.

– *Siga, siga* - krzyczał bez przerwy drugi strażnik z tyłu. - *Siga, siga* - idźcie naprzód, ale nie za szybko.

Indy ślaniał się z braku snu. Czuł się okropnie. Wiedział jednak, że ich nie zabiją. Jeszcze nie teraz. Na szczęście strażnicy nie mieli pojęcia, że Indy rozumie ich i swobodnie rozmawiali, podczas gdy on słuchał. Ten z tyłu, który miał nieco wyższą rangę niż jego towarzysz, powiedział, że muszą poczekać na powrót Mandrakiego, tak jak rozkazał. Drugi strażnik jednakże, ten, który skoczył na niego, był przekonany, że Indy to ktoś ważny i należy go czym prędzej zaprowadzić do Mandrakiego. Potem ten z tyłu powiedział, że to on powinien zaprowadzić Jonesa, ponieważ jest starszy stopniem. Przez kilka godzin sprzeczali się, aż w końcu doszli do porozumienia. Jeśli Mandraki nie pojawi się do świtu, to obaj zaprowadzą więźniów do stajni, a potem strażnik wyższy rangą pójdzie po pułkownika.

Gdy dotarli do końca półki skalnej, Indy miał wreszcie okazję, aby wymienić spojrzenia z Shannonem i Conradem. Nie mógł stwierdzić, co sobie myślą, ale widział strach w ich oczach. Nie winił ich za to. Jego oczy prawdopodobnie wyrażały to samo.

Kiedy schodzili ścieżką do doliny niebo na wschodzie, daleko za górami, zmieniło swój kolor z ponurej szarzyzny na intensywny róż. Poniżej nich ruiny pozostawały jeszcze w cieniu i mgle. Indy widział tylko wyglądające upiornie kolumny świątyni. Wydawało się, że za chwilę znikną razem z mgłą. Gdyby opary wznosiły się teraz, nie można by było odróżnić ich od mgły. Może właśnie dlatego Dorian sporządziła dokładny wykaz kolejnych emisji. Ale jeśli była Pytią, jaki to miało związek z tym, co się z nimi działo? Może żaden. A może wszystko się z tym łączyło.

Gdy doszli do ruin, Indy nie był już w stanie stwierdzić czy jest zimno, czy ciepło. Czoło miał zroszone potem, a palce zdrętwiałe z zimna. Zeszli ze ścieżki i skierowali się w stronę stadionu. Potem minęli od tyłu rozpadające się ruiny teatru. Mgła zaczęła znikać i Indy miał nadzieję, że ktoś ich zobaczy. Z pewnością widok trzech zakneblowanych i związanych mężczyzn będzie nietypowy i spowoduje plotki. Ktoś niewątpliwie zainteresuje się, szczególnie dziś, w dniu, w którym król odwiedzi ruiny.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli, Indy ujrzał niewyraźną postać podążającą leśną dróżką pomiędzy stajnią a ruinami. - Proszę, niech to będzie ktoś od króla - błagał w duchu. Potem zobaczył, że to kobieta. To była Dorian. Jego nadzieje zniknęły.

Kiedy podeszła do nich, szybko oceniła sytuację.

- Dobra robota. Szukaliśmy go - powiedziała, kiwając głową w stronę Indy'ego, jakby był owcą lub krową, która wyskoczyła za ogrodzenie.

Gdy strażnicy powiedzieli jej, gdzie zamierzali ich zaprowadzić, pokręciła głową.

- Tam jest zbyt wielu ludzi, którzy mogliby na nich zwrócić uwagę. Zabierzcie ich do chaty i zdejmijcie kneble. Potem dajcie im coś do jedzenia.

Uśmiechnęła się do Indy'ego.

- Nie chcemy, abyś umarł z głodu, zanim zobaczysz się z królem - obejrzała go i pokręciła głową. - Musimy przynieść ci jakieś świeże

ubranie. Spróbuj się też trochę przespać.

Ona zwariowała, na pewno zwariowała - myślał, gdy pchnięto ich w stronę krytej słomą chaty. Po co, do cholery, ona chce, aby się spotkał z królem? Gdyby sam nie wdychał oparów, to byłby gotów uwierzyć, że pomieszały jej zmysły.

Przed chatą strażnicy wyjęli im kneble i ostrzegli gestami, żeby nie rozmawiali. Jeden za drugim zostali wepchnięci przez drzwi. W środku było kiepskie oświetlenie, ale mogli się widzieć. Przez minutę lub dwie nikt się nie odezwał. Indy potarł szczękę i rozejrzał się wokoło. Stół i krzesła zostały wyniesione, ale poza tym chata była taka sama, jak ją ostatnio widział. Usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. Pod zasłoną okrywającą wejście widać było czarne buty strażnika.

Conrad zasiadł obok niego.

– Powiedziałbym, że dobrze cię widzieć, Indy, ale w tych okolicznościach.

Shannon zaczął nerwowo chodzić w tę i z powrotem.

– To mi się nie podoba. A właściwie nienawidzę tego. To zupełnie do mnie nie pasuje. Już dłużej tego nie zniosę. Chcę grać na mojej trąbce. Chcę usłyszeć jazz, jakikolwiek jazz, nawet jakiś kiepski. I chcę się napić, nawet tego okropnego sosnowego gówna, które tu piją. Czegokolwiek.

– Jack, zamknij się - syknął Indy. - Bo znów nas zakneblują.

– Nikt mnie już więcej nie zaknebluje. Musimy się stąd wydostać.

– Wydostaniemy się, Shannon. Znajdziemy sposób rzekł Conrad. - Ale Indy ma rację, bądź cicho.

Indy spojrzał na obu mężczyzn.

– Czy jeden z was mógłby mi powiedzieć, co wy tu, do cholery, robicie?

Żaden nie odezwał się przez chwilę.

– No dalej, nie jesteście zakneblowani - szepnął. - I nie mówcie mi, że razem zdecydowaliście się przyjechać na wakacje do Grecji. A niech to, nie wiedziałem nawet, że się znacie.

Dwaj strażnicy kłócili się, prawdopodobnie o to, kto ma przynieść im jedzenie. Conrad wykorzystał to.

– Zaczniemy od tego dnia w Le Dome, kiedy to przedstawiłeś mi Belecamus. Gdy oboje wyszliście z restauracji, podszedł do mnie angielski dżentelmen, Gerald Farnsworth, który miał do powiedzenia sporo niepokojących rzeczy o pani profesor. Zacząłem się martwić i powiedziałem mu, że następnego dnia wyjeżdżasz z nią do Grecji. Nie wiedziałem jednak, gdzie mieszkasz i jak się z tobą skontaktować. Powiedział, że pojedzie tym pociągiem i osobiście z tobą porozmawia.

Farnsworth obiecał za dzień lub dwa wysłać mu telegram. Gdy nic nie nadchodziło, Conrad zawiadomił policję i dowiedział się, że ciało Farnswortha odnaleziono przy torach kolejowych. Został zabity ostrym narzędziem, na przykład szpikulcem do lodu.

Indy poczuł skurcz w żołądku, gdy uprzytomnił sobie, że człowiekiem, który poszedł za Dorian w wagonie restauracyjnym, musiał być Farnsworth. Spojrzał w stronę wejścia. Butów nie było już widać, a kłótnia przycichła. Słuchał, jak Conrad kontynuował.

Tej samej nocy Conrad poszedł do „Dżungli” i zaczął pić. Zdążył zamówić trzeciego drinka, gdy Shannon rozpoznał go jako profesora ze swej Alma Mater. Conrad nie dość szybko odkrył, że Shannon to przyjaciel Indy’ego i też z nim rozmawiał przed wyjazdem do Grecji.

– Gdy opowiedziałem Jackowi o tym, czego się dowiedziałem, zrozumiał, że jesteś w kłopotach i chciał pomóc.

Indy nie mógł już wytrzymać.

– Co Farnsworth panu powiedział?

Conrad zmarszczył brwi.

– Miałem ze sobą fotografię. Musiałem ją gdzieś zostawić. W każdym razie...

– Chwileczkę - Indy sięgnął do kieszeni i wyjął zdjęcie, które dał mu Nikos. Było teraz pogięte, więc starał się je wyprostować.

– Miał pan na myśli to?

– Tak, właśnie - powiedział Conrad z entuzjazmem.

– Ciszej - teraz Shannon zajął się kontrolą poziomu głośności.

Spojrzeli z obawą w stronę wejścia i słuchali. Strażnicy wciąż rozmawiali, ale już spokojniej.

Indy pomachał fotografią.

– A więc kto to jest?

– Nazywa się Richard Farnsworth. Młodszy brat Geralda i były student archeologii na Uniwersytecie w Atenach, gdzie Belecamus kiedyś wykładała. Zaginął dwa lata temu. Nie odnaleziono żadnego śladu po nim. - Tak więc Gerald Farnsworth zaczął szukać swego brata - kontynuował Conrad. - Dowiedział się, że Richard i Dorian Belecamus byli kochankami, jak również zdołał ustalić, że ona związana jest z Mandrakim. Wiadomo też, że Richard zaginął w czasie, gdy pułkownika widziano z Belecamus.

Indy'emu zrobiło się zimno. Chociaż Conrad wciąż mówił, jego słowa docierały do Indy'ego jakby spod wody. Długie samogłoski, krótkie spółgłoski, jak płyta odtwarzana w zwolnionym tempie. Otarł ucho o ramię i spróbował skupić myśli.

– Gerald Farnsworth dowiedział się też o innym jej studencie, który rok wcześniej został zastrzelony w swoim mieszkaniu. Też był jej kochankiem. Nawet ją podejrzewano, ale nikt nie został oskarżony o morderstwo. Potem, niedługo po zniknięciu Farnswortha, zrezygnowała z pracy na uniwersytecie. Najprawdopodobniej miała zostać oskarżona o niezgodny z etyką zawodową i nieodpowiedni stosunek do studentów.

– Cholernie nieodpowiedni - wtrącił Shannon.

– Wtedy właśnie przyjechała z Grecji do Paryża.

– Opowiedziała mi zupełnie inną historię o powodach jej wyjazdu z Grecji - powiedział Indy. Narastała w nim złość i uraza. - Zdaje się, że ona ma apetyt na studentów, a ja stałem się jednym z wielu. Ale dlaczego

Nikos, chłopak z hotelu, nie poznał Farnswortha? Dał mi przecież to zdjęcie.

– Ponieważ Farnsworth nigdy nie przybył do Delf. Wszystko rozegrało się w Atenach. Starła się unikać romansów tutaj, gdzie trudno jest cokolwiek ukryć.

Musiała mieć co najmniej jeden - pomyślał Indy, przypominając sobie opowiadanie Nikosa. Uczucie zimna minęło. Jego miejsce zajął ucisk w brzuchu.

– I gdy chłopcy są już niepotrzebni, rzuca ich na pożarcie swemu kochankowi-zabójcy - dodał Shannon. Ale to jeszcze nie wszystko.

Indy nie mógł sobie wyobrazić, co jeszcze po historii Farnswortha mogą mu powiedzieć.

– Moja rodzina ma tutaj kontakty - zaczął Shannon. - Wiesz, o czym mówię. Ludzie z powiązaniem. Politycznymi powiązaniem. Zakulisowe informacje.

Gangsterskie kontakty - pomyślał Indy, ale Shannon był jak zwykle tajemniczy.

– Czego się dowiedziałeś?

– Po pierwsze, gdy twoja pani profesor wyruszała w tę podróż, jej celem było coś więcej niż tylko wydobyć kamiennej tablicy. Wiesz, że jej ojciec jest greckim dysydem i mieszka obecnie we Włoszech?

– Opowiedziała mi o tym. Jej stary ma na pieńku z królem. Różnica zdań.

– To coś więcej niż różnica zdań. Jej przyjaciel, Mandraki, jest bliskim współpracownikiem jej ojca. Słyszałem, że planują coś, może zamach, i że Dorian Belecamus jest w to zamieszana.

– Zamach?

– Tak. Ktoś, kogo znam, włamał się do jej biura na uniwersytecie i znalazł listy od Mandrakiego, które to potwierdzają.

Shannon był prawdopodobnie tym kimś - pomyślał Indy.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to po co Dorian by mnie zabierała?

– Zamierzają cię jakoś wykorzystać - powiedział Shannon. - To musi mieć coś wspólnego z twoim dzisiejszym spotkaniem z królem. Według mnie, zamierzają zabić go, a na ciebie zrzucić całą odpowiedzialność. Oni są bardzo podobni do gangsterów z Chicago. Może są nawet mądrzejsi.

– Czy Mandraki groził, że was zabije?

– Zanim zasłonili ci oczy, nie widziałeś tych grobów w jaskini?

– zapytał Shannon. - Planują zabić dzisiaj nas wszystkich.

W tym momencie zasłonę przy wejściu odsunięto i jeden ze strażników wszedł do chaty. Zagestykulował ze złością, aby przestali rozmawiać. Jego towarzysz przyniósł trzy talerze. Na każdym znajdował się kawałek ciemnego chleba, gotowane ziemniaki i plasterek owczego sera.

Gdy jedli w ciszy, Indy uświadomił sobie, że Dorian była zdolna do zrobienia tego, o czym Shannon mówił. Nie znał szczegółów jego planu, ale w jakiś sposób będzie musiał ostrzec króla.

Indy podszedł do Shannona, odstawiając pusty talerz.

– Przykro mi, że zostaliście w to wplątani.

– Sami się wplątaliśmy.

Conrad odłożył swój widelec.

– Nie sądziłem, że tak szybko nas wykryją. Oczywiście Belecamus pamiętała mnie.

– A tak w ogóle - rzekł Shannon - co, do diabła, robi tu ta twoja piskliwa przyjaciółka, Madelaine? - po raz pierwszy zaśmiał się. - To już mnie dobiło. Ledwie tu przyjechaliśmy, a ostatnia osoba, której się tu spodziewałem, podchodzi do mnie na ulicy.

Nagle dwaj strażnicy wpadli do chaty i podnieśli Shannona i Conrada.

– Co się dzieje? - krzyknął Indy.

Szybko wstał, ale został obalony na ziemię i kopnięty w brzuch. Gdy doszedł do siebie, Shannona i Conrada już nie było, a on leżał zakneblowany.

– Dranie - mruknął.

Przetoczył się i wyjrzał przez drzwi. Wciąż widział parę butów. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ujrzy Shannona i Conrada. Pomyślał o Shannonie i ich szkolnych przygodach, o swojej złości na Conrada za to, że wydał go dyrekcji. To wszystko stawało się odległe i mało ważne w porównaniu z tym, co teraz przeżywali.

Jego zauroczenie Dorian Belecamus miało fatalne konsekwencje. Ze złością kopnął w ścianę i ku swojemu zdziwieniu jego noga przeszła na wylot. Zorientował się, że miejsce, które kopnął zostało przepalane ogniem przypadkowo przez niego wznieconym, kiedy siedział tu i mierzył czas. Wyciągnął stopę i spojrzął na buty przy wejściu. Nie poruszyły się.

Ostrożnie uderzał nogą w przepalone drewno wokół dziury. Kawałek po kawałku zrobił otwór na tyle szeroki, że mógł się przez niego przecisnąć. Czołgając się na brzuchu, przełożył najpierw nogi. Jego uda były jednak zbyt grube i utknął w ścianie. Przycisnął jedną nogę do drugiej i spróbował ponownie. Zacisnął zęby, gdy ściana zadrapała ranę na jego udzie. Tym razem udało mu się. Do połowy był na zewnątrz, a do połowy w chacie. Kolanami odpychał się od ziemi i przesuwiał powoli.

Jeszcze tylko kawałek. Nagle jego ramiona utknęły. Przekręcał się na lewo i prawo, pchał i ciągnął, ale nic nie skutkowało. Jeśli już, to ugrzązł jeszcze bardziej. Wypuścił powietrze z płuc i zapał się kolanami, ciągnąc naj silniej, jak tylko potrafił. Chata zatrzęsa się, lecz on wciąż w niej tkwił. Spojrzął w stronę wejścia. Butów już nie było widać.

– O cholera. I co teraz?

Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Poczul ręce chwytające go za kostki i ciągnące. Jęknął, gdy ramiona przechodziły przez dziurę w ścianie.

Obrócił głowę i zobaczył parę czarnych butów. Spojrzął do góry. Ale to nie był strażnik. To był Nikos.

Chłopak szybko poluzował więzy na jego rękach i wyjął mu knebel z ust.

– Strażnik - wyszeptał Indy.

– Nie martw się. Zająłem się nim - powiedział Nikos, trzymając w ręku kij.

Indy podniósł się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Otrzepał ubranie.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Nie wiedziałem, dopóki nie ujrzałem strażnika przy drzwiach. Poszedłem cię szukać, ponieważ zobaczyłem, że pułkownik Mandraki zabrał twoich przyjaciół do hotelu. Żołnierz strzeże ich w jednym z pokoiów.

Nagle Indy usłyszał dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Obejrzał się i ujrzał okrągłą twarz Mandrakiego zwróconą w jego stronę. Na ustach pułkownika gościł drwiący uśmiech. Wycelował pistolet w Indy'ego.

– Wybierasz się gdzieś, Jones?

Indy wbił wzrok w lufę i nic nie odpowiedział. Ostatnią rzeczą, jaką chciał zrobić, było rozgniewanie tego człowieka, który niewątpliwie bez chwili namysłu nacisnąłby spust.

Mandraki spojrzał na Nikosa.

– Wracaj do hotelu i zostań tam - powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Jeśli piśniesz komuś słowo, zabiję go. Potem przyjdę po ciebie.

Nikos rzucił okiem na Indy'ego, a potem pobiegł w stronę wioski.

– Nie lubię zabijać dzieci, Jones, ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Wszystko zależy od ciebie, pamiętaj.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Mandraki uśmiechnął się złowieszczo.

– Zrobisz to, co ci każę, albo twoi dwaj przyjaciele i dzieciak zginą.

– Co mam zrobić?

– Zdarzy się wypadek. Gdy uniosą się opary, król wpadnie do szczeliny.

Ty pomożesz mu lekkim pchnięciem.

O tak, niewątpliwie - pomyślał Indy.

– A co, jeśli nie zechce wejść w opary?

– Wejdzie, ponieważ ty powiesz mu, że gazy wyleczyły twoje obrażenia i masz nadzieję, że mogą pomóc mu w jego dolegliwościach. On ma chore biodro. Bywał u lekarzy na całym świecie, ale wciąż go boli. Gwarantuję ci, że zechce spróbować oparów.

Indy nie wiedział, co powiedzieć. Musi znaleźć sposób, aby powstrzymać Mandrakiego.

– Jeśli spróbujesz ostrzec króla, zabiję cię na miejscu. Pamiętaj o tym. Jeśli będziesz współpracował przy tym wypadku, ty i twoi przyjaciele będziecie mogli natychmiast wyjechać z kraju. Rozumiesz?

Indy nie wierzył mu. Ani przez chwilę. Mandraki rzucił mu płócienną torbę.

– Idź do chaty i przebierz się. Przed obliczem króla masz wyglądać porządnie.

Po tym wyszczerzył zęby i roześmiał się głośno.

W tym momencie Indy'emu nasunęła się dziwna myśl.

Jeśli orzeł jest jego obrońcą, to nie wywiązuje się ze swoich obowiązków.

Hipnotyczne opowieści

Ze swojego miejsca na występie skalnym, na zboczu za świątynią Apollina Panos spoglądał na grupę ludzi zgromadzonych przy wjeździe do ruin. Król jeszcze nie przyjechał, ale będzie tu lada chwila. Było po jedenastej, a opary wzniosą się o jedenastej czterdzieści jeden.

– Chodźmy - powiedział Grigoris. - Możemy podejść bliżej.

Panos pokręcił głową.

– Mamy jeszcze czas.

Jak zwykle Grigorisowi śpieszyło się. Tego ranka był też w kiepskim humorze. Gdy Panos przyszedł tu pół godziny temu, Grigoris opowiedział mu zdarzenie z minionej nocy. Wysłuchał, spojrział na buty syna, w których brakowało sznurowadeł i wzruszył ramionami. Powiedział mu, że to już nie ma znaczenia. Chodziło mu o to, że Jones już się nie liczył. Widział jak dwóch żołnierzy Mandrakiego prowadziło trzech cudzoziemców od strony gór. Nie stworzą już żadnych problemów.

– Spójrz tam - Grigoris wyciągnął palec w kierunku drogi i wskazał Panosowi duży samochód, który zatrzymał się przy wjeździe. Król przybył. Panos patrzył, jak mężczyzna w garniturze wyskoczył przednim wyjściem i otworzył tylne drzwi. Chwilę później wysoki, siwy mężczyzna wysiadł z samochodu. Miał na sobie strój safari, taki jaki nosi wielu cudzoziemców, którzy przyjeżdżają do Delf, i przez moment Panos nie mógł go poznać. Jednakże po szacunku, jaki wszyscy mu okazywali, zorientował się, że jest to król. Sam widok człowieka, który władał krajem, wywołał w Panosie uczucie lęku.

Przypomni sobie, co powiedziaa mu Belecamus, gdy wychodzi z magazynu. Wciz sie nad tym zastanawia. Wspomniaa, e krol jest w niebezpieceństwie i e niebezpieceństwo znajduje sie blisko. Czy to mowia Pytia, czy Belecamus, a moe obie? To byo skomplikowane.

Machn rek na Grigorisa i ruszyli ciezk w stron ruin. Zatrzymali sie na wzgorzu wród drzew, okoo piedziesiciu jardw od wityni. Podeszli najblizej, jak tylko mieli, i obserwowali grup idc wród ruin.

Panos skupi uwag na krolu. Serce mu walio. Wiedzia, e zdarzy sie co monumentalnego. Historia. Chocia raz nie bya to przeszo. Dziao sie to na jego oczach. Wane, historyczne wydarzenie, ktore odbije sie echem w wiecie. Obserwuje je, bedzie jego czeci.

Belecamus sza po jednej stronie krola, Mandraki po drugiej. Nie podoba mu sie sposb, w jaki pukownik prowadzi pochd, jak gdyby by przywdc. I dlaczego Doumas ociaga sie jak dzieciak? Nagle Panos nabra powietrza geboko do puc, bo ujrz Jonesa w pobliu krola. Co on tam robi? To nie miao sensu.

Nawet z tej odlegoci wyczuwa niebezpieceństwo, ciemn obecno, ktora wywoywaa u niego dreszcze. To musi byc Jones. Ale jeli Jones przebywa na wolnoci, to Mandraki musia mu na to pozwolic. Nagle zrozumia, e pukownik jest prawdziwym rdem zagroenia. To on zamierza zamordowa krola i w jaki sposb wykorzysta do tego Jonesa.

Nie moe na to pozwolic. Szczegolnie nie w tym dniu.

Nie tu, w Delfach. Zbyt wiele jest do stracenia. Spojrz na Grigorisa i ujrz nienawic w jego oczach. By pewien, e jego syn te rozpozna Jonesa.

– Ojcie, czy widzisz.

– Tak, ale teraz posuchaj mnie uwanie. Nie rob nic, dopoki ci nie powiem. Musimy zgrac to w czasie.

Grigoris wbi wzrok w Jonesa i skin gow.

– Rozumiem - powiedział, ale w jego głosie nie było przekonania. - Jesteśmy tu, a to wystarczy.

Grigoris powtarzał słowa Panosa. Teraz jednak Panos nie był pewien ich słuszności.

Doumas podążał przez ruiny za orszakiem króla, podczas gdy Belecamus na przemian chwaliła się swoją pracą w charakterze głównego archeologa w Delfach i ukazywała zniszczenia spowodowane przez trzęsienie ziemi. Może nikt tego nie dostrzegał, ale dla niego jej duma była oczywista. Dobrze znał zasięg jej poczynań, jak również ich ograniczenia. Nic by go bardziej nie zadowoliło niż jej wyjazd z Delf i świadomość, że nigdy więcej nie powróci, przynajmniej w czasie, gdy on tu będzie szefem.

Nie w taki sposób on by przedstawił Delfy królowi. Co, do diabła, Mandraki może wiedzieć? Nie powinien znajdować się przy boku króla. I jeszcze ten Jones. Prawdopodobnie jedynym powodem, dla którego jeszcze żyje, jest to, że król zażądał jego obecności, a Belecamus nie chciała niepotrzebnych pytań.

Jones jednak wyglądał jak lunatyk. Jego spodnie były za krótkie, a koszula zbyt obszerna. Buty miał pokryte błotem. Gdyby to było jakieś inne miejsce niż ruiny, to nie dopuszczono by go w pobliże króla. Ale ten strój to jeszcze nie wszystko. Powłóczył nogami, jakby nie spał przez kilka nocy. Co on, do diabła, robił od czasu, gdy odjechał jego powozem?

Gdy zbliżali się do świątyni, Belecamus opowiadała o szczelinie. Wyeksponowała fakt, że opary przypominają halucynogenne gazy wyroczeni Apollina. Wspomniała nawet, że opary nazywano krwią bogów, ich życiodajną siłą. Doumas prawie wybuchnął śmiechem. Nigdy nie słyszał, żeby mówiła o Delfach w tak romantyczny sposób. To musi być wpływ Jonesa - pomyślał.

– A jaki efekt wywołują te opary u kogoś, kto je wdycha? - dopytywał się król. Gdy szedł, widać było, że kuleje.

– Możemy powiedzieć, że na pewno nie wywołują żadnych negatywnych efektów. Pojawiało się uczucie zadowolenia, ale mogło mieć podłoże psychologiczne. Powinam jednakże wspomnieć, że pan Jones ma doświadczenia, którymi może się podzielić. On zdaje się uważa, że opary mają jakieś właściwości lecznicze.

Bardzo sprytnie - pomyślał Dumas. Pominęła to, co jej się przydarzyło. Prawdopodobnie myśli, że zabrzmiałoby nieprofesjonalnie, gdyby powiedziała, że opary miały na nią jakiś wpływ i przez kilka dni dziwnie się zachowywała. Nawet się nie przyznała, że osobiście je wdychała. Ale o co chodzi z tym Jonesem?

Jedna rzecz wydawała się pewna: na razie nie zamierzała powiedzieć, że jest Pytią. A więc Panos przegrał. Nie miała zamiaru współpracować, jak się marzyło Panosowi. Dlaczego miałyby to robić? Kamieniarz był głupcem, wierząc w to.

– Kiedy uniosą się te opary? - zapytał król.

– Wydają się pojawiać i znikać nieregularnie. Prawda, Stephanos?

Dlaczego powiedziała to i postawiła go w sytuacji, w której musiał zgodzić się z kłamstwem? Odchrząknął.

– Cóż, z każdym dniem pojawiają się chyba coraz rzadziej.

Następna emisja miała nastąpić za chwilę. Musiała o tym wiedzieć. Ale może w całym tym zamieszaniu związanym z przyjazdem króla po prostu zapomniała. Zastanawiał się, czy nie powinien o tym wspomnieć. A co będzie, jeśli się myli? Król pomyśli, że on jest głupcem. Mógłby nawet utracić swoje stanowisko, gdyby król zdecydował się poczekać na pojawienie się oparów i nic by się nie zdarzyło. Nie, nie może ryzykować.

Dumas podszedł bliżej do Belecamus, podczas gdy ona prowadziła wycieczkę wzdłuż kolumn. Kiedy będzie miał okazję, wspomni o rozkładzie emisji, a potem niech ona się martwi. Ale jej zależało na tym,

aby iść i powiedziała królowi, że może przyjrzeć się szczelinie ze szczytu wału ziemnego.

– Panie Jones, dlaczego nie opowie pan Jego Wysokości o swoich doświadczeniach? - powiedziała Belecamus, biorąc króla pod ramię i kierując go w stronę wału. - Wie pan o tym więcej niż ktokolwiek inny.

Niesamowite - pomyślał Dumas. Najpierw pułkownik przewodził orszakiem, a teraz ma go zastąpić Jones, który jest równie niedoświadczony. Nie chciał brać w tym udziału. Niechętnie podążał za idącymi i zatrzymał się w połowie drogi do wału, obok dwóch pomocników króla.

Gdy król zjrzał do szczeliny, Jones opowiedział mu o swoim upadku. Opisał tablicę i, ku zdziwieniu Doumasy, dość dokładnie oddał treść tego, co na niej przeczytał. Król jednakże nie wydawał się zbytnio zainteresowany. Wysłuchał opowieści Jonesa o jego upadku, a potem przerwał mu i zapytał, w jaki sposób zadziałały na niego opary.

– Uważam, że gazy te mają właściwości lecznicze - rzekł Indy, ale to nie zabrzmiało zbyt przekonująco. - Zostałem ranny w czasie upadku, ale szybko wyzdrowiałem.

– I żadnych niepożądanych efektów?

Jones pokręcił głową.

Wcale lepiej nie wygląda - pomyślał Dumas.

– Chciałbym kiedyś osobiście spróbować tych gazów - powiedział król.

Nie chciałbyś, gdybyś widział reakcję Belecamus pomyślał Dumas. Podszedł bliżej, zorientowawszy się, że Belecamus coś knuje. Król zamierzał ujrzeć opary, a nawet je wdychać.

Teraz Belecamus mówiła o tablicy i powrocie wyroczni:

– W rzeczywistości, niektórzy wieśniacy powiadają, że istnieje stara przepowiednia o powrocie Pytii po trzęsieniu ziemi i przed przyjazdem króla.

Król uśmiechnął się.

– Czyżby?

Doumas przygryzł wargę, gdy zdał sobie sprawę, że się pomylił. Ona zamierzała to zrobić.

Właśnie wtedy, gdy rozmawiano o oparach, Doumas poczuł delikatne drżenie i usłyszał syczenie. Gazy zaczęły się unosić. Zaplanowała to sobie. Może ona jest Pytią? Zszedł z wału, gdy opary zasłoniły mu stopy. Mandraki przesunął się tak, że stanął między królem a ludźmi z jego asysty.

– Stójcie tam - polecił.

– Wasza Wysokość - zawołał jeden z nich, gdy opary unosiły się wokół króla. Król zignorował ich. Belecamus odwróciła się od Mandrakiego i zniknęła w obłokach wraz z królem i Jonesem. Wszystko działo się tak szybko, że Doumas nie zauważył obecności Panosa i Grigoris.

Nagle w świątyni zapanował chaos. Panos rzucił się w stronę wału, ale Mandraki odepchnął go z powrotem. Dwaj mężczyźni z asysty byli przerażeni i przepychali się w stronę króla. Mandraki starał się powstrzymać ich, ale w tym momencie do pułkownika doskoczył Grigoris.

Panos ponownie wskoczył na wał i tym razem zniknął w oparach. Mandraki zajęty był Grigorisem i ochroniarzami króla i nie widział, co się działo. Doumas przyglądał się temu z niedowierzaniem, aż rozległ się krzyk, który był bardziej zwierzęcy niż ludzki. Dreszcze przeszły mu po plecach. Wiedział, że to Belecamus przekształca się w Pytię. Działo się, i to w sposób zaplanowany przez Panosa. Usłyszał jego głos obwieszczający obecność Pytii.

Nie. Musi ich powstrzymać. To on musi mieć władzę, a nie Panos. Zaczął wspinać się na wał, potknął się i ześlizgnął na dół. Słyszał bełkot Dorian i głos króla. Podniósł się i pobiegł w miejsce, gdzie zniknął Panos.

Obłoki gazów izolowały ich od innych. Zgiełk na zewnątrz wydawał się odległy, nieważny. Nawet król, który stał w zasięgu ręki Indy'ego, wyglądał jak mara, niejasny kształt. Ale słychać było, że wdycha opary, że wciąga je głęboko do płuc.

– Proszę pana. Wasza Wysokość - czy tak powinien się do niego zwracać? Król zignorował go. - Przepraszam, Wasza Wysokość - musi powiedzieć mu o niebezpieczeństwie. Ale w jaki sposób uratuje Shannona, Conrada i siebie? Ich życie jest zagrożone niezależnie od tego, co się stanie z królem.

– Moje biodro już zdrowieje - triumf rozbrzmiewał w głosie króla. - To miejsce jest cudowne.

Zanim Indy zdołał powiedzieć coś więcej, inna postać wynurzyła się z obłoków. To była Dorian. Końcówki jej włosów stały dęba, podczas gdy ona spazmatycznie kiwała głową. Ślina ciekła jej z ust, a oczy o mało nie wyszły na wierzch. Krzyknęła.

– Co pani jest? - zapytał król.

Wtedy pojawił się Panos.

– Wasza Wysokość, Pytia powróciła - zagrzemiał. - O co Wasza Wysokość chce zapytać Pytię?

Król wytrzeszczył oczy. Pytia podeszła do niego. Język miała wystawiony.

– Odejdź. Odejdź ode mnie.

Nagle zaczęła bełkotać. Słowa wylatywały z jej ust, ale nie miały żadnego sensu. Indy co chwila rozpoznawał jakiś znajomy dźwięk, wyrażenie. Łacina. Francuski. Greka. Angielski. Ale to była bezładna paplanina.

– Pytia zwraca się do Waszej Wysokości - rzekł Panos. - Mówi, że powinien pan uciekać. Jest pan w niebezpieczeństwie. Ktoś w pobliżu chce pana zabić. Proszę opuścić to miejsce, ratować swoje życie. Ale proszę odejść w przekonaniu, że Delfy wkrótce znów zasłyną i zmieni się szczęście naszego kraju.

– Kim ty jesteś, że mi to mówisz? - dopytywał się król.

– To nie ja, to Pytia mówi.

Król popatrzył sceptycznie na Dorian. Głowę miała przechyloną, oczy zamknięte i chwiała się na nogach.

– Ona jest Pytią?

Indy obrócił głowę w stronę nadbiegającego Doumasa. Ręce miał wyciągnięte. Skoczył do Panosa i chwycił go wpół. Dorian została przewrócona, jej głowa z hukiem uderzyła o ziemię.

Indy rzucił się do niej, ale Doumas i Panos wpadli na niego. Indy zachwiał się. Próbował odzyskać równowagę, ale jego stopa ześlizgnęła się z brzegu rozpadliny. Zaczął zsuwać się w dół, próbując chwycić się czegokolwiek, aż wreszcie trafił na kamień częściowo tkwiący w ziemi, na samym brzegu szczeliny. Ale kamień zaczął się ruszać.

– Och Boże, nie. Nie chcę umrzeć. Nie tu. Nie z tymi ludźmi.

Podciągnął się, najbardziej jak tylko mógł. Gdy zdążył wysunąć się ponad krawędź szczeliny, kamień wyleciał. Jego nogi zawisły w powietrzu. Przechylił się do przodu, zarzucił nogę na brzeg i przetoczył się na plecy.

Spojrzał w górę i ujrzał stopę spadającą na jego twarz. W ostatniej chwili chwycił ją i odepchnął. Potem zobaczył, że stopa należała do Grigorisa, który ponownie się na niego rzucił. Ale Doumas złapał go za kołnierz. Trzymał ojca i syna za szyje i kręcił nimi niebezpiecznie blisko szczeliny. W każdej chwili mogli upaść i pociągnąć Indy'ego za sobą.

Indy spróbował odsunąć się od przepaści, lecz gdy to zrobił, kilka osób potknęło się o niego i potoczyło w stronę rozpadliny. Ktoś krzyknął i Indy dostrzegł ręce szukające zaczepienia. Sięgnął i chwycił za przegub. Ktokolwiek wisiał na ramieniu Indy'ego, wyginał je do granic możliwości.

Słyszał długi krzyk człowieka spadającego w przepaść. Nie wiedział czyj to był głos Jego wrzaski odbijały się echem w rozpadlinie, aż w końcu ucichły, zamieniając się w śmiertelną ciszę. Po jego lewej stronie Panos wisiał na skraju rozpadliny, a Grigoris próbował go wyciągnąć.

Kto spadł? Doumas? Kto w takim razie wisi na jego ręce?

Zebrał wszystkie siły i z trudnością pociągnął, zapierając się nogami o ziemię. Po kolei wynurzały się ręka, ramię, kark i głowa króla. Z pomocą wolnej ręki króla Indy całkowicie wyciągnął go ze szczeliny.

Stanęli na nogach i król przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Indy'ego.

– Zapamiętam to - powiedział. - Uratował mi pan życie.

Tak szybko jak się pojawiły, opary zniknęły. niczym mgła wypalona przez słońce. Wydawało się, że Doumas został żywcem pożarty przez jakąś siłę spod Delf, a teraz ta enigmatyczna potęga wycofywała swoje eteryczne macki.

Nagle przy królu pojawili się jego ludzie i odciągnęli go od zrujnowanej świątyni.

– Chciał mnie zabić - powiedział król.

– Kto? - zapytał człowiek z królewskiej ochrony.

– Ten otyły człowiek, ten archeolog. Ale zostałem ostrzeżony przez Pytię. Ta kobieta jest Pytią.

Mandraki w tym czasie podnosił Dorian, a Grigoris pomagał wstać ojcu.

– Najwyższy czas wynieść się stąd - mruknął Indy i oddalił się. Za teatrem skręcił w dróżkę prowadzącą do stajni. Biegł najszybciej, jak mógł. Z każdym krokiem czuł ból w rannym udzie. Opary nie pomogły ani jego nodze, ani żebrom. Dróżka kończyła się przy magazynie. Indy pobiegł przez trawiastą polankę w stronę stajni. Przeszedł wzdłuż boksów i wybrał konia, o którym Dorian powiedziała, że jest najsilniejszy i najszybszy. Zarzucił na niego siodło, ale w tym momencie koń stanął dęba, zrzucając siodło i prawie tratując Indy'ego.

Pospiesznie wyszedł z boksu.

– Wypróbuję cię innym razem.

Następny boks był pusty, ale w kolejnym stał koń, na którym Indy już jeździł. Szybko osiodłał rumaka i miał go dosiąść, gdy dostrzegł Mandrakiego. Kierował się w jego stronę i niósł na rękach Dorian. Mógłby przejechać obok nich, ale Mandraki był prawdopodobnie uzbrojony.

Zaklął pod nosem i zawrócił konia do boksu, zdjął z niego siodło i położył się na ziemi. Kilka sekund później do stajni wpadł Mandraki. - Trzymaj się z dala od tego boksu - polecił mu w myślach Indy. Zamknął oczy, gdy usłyszał trzeszczenie drzwi. To w sąsiednim boksie, tym pustym. Mandraki ułożył Dorian na kupie siana.

– Dorian, obudź się. Musimy iść.

Indy usłyszał głośne klepnięcie, potem drugie.

– A niech to, Dorian. Co się z tobą dzieje?

Dorian zamrugnęła oczami, gdy poczuła mocne uderzenie w policzek, potem następne. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wreszcie ujrzała twarz Alexa. Rozejrzała się wokoło.

– Co ja robię w tej stajni? Och, moja głowa - delikatnie dotknęła guza w okolicy skroni.

– Wszystko źle poszło. Co ty robiłaś w oparach? Miałaś przecież pójść ze mną.

– Poszłam, ale po tym nie wiem, co się stało.

– Cóż, król się wydostał i wie, że próbowano go zabić - powiedział Mandraki. - Czy Jones popchnął go?

– Nie wiem - odpowiedziała Dorian. - Nie widziałam. Staralam się tylko stamtąd wydostać. Mamy kłopoty?

Mandraki potrząsnął głową.

– Nie. Król myśli, że to Doumas próbował go zabić. A on nie żyje. Spadł.

– A więc jesteśmy bezpieczni.

– Nie, dopóki po sobie nie posprzątam - powiedział Mandraki.

– Musimy działać szybko.

– Co masz na myśli?

Mandraki zmarszczył brwi, zdziwiony jej nagłą tępotą.

– Musimy pozbyć się Jonesa i jego przyjaciół. Potem, gdy już to załatwimy, zamierzam osobiście zająć się tymi dwoma idiotami, ojcem i synem. Może wiesz, co oni tam robili?

Odwróciła głowę.

– Nie wiem.

– Któregoś dnia ten starszy powiedział mi, że Jones cię śledzi. Po co miałyby interesować się moimi sprawami? Albo raczej twoimi?

Mandraki zawsze tolerował jej romanse z młodszymi mężczyznami, dopóki uważał, że nie trwają zbyt długo. Wtedy kończył je po swojemu. Jones nie będzie stanowił wyjątku, wiedziała to. Ona jednak chciała go żywego. W jakiś sposób musi wykołować Mandrakiego. Miała wobec Jonesa inne plany.

– Jedź sam, Alex. Poleżę tu chwilę i odpocznę.

– Jesteś pewna?

W tym momencie usłyszała sapnięcie.

– Co to było? - zapytał Mandraki. Wstał i otworzył drzwiczki od boks.

Słoma i kurz zaczęły drażnić Indy'ego. Poczł kręcenie w nosie, wstrzymał oddech. Próbował, jak mógł, powstrzymać kichnięcie, na które mu się zbierało. Mandraki był tuż obok i z pewnością by go usłyszał. Pomimo całego wysiłku spazmatycznie odchylił głowę i kichnął w rękaw.

– A niech to! - zaklął w myślach. Drzwiczki od sąsiedniego boks z trzaskiem się otworzyły. Indy znieruchomiał, czekał. W polu jego widzenia pojawiła się dłoń. Poklepała po nozdrzach konia stojącego nad nim. Jeśli Mandraki otworzy drzwi, to go ujrzy. Nie ma żadnej wątpliwości.

– Co jest, malutki, przeziębiles się?

Dzięki Bogu. Pomyślał, że to koń.

– Nie wyglądasz za dobrze - Mandraki cofnął się.

Radość Indy'ego była krótkotrwała. Prawie natychmiast zaczęło mu się zbierać na następne kichnięcie. - Szybko. Wychodź stąd - po cichu rozkazał Mandrakiemu, gdy ten siodłał konia w sąsiednim boksie. Wreszcie, po jednej z najdłuższych minut w swoim życiu, Indy usłyszał, jak Mandraki wyprowadził konia z boksu.

– Na pewno dobrze się czujesz? - zapytał Dorian.

– Tak. Przyjadę za kilka minut.

Kiedy tylko Mandraki odjechał, Indy głośno kichnął. Poczł się tak dobrze, że aż się uśmiechnął. Ale chwilę później jego uśmiech zniknął.

– Kto tu jest?

Strach przed Mandrakim był tak duży, że zapomniał o Dorian.

– Nikt.

– Jones! To ty?

Gdy wstawał, dotknął swego pasa i żałował, że strażnicy zabrali mu jego bicz. Do Dorian niewątpliwie trzeba było zbliżyć się z ostrożnością. Otworzył drzwiczki do jej boksu i spojrzł na nią. Zdawało mu się, że patrzy na jadowitego pająka. Leżała na boku, podpierając głowę ręką. Nie widział przy niej żadnej broni. Nie zamierzał jednak spuszczać jej z oka.

Usiadła, przejechała ręką po włosach. Trochę siana opadło jej na ramiona.

– Podejź tu - odezwała się cichym, gardłowym głosem. Jeszcze kilka dni temu głos ten był uwodzicielski. Teraz brzmiał śmiercionośnie.

Nie ruszył się. Nie wypowiedział ani słowa. Jej spojrzenie zapraszało go do wejścia.

– Słyszałaś, co powiedziałam królowi, gdy byliśmy w oparach?

– zapytała.

– Słyszałem tłumaczenie.

– Co mówiłam? - otworzyła szeroko swe ciemne oczy i wpatrzyła się w niego.

Nie był pewien, czy ona rzeczywiście nie wie, czy po prostu sprawdza go. Powtórzył jej to, co Panos powiedział królowi.

– Ostrzegłam go przed niebezpieczeństwem - powiedziała Dorian. - Widzisz, sprzeciwiłam się Alexowi.

– Czyżby?

– Uratowałam królowi życie, Indy. Ty byś go zabił.

– Twój przyjaciel chciał, żebym to zrobił - odparł Indy. - Teraz chce zabić mnie i moich przyjaciół.

– Mogę ci pomóc.

Pokręcił głową.

– Nie ufam ci, Dorian. Zbyt wiele o tobie wiem.

Jej wzrok zdawał się wbijać w niego.

– O czym ty mówisz?

– O twoim byłym kochanku, nazywał się Farnsworth. Zabiłaś go i jego brata. Kto wie, ilu jeszcze.

– Nie zrobiłam tego.

– Idę - wyszedł z boksu i przeszedł do sąsiedniego. Gdy siadł na konia, Dorian stanęła w wejściu.

– Nie zawsze robiłam dobre rzeczy, Indy - powiedziała miękko głosem.

- Pozwalałam Alexowi manipulować sobą. Ale to już się skończyło. Przysięgam. Mogę pomóc ci wydostać od niego twoich przyjaciół. Udowodnię ci, że nie jestem taka, za jaką mnie bierzesz.

– Dzięki, ale sam się tym zajmę.

– Jeżeli pójdziesz do hotelu, zostaniesz zabity - powiedziała trzeźwo. - Alex tylko na to czeka. Nie zabije ich, dopóki nie dostanie ciebie. Oni są jego przynętą. Jeśli chcesz żyć, poczekaj do rana. Ukryj się. Przeprowadzę twoich przyjaciół o w pół do dziewiątej do świątyni.

Zastanowił się. W sprawie hotelu miała prawdopodobnie rację. Były niewielkie szanse na wydostanie Shannona i Conrada.

– Wcześniej.

– Nie. Ósma trzydzieści. Bądź punktualnie.

Indy wiedział z rozkładu w szafce Dorian, że opary zaczną się wydobywać o ósmej trzydzieści osiem. Co ona, do diabła, tym razem knuje? Ale jaki ma wybór?

Chociaż Dorian była najmniej godną zaufania osobą, jaką znał, w tym momencie jej pomoc wydawała się jedyną możliwością.

– Będę tam.

Nowe wzniesienie

Mgła niczym stopy świeżo ściętej wełny okrywała ruiny. Panos widział tylko niewyraźne kształty drewnianej chaty, w której spędził noc. Odwrócił się od niej ze wstrętem. Pomimo mgły miał pewność, że Belecamus - Pytia przybędzie tu wkrótce. Opary będą działały na nią jak magnes. Niedługo do Delf zaczną ściągać bogaci i potężni, zupełnie jak mrówki do rozlanego miodu. Niebawem Delfy rozkwitną i odrodzą się starożytne zwyczaje. Skarbiec wyroczni zapełni się i nowa świątynia zostanie wzniesiona na gruzach starej. Nie będzie w Delfach miejsca na drewniane chaty. On już o to zadba.

Chata była pomysłem Doumasa. Miała łączyć przeszłość z teraźniejszością, ale była to słaba więź w porównaniu z potencjalną siłą Powrotu. Doumas jednak pełen był sprzeczności. Do Zakonu Pytii miał takim samym stosunek jak do starych, rozsypujących się budowli. Choć nigdy nie został wprowadzony do Zakonu, to jednak poznał wiele jego sekretów. W końcu musiał stać się zazdrosny o władzę, jaka przypadłaby kapłanom wyroczni. W głupi sposób próbował zmienić bieg historii i wymazać nieunikniony powrót Pytii.

– Nie, to jeszcze nie to - pomyślał Panos. Doumas chciał władzy dla siebie. Właśnie dlatego zaatakował jego, a nie Pytię. Ale oczywiście nie udało mu się i skończył tragicznie. Dzięki Grigorisowi Panos uniknął tego samego losu.

Odkąd wstał, dwie godziny temu, nic jeszcze nie jadł. Będzie pościł aż do wzniesienia się gazów. Dzisiejszego ranka zapyta Pytię o to, jak król może zareagować na wczorajsze wydarzenia i ile czasu minie, zanim jej

moc stanie się sławna na świecie. Im więcej będzie znał szczegółów, tym lepiej będzie mógł wszystko zaplanować.

Rano przez godzinę siedział na brudnej podłodze w chacie i myślał o tym, jak długie będą przerwy pomiędzy emisjami za tydzień, miesiąc, rok i później. Początkowo martwił się szybkością, z jaką przerwy wydłużały się. Wkrótce będzie już tylko jedna emisja dziennie, potem jedna na dwa dni. Ale zdał sobie sprawę z tego, że gdy okresy ciszy stawały się dłuższe, to szybkość zmian malała. Gdy odstępy między emisjami będą trwały tydzień, to trzeba będzie poczekać dziesięć tygodni, żeby przerwa zwiększyła się o godzinę, i dwieście czterdzieści tygodni lub pięć lat zanim okres ciszy osiągnie długość ośmiu dni. Po tym zmiany będą jeszcze wolniejsze. Miną całe dekady, nim przerwa będzie trwała dwa tygodnie.

Usłyszał odgłos kroków dochodzący od strony chaty. Przyszła tu. Był tego pewien. Ale wtedy z mgły wynurzył się Grigoris.

– Co tu robisz? Przecież powiedziałem ci, żebyś dziś się nie pokazywał.

– Nadchodzą, ojciec. Widziałem, jak Pytia wyszła z hotelu.

– Wiedziałem, że tak będzie - rzucił Panos i wysilił się na uśmiech. - Dziękuję za wiadomość - nie był w stanie złościć się na Grigoris, szczególnie po tym, jak uratował go od runięcia w przepaść. Grigoris zawsze próbował robić to, co uważał za słuszne, tak jak go Panos nauczył. Ale uczył go też wykonywania poleceń, a tej lekcji Grigoris nie był w stanie sobie przyswoić.

– Myślałem, że będziesz chciał wiedzieć, że ona nie idzie sama.

Indy spał w miejscu, w którym, miał nadzieję, Mandraki nie będzie go szukał. To, że jeszcze żył utwierdzało go w przekonaniu, że jaskinia nad ruinami była dobrym wyborem.

Teraz powoli posuwał się skalną półką. We mgle nie widział nawet własnych stóp. Była gęściejsza niż wczoraj i przez to droga, po której szedł,

stała się wyjątkowo zdrażliwa. Jeden niewłaściwy krok i spadnie w dół. Ta droga stała się symbolem tego, czym zaczęło być jego życie. Jeden zły ruch i ginie.

Gdy ostrożnie szedł między skałami, przypominał sobie pierwsze dni w Delfach. Czekał, patrzył i mierzył czas emisji gazów. Był wówczas niesamowicie znudzony i zniecierpliwiony. Teraz nie mógł tego o sobie powiedzieć. Walka o przetrwanie wyostriżyła jego zmysły, sprawiła, że wszystko wokół wzbudzało jego czujność i zainteresowanie.

Wreszcie dotarł do końca półki i wkroczył na ścieżkę. Był kwadrans po ósmej, a on jeszcze znajdował się w górach, kawałek drogi od ruin. Ale gdy spojrział w dół na Delfy, widział tylko gęstą, białą mgłę, która wyglądała jak świeża pokrywa śniegu.

Schodził, nie starając się nawet chować. I tak był pod osłoną mgły, podobnie zresztą jak wszyscy inni. Jeśli oczywiście ktoś jeszcze się tam znajdował. Gdy dotarł do Świętej Drogi, rozejrzał się we mgle. Nie widział dalej niż na kilka metrów. Ruszył naprzód, rozglądając się uważnie na wszystkie strony.

Wtem usłyszał głosy. Zaczął nasłuchiwać. Tak, głosy podobne do odległego szmeru wody. Nie mógł stwierdzić, z której strony dochodzą, ani z jakiej odległości. Znów ruszył naprzód. Co kilka kroków zatrzymywał się i słuchał. Czy wyobraził sobie te głosy? Może to były bełkoty wszystkich Pytii wędrujących we mgle w poszukiwaniu świętych Delf albo witających nową Pytię. A może w ogóle niczego nie słyszał.

Nagle wyrosły przed nim kolumny świątyni. Wyjął z kieszeni zegarek. Była ósma trzydzieści trzy. Opary pojawią się za pięć minut. Rozejrzał się wokoło. Zastanawiał się, co robić.

– Jones, gdzie jesteś? - to był głos Dorian. Rozbrzmiewał echem w świątyni.

A więc ona tu jest. Spojrzał w stronę szczeliny.

– Tutaj - krzyknął.

– Podejź tu. Szybko - poleciała Dorian. - Mam twoich przyjaciół.
Zawahał się.

– Prędko. Dotrzyłam swojej części umowy.

Wszedł do świątyni i zbliżył się do wału.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Powiedz mu - rzekła Dorian.

– Jesteśmy tu z nią. Nikogo więcej nie ma - odezwał się Shannon.

Indy'emu zdawało się jednak, że wyczuł dziwny ton w jego głosie.

– Chodź tu, Jones.

Zatrzymał się przed wałem.

– Dlaczego tam?

– Z powodu oparów, oczywiście. Chcę, żebyś zobaczył, co się stanie.

Był w połowie drogi na szczyt wału, gdy dostrzegł we mgle trzy postacie.

– Po co?

– Zobaczysz.

Szedł dalej i zauważał już więcej szczegółów. Shannon i Conrad stali obok Dorian. Żaden z nich nie był związany. Dlaczego więc nie próbowali uciec? Wtedy dojrzał przyczynę. Dorian uniosła pistolet i wycelowała w niego.

– Przepraszam, Indy - powiedział Shannon. - Przyłożyła mi to do głowy.

Usłyszał za sobą jakieś odgłosy i zorientował się, że stało się to, czego się najbardziej obawiał. Była to pułapka.

Panosowi nie podobało się to, że byli z nią dwaj cudzoziemcy, do których Jones zamierzał dołączyć. Musiała wiedzieć, że oni są niebezpieczni. Pewnie dlatego miała broń. Ale dlaczego przyprowadziła ich tutaj, dlaczego teraz?

Wspiął się na wał, Grigoris podążał za nim. Wiedział, że nic nie może zrobić. Są tam, to trudno. Ale za kilka sekund Belecamus wpadnie w trans i wtedy Panos będzie rozkazywał.

W momencie, w którym zaakceptował obecność cudzoziemców, ich obecność nabrała nagle nowego znaczenia. Wiedział już, po co tu są i co im Pytia powie. Jest z nią zgrany. Zna jej słowa, zanim jeszcze zostaną wypowiedziane. Taki właśnie powinien być kapłan wyroczni.

Jones wyglądał na zaskoczonego, gdy ich zobaczył, ale w jego głosie dało się odczuć ulgę.

– To wy! Dorian, co oni tu robią?

– A jak myślisz? Zbliża się emisja - odparła.

Nadszedł czas i Pytia uklękła na jedno kolano. Było niemożliwością odróżnić opary od mgły, ale Pytia oddychała głęboko. Głowę miała pochyloną, a włosy zasłoniły jej twarz. Potem mgła się zagęściła i Pytia przestała być widoczna.

Panos wkroczył w opary, Grigoris tuż za nim. Pytia wstała i kiwała się na boki. Zauważył, że już nie ma pistoletu w rękach. Głowa jej opadła, po chwili uniosła ją. Oczy, które miała wytrzeszczone w obecności króla, były teraz ledwie szparkami. Było w niej coś innego. Zupełnie jakby coś ukrywała. Patrzyła na niego, potem obróciła głowę i spojrzała na drugiego mężczyznę. W końcu wbiła wzrok w Jonesa. Uśmiechnęła się dziwnie, zdradliwie. Potem podeszła bliżej i objęła go.

Jones nie poruszył się. Stał nieruchomo. Zamruczała pod nosem coś, czego Panos nie zdołał dosłyszeć. To nie miało znaczenia. I tak wiedział, co ona ma do powiedzenia.

– Pytia mówi, że dziś musicie wyjechać i opowiadać wszystkim o jej powrocie. Wkrótce zdarzy się tu wiele cudów i świat musi o tym wiedzieć.

Pytia wybuchła śmiechem, a raczej denerwującym rechotem i odsunęła się od Jonesa.

– Jakie? - zapytał Jones. - Jakie cuda?

– Przepowiednie przyszłości. Ci, którzy wiedzą, co nastąpi, są silniejsi od tych, którzy nie wiedzą.

– Nikt już w te rzeczy nie wierzy - powiedział wysoki, rudy mężczyzna.

– Jesteś głupcem, jeśli nie wierzysz - odezwał się Grigoris i zrobił krok naprzód, jakby rzucając mu wyzwanie.

– Jakie wspaniałe rzeczy Pytia przewiduje? - zapytał Jones i wpatrzył się w nią. - Powiedz mi coś.

– To jest dar, jaki ona oferuje światu i który musi być używany rozważnie - rzekł Panos. - Nie dla twojej rozrywki.

Pytia znów zachichotała i wyszczerzyła zęby.

Jones patrzył z powątpiewaniem i Panos już miał upomnieć go, gdy usłyszał głos dochodzący z zewnątrz.

– Dorian, gdzie jesteś?

To był Mandraki.

– Nie zwracajcie na niego uwagi - rzekł Panos.

– To podstęp - odezwał się jeden z cudzoziemców.

– Zajmę się nim - powiedział Grigoris.

– Poczekaj! - krzyknął Panos, ale Grigoris zignorował go.

Chwilę później Panos usłyszał strzał poprzedzony wrzaskiem syna:

– Nie! Nie!

Panos wybiegł z obłoków i podbiegł do Grigorisa, który leżał twarzą w dół. Ukląkł przy nim. Głowa jego syna była straszliwie zniekształcona. Odwrócił go. Twarz jego syna zamieniła się w krwawą masę z kawałkami kości i mózgu.

Panos z przerażeniem odwrócił głowę.

– Ty. Ty!

Spojrzał w lodowate oczy pułkownika Mandrakiego, który stał u podnóża wału wśród zanikającej mgły. W ręku trzymał karabin, a z ramienia zwisał mu pas z amunicją.

– Zabiłeś mojego syna.

Dał się słyszeć trzask broni.

– *Malaka* - zaklął Mandraki i wycelował karabin w głowę Panosa.

Nacisnął spust.

Na odgłos pierwszego wystrzału Indy rzucił się na ziemię. Conrad i Shannon zrobili to samo. Jedną Dorian stała wyprostowana.

Dlaczego nie uciekli stąd, gdy mieli okazję? Dorian zgubiła gdzieś pistolet i teraz chichotała jak stara wiedźma. Jaki wpływ, do diabła, miały na nią te gazy? Stali i słuchali gadania Panosa, a teraz pojawił się Mandraki.

Kolejny wystrzał. Chryste. Co tam się dzieje? Indy właściwie nie chciał wiedzieć. Chciał się znaleźć jak najdalej od tego miejsca. Teraz jednak byli uwięzieni pomiędzy Mandrakim a szczeliną. Z obu stron czekała ich pewna śmierć.

– Dorian, wyjdź stamtąd - ryknął Mandraki.

– To koniec, Indy - szepnął Shannon. - Jak tylko gazy opadną, już będzie po nas.

– Dorian - zawołał znów Mandraki.

Jedyne co mogli zrobić, to obejść szczelinę i schować się w rowie. Ale to też nie było dobre. Byliby uwięzieni, co równało się śmierci.

Dorian zrobiła krok naprzód. Opary zaczęły się przeredzać i Indy dostrzegł niewyraźne kształty Mandrakiego.

– Dorian, gdzie jesteś? - wrzeszczał Mandraki. - Masz wszystkich trzech?

Nie odezwała się. Jest Pytią czy kimś podobnym? Wtedy Indy zobaczył, że wyciągnęła z kieszeni pistolet. Przystawiła sobie lufę do głowy. Boże, ona zamierza się zabić.

– Alex! - krzyknęła. - Uważaj!

Po czym uniosła pistolet, wycelowała i strzeliła.

Mandraki zrobił chwiejny krok do tyłu. Jego karabin upadł z hukiem na ziemię. Pułkownik złapał się za pierś i obrócił na piętach. Potem przewrócił się, dołączając do swoich ofiar.

Przyjaciele z Paryża

– Musiałam to zrobić, aby się bronić - powiedziała cicho. - On by nas wszystkich pozabijał.

Indy spojrzał na wał usłany ciałami.

– Dlaczego miałby zabić ciebie?

– Z wielu powodów. Głównie przez zazdrość. Panos powiedział mu o nas. Poza tym złościł się, że król przeżył i mnie o to winił.

Przyglądał się jej uważnie. Na twarzy Dorian nie było żadnych zmian wywołanych transem. Była spokojna i wyglądała, jakby zabicie kochanka ulżyło jej. Pistolet trzymała swobodnie w ręku. Indy miał nadzieję, że upuści go, a wtedy on rzuci się po niego.

Spojrzał na Shannona i Conrada, którzy stali obok. Byli tak zdenerwowani, jak w dniu, kiedy ich zobaczył.

Dorian wyczuła ich niepokój.

– Nie patrzcie na mnie, jak bym była jakimś szaleńcem. Dzięki mnie jesteście żywi.

– Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytał Conrad, zbliżając się do niej o krok.

Uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Wiem dokładnie, co zrobię, a wy trzej pomożecie mi.

Conrad zrobił kolejny krok w jej stronę i wyciągnął rękę.

– Dobrze, Dorian. Wezmę pistolet. Nie będzie ci już potrzebny.

Wyprostowała się i wycelowała broń w Conrada.

– Nie bądź taki opiekuńczy, profesorze. Ja wiem, co robię. Usiądźcie, wszyscy. Wyjaśnię wam niektóre sprawy Delf. Lubisz historię, prawda

profesorze?

Uśmiechnęła się do niego i przez chwilę Indy rozpoznał wyraz twarzy, jaki widział u niej, gdy stawała się Pytią. Zaczął się nad tym zastanawiać i usiadł wraz z innymi.

– W starożytności Delfy były jak magnes, który przyciągał ludzi z całego basenu Morza Śródziemnego - zaczęła.

To jest szaleństwo. Trzy ciała leżą za nią, a ona wygłasza wykład, jakby znajdowała się w sali Sorbony. Indy miał ochotę powiedzieć jej, żeby się zamknęła, ale był pewien, że wtedy zabiłaby go z taką łatwością jak Mandrakiego.

– Na moc Pytii miały wpływ nie tylko gazy hipnotyczne, ale i omfalos, tajemniczy, czarny kamień w kształcie stożka - Dorian przyjrzała się słuchaczom. - Znajduje się tam w dole w zasięgu naszych rąk. Znalazł go, Indy a ja chcę go mieć.

– W jaki sposób zamierzasz go wydostać? - zapytał Shannon, grając rolę zainteresowanego studenta.

– Ty i profesor opuścicie swojego przyjaciela na linie. Będzie miał okazję udoskonalić archeologiczne zdolności i wydobyć jedno z najcenniejszych znalezisk wszechczasów.

Odwróciła się w stronę Indy'ego.

– Zgadzasz się na to?

Jakby miał jakiś wybór.

– Nie widzę tu żadnej liny.

– Przyniesiesz ją. Idź do magazynu. Linę i moje narzędzia znajdziesz na stole. I pośpiesz się - nagle jej głos stał się surowy. - Jeśli jednak nie wrócisz w ciągu piętnastu minut, twoi przyjaciele dołączą do reszty. Rozumiesz?

– Nie musisz mi grozić, Dorian.

Uśmiechnęła się i rysy jej twarzy stały się miększe.

– Lubię cię, Indy. Przykro mi, że muszę robić to w ten sposób. Ale nie mam wyboru. Bez pistoletu nie mogłabym liczyć na twoją pomoc.

Indy szybko wyszedł ze świątyni, mijając ciała Panosa, Grigorisa i Mandrakiego. Pędem przeszedł przez ruiny w stronę leśnej ścieżki, która prowadziła do magazynu. Powinien powiedzieć komuś, co się stało, ale nie będzie miał czasu, aby iść do wioski albo gdzieś indziej. Musi się śpieszyć, żeby zabrać sprzęt i wrócić na czas.

Na stole znalazł tę samą linę, na której wyciągnięto go z rozpadliny. Obok niej leżał plecak Dorian z narzędziami. Ze sposobu, w jaki rzeczy były ułożone, zorientował się, że musiała sobie wszystko zaplanować. Musiała też zaplanować zabójstwo Mandrakiego. Ta kobieta była naprawdę Lodową Królową - zimnokrwistym zabójcą.

Rozejrzał się po magazynie. Wszystko wokół wyglądało bez zmian. Podeszedł do szafki Dorian i zobaczył, że rozkład oparów wciąż tam wisi. Następna emisja miała nastąpić o piętnastej czterdzieści dziewięć. Powinno wystarczyć czasu na wydobycie omfalosa, czy cokolwiek to było. Ale Indy'ego te opary tylko denerwowały. Wiele razy wdychał gazy i nigdy nie odczuwał niczego szczególnego. Zupełnie jak spacer we mgle, nic więcej.

Król tak bardzo chciał uwierzyć w ich własności lecznicze, że ból w jego biodrze prawdopodobnie chwilowo zniknął. Indy zdziwiłby się, gdyby ból nie powrócił. A więc dlaczego reakcja Dorian była tak dramatycznie inna? Co sprawiło, że ona jest Pytią, a ktoś inny nie?

Już miał zamknąć szafkę, gdy dostrzegł coś znajomego na górnej półce. Sięgnął tam i wyciągnął swój bicz. Może potraktowała to jako pamiątkę po kolejnym studencie-kochanku. Ale ten student ma dużą przewagę. Wie o innych studentach i o tym, jak skończyli.

Przypiął sobie bicz do paska i wychodząc z magazynu, zarzucił na jedno ramię plecak, a na drugie linę. Zdążył wyjść za drzwi, gdy ujrzał dwie osoby zbliżające się na koniach. Ma szczęście. Powie im, żeby sprowadzili

pomoc. Gdy się jednak zbliżyli, jego nadzieja zgasła, jak światło słoneczne o zachodzie. To byli żołnierze.

Spuścił głowę, nasunął kapelusz głęboko na czoło i szybko odszedł. Gdy dotarł do ścieżki prowadzącej do ruin, jeden z mężczyzn zawołał go.

– Ty tam. Widziałeś pułkownika Mandrakiego?

Pokręcił głową i szedł dalej.

– Sprawdźmy w ruinach - powiedział żołnierz i Indy rozpoznał jego głos. To był ten sam drań, który skoczył na niego koło jaskini.

– Hej, poczekaj chwilę. Czy to nie ten facet, którego pilnowaliśmy? - zapytał drugi.

Indy nie zatrzymywał się, mając nadzieję, że żołnierze znów zaczną się sprzeczać. Gdy ścieżka zakręciła i zniknęła im z widoku, rzucił się do ucieczki. Ale przebiegł tylko kilkanaście metrów i usłyszał za sobą tętent koni.

Skręcił w bok, upuścił plecak i linę i odczepił bicz. Gdy zbliżył się pierwszy jeździec, Indy zrobił łagodny zamach ręką. Bicz rozwinął się w eliptyczny łuk i oplótł się żołnierzowi wokół szyi. Szybkim pociągnięciem Indy zwałił go na ziemię. Drugi koń stanął dęba, aby uniknąć stratowania leżącego na ziemi żołnierza i wyrzucił z siodła swojego jeźdźca.

Indy podniósł karabin, który upadł mu pod nogi i wycelował go w żołnierzy.

– Wstańcie. Ustawcie się przy tym drzewie - wykonali jego polecenie, ale gdy schylał się po linę, jeden z nich skoczył na niego. Indy obrócił karabin i walnął napastnika kolbą w głowę. Żołnierz zrobił dwa niepewne kroki, zachwiał się, opadł na kolana i przewrócił.

W tym czasie drugi żołnierz wsunął rękę do buta i wyciągnął nóż. Rzucił go wprawnym ruchem ręki. Indy uchylił się i nóż utkwiał w drzewie zaledwie kilka centymetrów od jego głowy. Zerknął na ostrze, a potem na żołnierza. Ten spojrzął się na niego, nie wiedząc, co robić. Potem,

doszedłszy do wniosku, że odwrot jest najlepszym rozwiązaniem, obrócił się i uciekł.

Ale Indy był już na to przygotowany. Mężczyzna nie zdążył zrobić kilku kroków, gdy bicz okręcił się wokół jego kostek. Indy przyciągnął go jak rybę, ale „zdobycz” obróciła się przeciwko niemu. Żołnierz podskoczył i uderzył go w ramię. Indy porządnie przyłożył mu w szczękę. Ten zatoczył się, uderzył głową w drzewo i padł nieprzytomny.

Indy znalazł linę przy siodle jednego z koni. Zawiązał ją wokół ramion żołnierza, przerzucił przez grubą gałąź i podciągnął go. Drugi koniec przywiązał do jego towarzysza. Gdy skończył, obaj mężczyźni opierali się o siebie plecami i byli podtrzymywani przez gałąź i linę.

– Zostałbym z wami i pogadał, ale goni mnie czas.

Przywiązał sobie bicz do paska, chwycił plecak, linę i karabin i wsiadł na jednego z koni. Był jednak zbyt obciążony i spadł z siodła. Spojrzał na dochodzących do siebie żołnierzy i otrzepał się.

– Nic nie mówcie.

Tym razem przywiązał linę i plecak do siodła. Ponownie dosiadł konia i odjechał. Nie zostało mu wiele czasu, a wolał nie sprawdzać, czy Dorian dotrzymuje obietnic. Teraz jednak wszystko potoczy się inaczej. Jest uzbrojony i wystarczy ją tylko zaskoczyć.

Gdy dotarł do ruin, zatrzymał konia. Mgła już opadła, ale kolumny świątyni zasłaniały widok na wał. Zsiadł z konia, zabrał bagaże i szybko pomaszerował w stronę świątyni, chowając karabin za nogą. Gdy w polu widzenia pojawił się wał, zatrzymał się. Nikogo nie było tam ani w pobliżu. Świątynia wyglądała na opuszczoną. Nie było nawet ciał.

– Co, do cholery.

Nie wiedział, co robić. Sprawdzić chatę? Ruszył w jej kierunku i zatrzymał się przy wejściu. Pod ścianą stały dwa konie. Ze środka dochodziły głosy.

– Jak myślisz, Brent, czy ci grabarze robią to tu, na podłodze?

- Mmm. Prawdopodobnie z kośćmi.
- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął Indy. Odsunął zasłonę w wejściu. - Co wy tu robicie?
- Indy! Cześć stary - Madelaine miała na sobie obcisłe spodnie, wysokie buty i filcowy kapelusz z piórem.
- Jonesy, spójrz na siebie - Brent wyszedł z chaty za swoją partnerką i przyglądał sobie węża. - Przygotowany do prac archeologicznych: lina, plecak, nawet karabin i cały brudny. Prawdziwy autentyk.
- Możesz mówić ciszej? - Indy spojrzał w stronę węża, ale nic się nie zmieniło. Nikogo nie było widać.
- Wyjeżdżamy dzisiaj do Aten, więc postanowiliśmy przyjechać i pożegnać się - rzekła Madelaine swoim piskliwym głosem. - Król wyjechał, wiesz, zrobiło się nudno.
- Nudno to mało powiedziane - dodał Brent, poprawiając chustkę, którą nosił jako ozdobę swego stroju safari.
- Posłuchajcie, widzieliście tu kogoś?
- Ani żywego ducha - odpowiedziała Madelaine. Myślałam, że i ciebie nie zobaczymy. A więc co ciekawego porabiałeś? Nie widziałam cię od czasu przyjęcia.
- Nic interesującego - odparł sucho.
- Gdzie jest Shannon? Nie spotkałem go od przyjazdu.
- Kręci się po okolicy.
- Musi coś zrobić. Potrzebuje pomocy, a oni prawdopodobnie sprowadziliby żołnierzy. Z pewnością nie mógłby im zaufać. Wsunął rękę do kieszeni i trafił na główkę czosnku. Nagle wpadł na pomysł.
- Posłuchajcie. Wracacie do hotelu przed wyjazdem?
- Nie będziemy do Aten jechali na koniach - powiedział Brent. - Tego możesz być pewien.
- Moglibyście oddać mi przysługę?

– Chyba tak - odparła Madelaine. - Jeśli to nie potrwa zbyt długo i Brent nie będzie miał nic przeciwko.

– Jedźcie do hotelu i powiedzcie Nikosowi, temu chłopakowi z recepcji, że znów schodzę do szczeliny i potrzebuję moly.

– Potrzebujesz co? - zapytała.

– On będzie wiedział, o co chodzi.

– Oczywiście. Moly. To przyrząd archeologiczny - rzekł Brent z miną znawcy. - Jakaś łopata, czy coś takiego. Do dłubania w ziemi. Mam rację, Jonesy?

– Tak. Pośpieszcie się proszę. Potrzebuję tego natychmiast.

– Chcesz, żebyśmy ci to przywieźli? - zapytała Madelaine.

– Nie. Nikos sobie poradzi. Muszę już iść. Miłej podróży.

– Do zobaczenia w Paryżu, Indy - pocałowała go w policzek, potem wzięła Brenta pod ramię i odeszli w stronę koni.

Indy podniósł karabin i zerknął w stronę wału. Dorian musiała zobaczyć Madelaine i Brenta i pewnie się schowała. Odszedł od chaty, minął Świętą Drogę i zatrzymał się przy jednej z kolumn.

Oparł o nią karabin i odsunął się.

– Dorian, gdzie jesteś?

– Tuż za tobą.

Indy podskoczył na dźwięk jej głosu. Gdy się odwrócił, ona stała przy kolumnie i w jednej ręce trzymała wycelowany w niego pistolet, a drugą sięgała po karabin.

– Niespodzianka.

Musiała obserwować go zza kolumny. Ale pewnie była za daleko, żeby słyszeć ich rozmowę.

– Co powiedziałaś swoim przyjaciołom?

– Że jestem zajęty i życzyłem im miłej podróży do Aten.

Spojrzała w stronę drogi.

– Dlaczego pojechali w kierunku wioski?

– Pewnie żeby zabrać bagaże i przesiąść się do powozu. Właśnie przyjechali się pożegnać.

Skinęła głową i przyjrzała mu się uważnie.

– Jesteś po mojej stronie, prawda?

Indy spojrział na karabin, a potem obdarzył Dorian najbardziej szczerym spojrzeniem, na jakie mógł się zdobyć.

– Oczywiście, że jestem. Byłbym martwy, gdybyś nas nie uratowała.

– Jeśli twoi uroczy przyjaciele sprowadzą żołnierzy, to wszyscy będziemy mieli kłopoty, wiesz o tym.

– Nie sprowadzą. Nie musisz też celować we mnie tym pistoletem.

Dotknęła go lekko karabinem. - Nie jestem głupia, Indy. Skąd wzięłeś ten karabin?

Opowiedział jej o spotkaniu z żołnierzami.

– Gdybym ich nie powstrzymał, byłiby teraz tutaj i szukaliby Mandrakiego.

– Cóż, tu by go nie znaleźli.

Nie wiedział, co miała na myśli.

– Gdzie jest Shannon i Conrad? - zapytał, gdy szli w stronę wału.

– Jack i Ted? - spojrziała w kierunku szczeliny. Poszukajmy ich.

A więc teraz byli już Jack i Ted. Lepiej niech to nie będzie jakimś głupim żartem. Jeśli będą martwi, to on... Nie wiedział, co by zrobił, ale nie byłoby to miłe.

– Gdzie są ciała?

– Nie ma - powiedziała wesoło.

Nie ma. Zupełnie jak z Richardem Farnsworthem i kto wie ilu jeszcze byłymi kochankami. Gdy wchodzili na wał, czekał na wyjaśnienia.

– Widziałeś gdzieś w okolicy Alexa? - zapytała, gdy dotarli na szczyt wału.

– Co?

– Alex. Widziałeś go?

Ona oszalała, w porządku.

– Dorian. Nie pamiętasz, zabiłaś go.

– Nie, nie zabiłam - uśmiechnęła się i odwróciła w stronę szczeliny.

– Dobra, chłopaki. Poszli już sobie i Indy wrócił.

Och, Jezu. Poczł skurcz żołądka. Musiała ich zastrzelić i wrzucić ciała do dziury. Wszystkiemu zaprzeczała, nawet temu, że zastrzeliła Mandrakiego. To wina oparów. W jakiś sposób zaatakowały jej umysł. Nie mógł się powstrzymać od powiedzenia jej dokładnie tego, co myślał.

– Co ci się stało w tych oparach, Dorian? Nie rozumiem tego.

Spojrzała mu w oczy i wybuchła śmiechem.

– Wtedy kiedy byłam Pytia? Ty nic nie rozumiesz, Indy, prawda? Nie wiesz, co czułam w tych oparach?

– Nie, nie wiem.

Zbliżyła się do niego.

Ostrożnie. Uważaj na nią - pomyślał Indy.

– Czułam to samo, co ty - powiedziała.

Indy zmarszczył brwi, pokręcił głową.

– Co masz na myśli? Nic z tego nie rozumiem.

– Nie było żadnego transu - odparła. - Udawałam.

– Jak mogłaś? To znaczy, przecież bełkotałaś i Panos to tłumaczył.

Pokręciła głową.

– Panos tak bardzo chciał w to wierzyć, że myślał, iż naprawdę tłumaczy. Ale on tylko powtarzał to, co wcześniej mu podsunęłam na myśl. O tym, że król jest w niebezpieczeństwie wspomniałam mu już dzień wcześniej. Wiedział, że właśnie to miała mu Pytia powiedzieć.

Boże, ona jest bardziej przebiegła, niż przypuszczał.

– Gdzie oni są, Dorian? - zapytał szybko. Chciał złapać ją za ramiona i potrząsnąć. - Gdzie jest Jack? Gdzie jest Ted?

Dała Indy'emu znak ręką, aby przeszedł na drugą stronę szczeliny.

– Tam.

Ruszył we wskazane miejsce. Unikał odwracania się do niej tyłem. Wał po drugiej stronie był węższy i bardziej stromy. Za nim znajdował się głęboki rów. Indy zajął do niego i przez chwilę nic nie widział. Dopiero później dostrzegł dwie osoby, jakieś sześć metrów poniżej, przyciskające plecy do piaszczystej ściany.

– Nic się wam, chłopaki, nie stało?

– Wszystko w porządku - odparł Shannon.

– Wyciągnij ich liną - poleciała Dorian. - I pośpiesz się. Mamy robotę do wykonania.

Chciał powiedzieć, że użyje bicia, ale ugryzł się w język. Jak na razie nie zwracała na niego żadnej uwagi i lepiej, żeby tak zostało.

Najpierw wyciągał Shannona, podczas gdy Conrad pchał go od dołu.

– Martwiłem się, Jack - powiedział, chwytając go za rękę. - Dlaczego się nie odezwałeś?

Rzucił liną na dół i Conrad szybko wydostał się z rowu.

– Wiedziała, że tu jesteśmy - odpowiedział Shannon. - Kazała nam wrzucić ciała do dziury, a potem wskoczyć tutaj.

– Tylko dwa ciała - dodał Conrad, wycierając rękę. Mandraki żyje jeszcze. Pozwoliła mu odejść.

– Co?

– Mówiłam ci, że go nie zabiłam - krzyknęła Dorian po drugiej stronie szczeliny. - Gdy zobaczyłam, jak z trudem wstaje i kuśtyka, nie mogłam tego zrobić. Wypuściłam go.

– I jeszcze coś - powiedział Shannon. - W miejscu, gdzie leżał, nie było ani śladu krwi. Domyśl się dlaczego.

Indy nie potrafił. Miał za to dziwne przeczucie, że jeszcze zobaczą pułkownika Mandrakiego.

Omfalos

Indy zanurzył się w otchłań, trzymając pochodnię w jednej ręce, a linę, która była zawiązana wokół jego bioder, w drugiej. Pomimo tego, co się stało zeszłym razem, gdy był opuszczany do szczeliny, czuł się całkiem bezpiecznie. Teraz wiedział, że jest w dobrych rękach. Shannon i Conrad zrobią, co będą mogli, aby utrzymać go przy życiu.

Opuszczali go powoli i statecznie. Nie minęło dużo czasu, gdy dostrzegł w ścianie miejsce, z którego wyleciała tablica. Już niedługo. Wyciągnął rękę z pochodnią, szukając występu skalnego. Jeszcze trochę. Już niedaleko.

Przebijał wzrokiem ciemności. Światło pochodni odbijało się na ścianach. Wreszcie dostrzegł skalistą półkę wystającą ze ściany. Ale było tam jeszcze coś. Coś, czego się nie spodziewał.

– O Boże.

Stanął na występie. Lina rozluźniła się. Dorian krzyknęła do niego, jej głos odbił się echem w szczelinie. Pociągnął dwa razy linę, dając im znak, że już dotarł. Przez cały czas przed oczami miał upiorny widok ciała Panosa. Leżało w dziwnej pozycji z jedną nogą zwisającą nad przepaścią. Twarz miał zwróconą do dołu, a prawa ręka spoczywała na czarnym, stożkowatym kamieniu. Nawet po śmierci Panos strzegł omfalosa.

Indy podszedł bliżej i przykucnął. Delikatnie zdjął dłoń umarłego z kamienia, ale gdy to zrobił, ciało jeszcze bardziej zsunęło się z krawędzi. Wisiało tak przez chwilę, a potem Indy puścił je. Ciało zniknęło we wnętrznościach Delf. Odpowiednie miejsce spoczynku dla przywódcy Zakonu Pytii. I będzie razem z synem.

Jeszcze przez moment wpatrywał się w otaczającą go ciemność. Nie miał powodu, żeby ich żałować. Sprawili mu więcej kłopotów niż ktokolwiek inny w całym jego życiu. A jednak ich śmierć poruszyła go. Przypomniała mu, że życie kończy się śmiercią, a on może być następny. A może nawet jest następny.

Pokręcił głową, odrzucając czarne myśli i skupił uwagę na omfalosie. Przejechał ręką po jego nierównej powierzchni i zastanawiał się, jak głęboko siedzi w ścianie. Zdjął plecak, wyjął z niego kielnię i zaczął wydłubywać skałę, która trzymała kamień w ścianie. Po kilku minutach zrobił niewielki postęp i zorientował się, że musi zastosować bardziej skoncentrowany atak. Zrezygnował z kielni na rzecz dłuta, które zaczął wbijać w ścianę. Przez następne pół godziny kuł skałę, wydłubując dziurę wokół kamienia.

Wreszcie chwycił go obiema rękami i sprawdził, jak mocno jest osadzony. Gdyby miał do czynienia z kruchym, ceramicznym przedmiotem jego postępowanie byłoby ryzykowne. Ale znalezisko wydawało się tak mocne, jak silnik samochodu ciężarowego.

Stożek poruszył się lekko, gdy Indy pchał go w górę i w dół. Pociągnął mocniej, ale ręce ześlizgnęły mu się z kamienia i runął do tyłu. Przekręcił się na brzuch, a jego nogi zawisły w powietrzu. Spojrzał w przepaść i odetchnął.

– Ostrożnie, Indy. Ostrożnie - powiedział do siebie. Odsunął się od krawędzi i powrócił do wydłubywania ściany.

– Indy. Wszystko w porządku? - zawołała Dorian.

Pewnie. Wszystko szło świetnie. Nie mogło być lepiej. Pociągnął dwa razy linę, dając jej znak, że jeszcze nie wydobył kamienia.

Kuł dalej, ciągnął i pchał kamień, znowu kuł. Był pewien, że tym razem się uda. Zaparł się nogami o ścianę, złapał stożek obiema rękami i pociągnął najsilniej, jak potrafił. Dłonie ześlizgnęły się i upadł na plecy.

Oparł się na łokciach i popatrzył na kamień z niechęcią. W złości kopnął go obcasem. Tylko to było potrzebne; kamień wypadł. Zamrugnął oczami od kurzu, który się uniół i wyszczerzył zęby, podnosząc omfalos z gruzów. Położył go na występie i oczyścił. Był długi na półtorej stopy i miał jakieś sześć czy siedem cali średnicy w podstawie. Zwężał się ku górze i kończył zaokrąglonym czubkiem. Był ciężki jak żelazo.

Odpowiednia procedura, jak uczyła go Dorian, wymagała, aby wyjął z plecaka miarkę i notes i zapisał dokładne wymiary oraz opisał kształt i proces wydobywania. Ale zważając na okoliczności, w jakich pracował, wydawało się to trochę śmieszne. Zaśmiał się głośno z paradoksalnej sytuacji. Pani profesor jest uzbrojona i istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdy pojawi się na górze ze znaleziskiem, to ona po prostu zabije go. A to z pewnością nie jest odpowiednia procedura.

Pociągnął linę.

– Mam go - krzyknął. - Wyciągajcie mnie.

Rzucił pochodnię na występ i przycisnął stożek do piersi, chwytając jednocześnie linę. Poczuł, że jest unoszony i spróbował się odprężyć. Nie chciał myśleć o tym, co się stanie, gdy wyjdzie na powierzchnię. Nie mógł nic w tej sprawie zrobić. Przynajmniej nie teraz. Może później też nie będzie mógł.

Omfalos był dziwnie ciepły. Uczucie to rozeszło mu się po piersiach, aż ogarnęło całe ciało. Poczuł senność. Przymknął oczy i odpłynął.

Było jasno jak w dzień. Spoglądał na orła, swojego orła, który stał na brzegu gniazda. Widział w gnieździe jajka. Srebrne jajka. Jednocześnie śnił i był przytomny. Czuł się wspaniale, lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Ale co się działo? Co on widział? Orzeł obrócił głowę, jakby chciał lepiej mu się przyjrzeć albo sprawdzić, czy zwrócił na siebie uwagę. Szybkim uderzeniem dzioba ptak rozkruszył skorupę jednego z jajek.

Ptak i gniazdo zniknęły i Indy ujrzał siebie wraz z królem w pokoju pełnym książek. Królewska biblioteka. Król miał na sobie niebieską

atłasową szatę i kapcie. Nagle wiedział, że król przeżyje zagrożenie ze strony Mandrakiego, ale wkrótce zostanie wygnany z kraju. Zupełnie, jakby to się już zdarzyło.

Zauważył, że król trzyma coś w rękach. To był omfalos. Oferował go Indy'emu. Potem król zniknął tak szybko, jak się pojawił, i Indy ujrzał omfalos w muzeum. Obok stał kustosz, którym był Marcus Brody, stary przyjaciel Indy'ego i czasami zastępczy ojciec. Był dumny i uśmiechał się. Potem scena zniknęła i zadowolenie Indy'ego zmieniło się w szok. Szklana gablota osłaniająca zabytek była stłuczona, a omfalos zniknął. Usłyszał głos Brody'ego: „Ukradziony. Został ukradziony”.

Ale gniew, jaki czuł, nagle minął, gdy ponownie minął orła i jego gniazdo. Obrócił głowę jak poprzednio i wbił dziób w kolejne jajko.

Indy rozmawiał z Dorian. Była podekscytowana, mówiła mu, że musi coś zrobić. Musi działać szybko. Ale co miał uczynić? Potem stanął przed nim Mandraki. Uniósł pistolet i wycelował w serce Indy'ego. Strzelił.

Znów orzeł. Kolejne jajko zostało rozbite i tym razem obrazy zmieniały się szybciej. Ujrzał wesołego mężczyznę z fajką i wąsami w gabinecie zawalonym książkami. Przemówił władcym głosem: „Nie mieszaj mitologii z archeologią, bo twoja praca zostanie odrzucona. To są dwie różne dziedziny. Jeśli chcesz się skupić na Grecji, zajmij się pismem linearnym B. Masz doskonałe podstawy do rozwiązywania zagadek językowych”.

Potem mężczyzna rozplątał się. Gdy znów przybrał kształty, był Mandrakim. Uniósł pistolet i strzelił.

Srebrne jajka. Pozostały dwa. Orzeł ze złością rozbił jedno z nich. Indy ujrzał siebie stojącego przed klasą. Nie słyszał słów, ale wiedział, że prowadzi wykład z archeologii. Nagle klasa zniknęła. Znajdował się w środku okręgu utworzonego z masywnych kamieni. Stonehenge. Obejmował kobietę. Nie widział jej twarzy, ale wiedział, że jest mu bliska, jak żadna inna kobieta.

Wtem kobieta zniknęła. Ponownie pojawił się Mandraki. Wycelował. Strzelił.

Ostatnie jajko. Orzeł obserwował go swymi czarnymi oczami. Potem delikatnie puknął w jajko. Na skorupie pojawiły się pęknięcia i w końcu rozpadła się. Indy znów zobaczył siebie, tym razem był starszy, u szczytu swojej kariery. Wyglądał bardziej na poszukiwacza przygód niż na naukowca. Wizja odpłynęła, a jej miejsce zajęła seria obrazów: dżungla, pustynie, ruiny. Zaginione miasta. Relikty władzy. Bardziej przerażające: gniazdo węży, czarny złamany krzyż. Ręka trzymająca sztylet, ale obok druga niosąca pomoc. Głos rozbrzmiewał ponad obrazami: „Przygody przerastające wyobrażenie, ale nie bez poważnego niebezpieczeństwa. Ostateczne połączenie z ojcem. To, czego on szuka, ty znajdziesz”.

Zmieniające się obrazy zniknęły, gdy ostre światło poraziło mu oczy. Usłyszał głosy. Znów ręce. Tym razem wyciągały go z dziury. Zmrużył oczy od jasnego światła. Klęczał, wciąż ściskając czarny kamień.

– A więc to on - powiedziała Dorian. - Omfalos.

Indy czuł się przytłoczony, sparaliżowany, nie mógł mówić. Zamrugał piekącymi oczami i zobaczył, że Dorian położyła karabin na ziemi. Trzymając wciąż pistolet, wzięła od niego omfalos. Był cięższy, niż się spodziewała, więc przycisnęła go do piersi.

Indy zaczynał się czuć lepiej. Sen, fantazja, czy cokolwiek to było, już minęło. Spróbował skupić się na tym, co jest realne. Shannon i Conrad pochylił się nad nim. Pomogli mu zdjąć plecak.

Nagle Dorian ze świstem nabrała do płuc powietrza. Na jej twarzy pojawiło się oszołomienie, potem szok. Pistolet zawisł jej swobodnie w dłoni, kilka centymetrów od głowy Indy’ego. Nie ruszała się. Twarz jej wyrażała przerażenie.

Szybkim, zwinnym ruchem Shannon wyrwał rewolwer z jej dłoni, a Conrad podniósł karabin. Dorian nie zareagowała. Jej oczy spoglądały z przerażeniem, a potem przewróciła się, wciąż ściskając czarny kamień.

– Co się stało? - zapytał Shannon.

– Nie wiem - odpowiedział Indy wciąż zmieszany doznaniem w szczelinie. - Chodźmy do magazynu.

– Włożę kamień do plecaka - rzekł Shannon. Próbował wyjąć go z uścisku Dorian, ale ta skrzywiła się i wrzasnęła.

– Niech go niesie - powiedział Conrad.

Shannon złapał ją za łokcie, a Indy chwycił za nogi. Ona jednak kopła, kręciła się i jęczała. Poruszali się wolno. Gdy wyszli ze świątyni i skierowali na dróżkę prowadzącą do magazynu, Indy nagle się zatrzymał.

– Poczekajcie chwilę. Myślę, że magazyn to zły pomysł. Ona jest za ciężka, a my nie mamy czasu. A poza tym wpadłem tam na żołnierzy - pośpiesznie opowiedział im o swoim spotkaniu. - Jak tylko ktoś ich odnajdzie, będziemy mieli towarzystwo.

– Masz rację - powiedział Conrad. - Musimy stąd uciekać. Może powinniśmy po prostu ją zostawić.

Indy pokręcił głową.

– Zabierzmy ją do chaty. Potem pomyślimy, co dalej robić.

Zdążyli zdecydować się, gdzie iść, gdy jeździec na galopującym koniu wpadł na teren ruin.

– Szybko - syknął Indy.

Zaciągnęli Dorian do chaty i położyli ją na ziemi. Indy wyjrzał przez wypaloną dziurę w tylnej ścianie.

– Weź to - powiedział Shannon, podając mu pistolet Dorian.

Indy dostrzegł nogi. Ktoś biegł w stronę chaty.

– Indy, gdzie jesteś?

– Och, Boże. To tylko Nikos - powiedział Indy i odetchnął z ulgą. Potem krzyknął do Nikosa.

– Dostałem twoją wiadomość. Co się stało? - rzekł chłopak, wchodząc do chaty. Dyszał ze zmęczenia.

– Dużo - odparł Indy.

Nikos podskoczył na widok Dorian, która wciąż wiała się i krzywiła.

– Pytia!

– Nie wiem, kim ona jest, Nikos - powiedział Indy. - Ale Panos i Grigoris nie żyją - opowiedział mu o wydarzeniach przy szczelinie.

– Co zamierzacie zrobić? Jeśli pułkownik Mandraki wciąż żyje, to wróci po nią i po was.

– Musimy się stąd wydostać i to szybko - powiedział Conrad.

– Masz rację - dodał Shannon. - Zaczynam naprawdę tęsknić za Paryżem.

– Nikos, jakie są szanse na zdobycie powozu? - zapytał Indy.

– Powozu? A może auto?

– A masz?

– Pułkownik Mandraki ma. Kluczyki zostawił w recepcji. Mogę je zdobyć i mogę też poprowadzić. Wiem jak.

– Nie jestem pewny, czy dobrze zrobimy kradnąc mu samochód - powiedział Indy z obawą w głosie.

– Czemu nie? - rzekł Shannon. - My będziemy go mieli, a on nie.

– Ale Mandraki będzie wiedział, czego szukać.

– No to co? - odparł Shannon. - Dojedziemy do Aten, ukryjemy samochód i jak najszybciej opuścimy kraj. A poza tym on jest ranny, nie pamiętasz? Nie będzie w stanie nigdzie się ruszyć.

Conrad skinął głową w stronę Dorian, która wyglądała, jakby była pogrążona we śnie.

– A co z nią?

– Zostawimy ją - powiedział Shannon. - Niech Mandraki się nią zajmie. Zasłużyła sobie na to.

Indy zastanawiał się przez chwilę.

– Nikos, możesz przyprowadzić tu samochód tak, żeby nikt cię nie widział?

– Wszyscy będą mnie widzieć - powiedział dumnie. - Zobaczą, że potrafię prowadzić.

Indy skinął głową.

– Tak właśnie myślałem - obrócił się do Conrada. - Posłuchaj, Jack i ja możemy wziąć mundury tych żołnierzy, których związałem. Pojedziemy na koniach do wioski i weźmiemy samochód. Ty zostaniesz z Dorian, a my tu przyjedziemy.

– Wszyscy w wiosce znają cię z widzenia - zaprotestował Conrad. - Nie będziesz wiarygodnym żołnierzem. Zróbmy to w ten sposób. Ty tu zostań. Jack i ja zdobędziemy samochód.

– Dobry pomysł - powiedział Shannon. - Poza tym zaczynam myśleć, że ty przyciągasz kłopoty, Indy.

– Okay. Okay.

– Przygotuję samochód - powiedział Nikos i wybiegł za drzwi.

Conrad podniósł karabin z miejsca, gdzie go położył, a Indy oddał pistolet Shannonowi. W tym momencie Dorian jęknęła głośno. Przekręciła się, wypuszczając omfalos na ziemię. Usiadła i przetarła twarz.

– Dasz sobie z nią radę? - zapytał Conrad.

– Oczywiście - gdy wyszli, Indy uklęknął obok Dorian i schował kamień do plecaka.

Obserwowała go uważnie, ale nie odezwała się.

– Co się stało? - zapytał ją.

Otworzyła usta, lecz nie odpowiedziała od razu:

– Myślałam, że nie żyję.

– Dlaczego?

– Dusiałam się w uścisku olbrzymiego węża. Pytona. Owinął się wokół mnie. To było straszne. Czulałam jego zimny, śmiertelny oddech.

Otoczyła się rękami i zadrżała. Jej czarne włosy zasłoniły połowę twarzy. Siedziała jak dziecko, z jedną nogą podwiniętą, a drugą wyprostowaną. To było takie naturalne - nie wyglądała ani na profesora, ani

na zabójcę. Była bezradna, zagubiona. Indy nie chciał jej współczuć, ale robił to.

– Dlaczego udawałaś transy, Dorian?

– Nie rozumiesz, Indy? Nie pojmujesz mocy Pytii?

– Poczekaj chwilę. Powiedziałaś, że nie ma żadnej Pytii, że wszystko udawałaś.

– Nie powiedziałam, że nie ma Pytii. Zapytaj króla. On widział i jestem pewna, że w to wierzy.

– A teraz, gdy Panos nie żyje, nie masz swojego kapłana.

Pochyliła się do przodu i jej urzekający uśmiech znów go przyciągał.

– Panos nie miał być moim kapłanem. On nie był odpowiedni. To ty, Indy. Ty będziesz moim kapłanem. i kochankiem.

Indy odsunął się od niej.

– Nie. Nie sądzę.

– Myślisz, że nie mogę być Pytią, że nikt nie uwierzy? Sam wiesz, że przepowiednie prawie zawsze były dwuznaczne, interpretowane w zależności od przebiegu zdarzeń. To odpowiednia technika. Nauczę cię tego. Wymyślimy nasz własny sposób komunikowania się gestami i hasłami.

Sięgnęła po jego rękę.

– Pomyśl o tym, staniemy się najpotężniejszymi i najsłynniejszymi osobami na świecie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Indy cofnął rękę i wstał.

– Pewnie.

Podniosła się i podeszła do niego.

– Nie chcesz mnie, Indy? Będę twoja. Będzie dobrze, obiecuję. Pomyśl o tym.

Czuł jej zapach i niesamowity magnetyzm w oczach. Cofnął się o kolejny krok.

– Nawet gdybym był zainteresowany, to pozostaje jeszcze kwestia zaufania, Dorian. Ściągnęłaś mnie tu, aby posłużyć się mną w swoim spisku na życie króla. No i twoja przeszłość.

– Nie, spisek to nie mój pomysł. To gierki Alexa. To samo z Richardem Farnsworthem. On go zabił, nie ja.

Dłonie Indy’ego zacisnęły się w pięści. Jego policzki zaczerwieniły się ze złości.

– Ale ty byłaś częścią jego gry. Nie powstrzymałaś go.

– Nie mogłam. Zmusił mnie. Zresztą wiesz, że i tak się przeciwko niemu obróciłam. Strzeliłam do niego, na miłość boską. Powinien zginąć. Co więcej mogę zrobić, żeby pokazać ci moje intencje?

– Zabiłaś brata Farnswortha. Był w pociągu do Brindisi. Zabiłaś go dłutem ze swojego zestawu, a potem wyrzuciłaś go z pociągu. Ja w tym czasie jadłem lody.

– Nie. To nie było tak. To on próbował mnie zabić. Ja się tylko broniłam.

Miała odpowiedź na wszystko i jej uzasadnienia zawsze brzmiały logicznie. To był jej dar.

– Jest jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiem. Jeśli w oparach tylko udawałaś, to po co zaczęłaś znów udawać, gdy wzięłaś ode mnie omfalos? Jaki miałaś w tym cel?

– Nie. Tego nie udawałam. Nie wiem, co się stało i nawet nie chcę o tym myśleć.

Teraz, gdy powiedziała prawdę, Indy nie mógł uznać własnego doświadczenia z omfalosem za mało znaczący sen.

Właśnie wtedy zatrąbił klakson. Indy zarzucił plecak na ramię.

– Do widzenia.

– Zabierasz omfalos?

– Tak. Dopilnuję, żeby znalazł się w muzeum.

– Weź mnie ze sobą. Nie mogę tu zostać.

– Nie.

– Proszę - złapała go za rękę. - Nawet nie wiesz, co Alex może mi zrobić.

Samochód znów zatrąbił.

– Dobrze. Pod jednym warunkiem. Zawiozę cię do pałacu króla, a tam przyznasz się do udziału w spisku i wydasz Mandrakiego.

– Okay. Zrobię to. Cokolwiek powiesz.

Wyszli na zewnątrz chaty i oboje spojrzeli w kierunku świątyni Apollina. Wolną ręką Indy sięgnął do kieszeni i wyjął zegarek.

– Jest za osiem czwarta - opary powinny unosić się już od trzech minut, ale nie pojawiły się.

– Schemat się załamał - powiedziała cicho Dorian.

Ucieczka z Delf

Lśniący pierce-arrow stał na drodze i przez chwilę Indy pomyślał, że musi należeć do króla. Potem ujrzał Conrada za kierownicą.

– To jest samochód Mandrakiego?

– Jeden z wielu - powiedziała Dorian, gdy biegli w stronę samochodu.

W Stanach można było kupić na raty mały samochód, płacąc dwieście osiemdziesiąt dolarów tygodniowo plus pięć dolarów. Tylko bardzo niewielu ludzi stać było na luksusowy pierce-arrow, a w Grecji jego cena z pewnością była jeszcze wyższa.

– Musi mieć dużo pieniędzy.

– Mnóstwo.

– Szybciej - zawołał Conrad z przedniego siedzenia, patrząc krzywo na Dorian.

– Gdzie są wasze mundury?

– Żołnierzy nie było - Conrad spojrzał na Shannona. - Ledwie się wydostaliśmy. Jack kazał Nikosowi polecieć do hotelu po swoją trąbkę i gdy czekaliśmy, pół wioski się zebrało, żeby obejrzeć samochód. Myślę, że wiadomości już się rozeszły.

Indy zerknął w stronę wioski.

– Jedźmy stąd, do cholery.

– Co ona tu robi? - zapytał Shannon.

– Zabieram ją do króla.

Shannon zrobił głupią minę.

– Co robisz?

– Przyzna się do wszystkiego.

– Pewnie.

– Cóż. Tu jej nie mogę zostawić. Mandraki zabije ją, jeśli jeszcze żyje.

– Słyszałem rozmowę dwóch żołnierzy - odezwał się Nikos z tylnego siedzenia. - Pułkownikowi nic nie jest. Kula trafiła w jego pas amunicyjny.

– Dobry strzał - powiedział Indy do Dorian. - Nikos, lepiej wysiądź. Musimy jechać.

– Chcę pojechać z wami do Aten - powiedział. Ojciec dał mi pozwolenie.

– Czy wie, w jakich warunkach masz podróżować?

– Cóż, nie.

– To może być niebezpieczne.

– Tak myślisz? - zapytał z nadzieją w głosie.

Nagle na drodze pojawiła się wojskowa ciężarówka, nadjeżdżająca od strony wioski. Conrad włączył rozrusznik i nacisnął mocno pedał gazu. Samochód zakaszłał.

– Jest zalany - krzyknął Shannon.

Conrad spróbował ponownie.

Ciężarówka zbliżała się do nich. Indy otworzył tylne drzwi i chwycił Dorian za rękę.

– Wsiadaj. Szybko.

Silnik zawarczał.

Dorian jednak zaskoczyła go. Wyrwała się i pobiegła w stronę ciężarówki.

– Dorian - wrzasnął i wyskoczył z samochodu, lecz plecak zaczepił się o drzwi. Uwolnił się, ale było już za późno. Dorian biegła w kierunku nadjeżdżającej ciężarówki, machała rękami i wołała Mandrakiego. Ciężarówka zahamowała.

Już umarła.

– Wsiadaj, na miłość boską - wrzasnął Conrad i zaczął jechać. Indy rzucił się za samochodem i wskoczył w bieżący. Obejrzał się i ujrzał

pułkownika obejmującego Dorian na środku drogi.

– Co, do cholery? - zdziwił się.

Tuzin żołnierzy wyskoczył z tyłu ciężarówki. Otworzyli ogień. Conrad dodał gazu, a Shannon strzelał do tyłu.

Indy już miał zamknąć drzwi, gdy poczuł uderzenie między łopatkami. Opadł na siedzenie.

Shannon zatriumfował.

– Trafiłem ich w oponę.

Indy nabrał powietrza do płuc.

– Świetnie. Ale myślę, że mnie też trafili.

Nikos pomógł mu zdjąć plecak. Indy oczekiwał krwi i bólu.

– Nie trafili cię - powiedział Nikos.

– Co? - odwrócił się i zobaczył, że Nikos trzyma plecak.

– Zobacz, tu jest dziura, ale tylko z jednej strony. Kula trafiła w ten przedmiot, który znalazłeś. On cię uratował.

Indy otworzył plecak i spojrzał z niedowierzaniem na omfalos. Zamierzał wyjąć go i obejrzeć miejsce trafienia, ale rozmyślił się.

– Nic ci nie jest? - zawołał Conrad przez ramię, gdy pędzili w stronę gór.

– Wszystko w porządku.

– Miałeś szczęście, tak jak pułkownik Mandraki - rzekł Nikos.

Shannon spojrzał na Indy'ego.

– Nie rozumiem Mandrakiego. Kobieta do niego strzela, a on wita ją jak kogoś, kto uratował mu życie.

Indy pokręcił głową.

– Ja też tego nie rozumiem.

Radiotelegrafista z tyłu ciężarówki skończył nadawać wiadomość. Poczekał na potwierdzenie, a potem skinął głową do Mandrakiego.

– Nie uda im się dotrzeć do Aten - powiedział Mandraki i uśmiechnął się zadowolony z siebie.

– Dobrze - rzekła Dorian. - Ale nie możemy ukryć ich śmierci. Jest zbyt wielu świadków.

Mandraki zmarszczył brwi.

– Nie możemy przyznać się do ich zabójstwa. Król wykorzystałby to przeciwko mnie.

– Uspokój się, Alex. Nie będzie problemu. Ukradli samochód oficera i cenne znalezisko, skarb narodowy. Zostali zabici w strzelaninie, gdy chcieli uciekać. To proste.

– Jesteś skomplikowaną kobietą, Dorian. Ale lubię twoje proste rozwiązania. Teraz powiedz mi, który z nich do mnie strzelił.

Zapadał zmrok, gdy zbliżali się do przedmieść stolicy. Światła Aten błyszczały przed nimi. Indy był zmęczony, spragniony i głodny, ale chciał jak najszybciej dostać się do pałacu. To było jedyne miejsce, gdzie czułoby się bezpiecznie. Jeśli tylko uda im się przedostać przez bramę.

– Jeśli o mnie chodzi, to powinniśmy zrezygnować z wizyty w pałacu i pojechać prosto do Pireusu - powiedział Shannon. - Przy odrobinie szczęścia jutro rano moglibyśmy być w Paryżu.

– To nie byłoby szczęście. To byłby cud - zażartował Conrad. - Ale to dobry pomysł, żeby wydostać się stąd, póki jeszcze można.

Indy pokręcił głową.

– Będą na nas czekali w porcie.

– Przecież są za nami - powiedział Shannon.

– Mandrakiego tam nie będzie, tylko jego ludzie. Możesz na to liczyć.

– Port nie jest jedynym miejscem, gdzie czekają na nas - odezwał się Conrad. - Zobacz, co znajduje się przed nami.

Indy skrzywił się.

– A niech to. Blokada drogi.

Nikos wychylił się z tyłu.

– Czy jesteśmy w miejscu, gdzie miało być niebezpiecznie?

Indy spojrział na podekscytowanego chłopaka. - Przynajmniej w jednym z nich.

– Mam pomysł - powiedział Conrad. - Spróbujmy z nimi porozmawiać. Wytłumaczymy im, że mamy ważne informacje dla króla. Może są lojalni.

Nie było czasu na dyskusję. Conrad przycisnął hamulec i zwolnił. Od blokady dzieliło ich pięćdziesiąt jardów, gdy jeden z żołnierzy dał znak. Kilku innych uniosło karabiny. Wystrzelili. Przednia szyba rozpadła się na małe kawałki.

– Myślę, że nie będą chcieli rozmawiać - powiedział Indy.

Conrad dodał gazu i zjechał z drogi. Wjechał na wzgórze, próbując ominąć blokadę. Samochód podskakiwał niesamowicie, a kule odbijały się od dachu. To, co zdarzyło się później, wydawało się trwać tylko kilka sekund. Wzgórze było zbyt strome; samochód przewrócił się i zaczął staczać w dół. Wszyscy przewalali się ze strony na stronę i Indy nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. W końcu samochód wylądował na kołach. Jakimś cudem znaleźli się na drodze i za blokadą. Teraz jednak Indy siedział za kierownicą, Conrad po jego prawej stronie, a Shannon na tylnym siedzeniu.

– Hej, jedziemy.

Indy spojrział w lusterko i ujrzał żołnierzy strzelających salwą. Kule przeleciały obok samochodu. Będą ich gonili, ale jeśli pierce-arrow pozostanie na drodze, to będzie w stanie uciec wojskowej ciężarówce.

– Jesteśmy poza zasięgiem - powiedział. - A miasto tuż przed nami. Uda nam się.

– Tak? - zapytał Conrad. Miał szkliste oczy i patrzył przed siebie.

– Nigdy bym nie zgadł, że potrafisz tak prowadzić, Ted.

– Ja też. Jakoś mi wyszło.

Indy obejrzał się przez ramię.

– Hej, co się stało z Nikosem?

Chłopak podniósł się z podłogi.

– Poczekajcie, aż opowiem to moim kolegom.

– A co z tobą, Jack?

– Czuję się, jakbym miał skręcony kark i mam spuchniętą wargę. Chyba dzisiaj nie zagram nic dla króla.

– A propos króla. Kto wie, jak dojechać do pałacu? - zapytał Indy.

– Ja wiem - odparł Nikos. - Jest koło Stadionu Olimpijskiego.

– Jak dotrzeć od Akropolu?

– Pokażę ci.

Gdy jechali przez miasto, Indy zauważył, że ludzie przyglądają się samochodowi.

– Zdaje się, że pierce-arrow robi na nich wrażenie - potem dostrzegł odbicie samochodu w wystawie sklepowej. Dach był wgnieciony, drzwi kierowcy porysowane, a cała karoseria usiana dziurami od kul.

– Mamy szczęście, że żyjemy.

– Indy, tu jest Platia Phlomouson Hetairae - rzekł Nikos, gdy mijali plac.

- Pamiętasz, jak ci o nim opowiadałem?

– Co? - zapytał Shannon.

– Tutaj są najlepsze tawerny w mieście - odparł Indy.

– Przydałoby się wstąpić na drinka - powiedział Shannon.

– Jest stadion - rzekł Nikos. - Skręć w lewo, gdy go miniesz.

Nagle zza stadionu wybiegli żołnierze. Wpadli na jezdnię, zablokowali ruch i machali karabinami.

– Może tym razem są po naszej stronie - powiedział Conrad z nadzieją w głosie.

Kula odbiła się od maski, inna ugrzęzła w siedzeniu między Indym a Conradem.

– Niestety, raczej nie są.

– To już się robi nudne - oburzył się Shannon.

Indy skręcił kierownicę w lewo i przejechał szybko wąską, krętą uliczką. Dotarli do głównego skrzyżowania.

Nikos wyciągnął rękę na prawo.

– Pałac jest tam.

W miejscu, które wskazał Nikos pojawiło się jeszcze więcej żołnierzy. Zamiast skręcić, Indy pojechał prosto i wjechał do parku. Pędził chodnikiem, strasząc spacerujących ludzi, którzy klęli i wygrażali pięściami.

– Gdzie jesteśmy, Nikos?

– W pałacowym ogrodzie. Tak trzymaj - krzyknął.

Indy skręcił w prawo i skierował auto w stronę alejki, która prowadziła do pałacu. Wjechał na nią i teraz pałac znajdował się po ich prawej stronie.

– Uda nam się - powiedział Conrad.

– Marzysz - odparł Shannon.

Indy zwolnił, gdy zbliżyli się do głównej bramy. Kilka tuzinów uzbrojonych żołnierzy strzegło wjazdu.

– To są ludzie króla - powiedział Indy. - Na pewno.

– Według mnie oni wyglądają tak samo jak ci, którzy do nas strzelali - rzekł Shannon.

Indy stracił pewność siebie.

– Objadę dookoła. Musi być jakieś inne wejście.

Okrążyli pałac, ale druga brama wyglądała równie zachęcająco.

– Co to za śmieszna machina, tam obok żołnierzy? - zapytał Nikos z obawą w głosie.

Indy jechał dalej.

– To jest czołg - wyjaśnił Conrad. - Zaczęli ich używać w czasie wojny. Po raz pierwszy zostały wykorzystane w 1917 roku w Cambrai.

– Zawsze miło mieć ze sobą profesora od historii - zauważył Indy. - Chyba powinniśmy spróbować głównym wejściem. Co o tym myślisz, Ted?

– Nie mamy nic do stracenia. Nikt do nas nie strzeli, gdy się przedostaniemy.

– To niewątpliwie dobry znak - powiedział Shannon. Jego głos był pełen ironii.

Nikos wskazał palcem główne wejście.

– Patrzcie, otwierają dla nas bramę.

Indy skręcił kierownicę. Nareszcie jakiś bezpieczny port. Nagle nacisnął hamulec. Drugi czołg blokował wjazd.

– Mam nadzieję, że to komitet powitalny - rozejrzał się, oceniając sytuację. Już miał się wycofać, ale pierwszy czołg zajechał im drogę od tyłu.

Żołnierze otoczyli zniszczony samochód, ich karabiny były wycelowane w pasażerów.

– To nie wygląda dobrze - mruknął Conrad.

Słysząc było wrzaski i głośne komendy. Potem wszyscy się odsunęli. Nikt nie strzelał. Żołnierze przyglądali się, jakby samochód był na wystawie.

– Co się dzieje? - zapytał Shannon.

Gdy żołnierze odsłonili widok, wszystko stało się jasne. Zbliżyły się do nich dwa czołgi. Chwilę później rozległ się zgrzyt miażdżonego metalu, gdy jeden najechał na przód, a drugi uderzył w tył auta.

– A niech to cholera! - wrzasnął Shannon, otwierając drzwi. Wyskoczył z samochodu prosto w objęcia żołnierzy. Indy'ego chwycili za ręce i nogi. Wyrwali mu plecak.

– Hej, to moje. Oddajcie mi to.

Zignorowali jego okrzyki. Z tyłu czołgi miażdżyły resztki pierce-arrowa.

– Wasza Wysokość - rzekła Dorian. - Ten człowiek jest niebezpieczny. Nie potrzeba nam takich cudzoziemców. Uważam, że on i jego przyjaciele

powinni zostać natychmiast wydalenii.

Król usiadł wygodnie w głębokim fotelu w swojej bibliotece.

– Jeśli to, co pani mi powiedziała, jest prawdą, to wydalenie byłoby dla nich zbyt łagodną karą. Gdy ktoś kradnie samochód jednemu z naszych oficerów i strzela do niego, to nie tylko sprawa honoru, ale i wymiaru sprawiedliwości.

– Rozumiem to, Wasza Wysokość. Nikt jednakże nie został ranny.

Król pogładził się po podbródku i rozważył jej słowa.

– Dlaczego pani go broni?

Nigdy się nie dowiesz - pomyślała.

– Czuję się częściowo odpowiedzialna. Był jednym z moich studentów i to ja go tu sprowadziłam.

– Jak sobie pani może przypomina, ja już spotkałem pana Jonesa. Był trochę dziwny, ale to normalne dla Amerykanów. Nie uważam jednak, że jest przestępcą i chciałbym też usłyszeć jego wersję.

Dokładnie to, czego chciała uniknąć. Spojrzała na Mandrakię. Powiedz coś, do diabła - nakazywał jej wzrok.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne - rzekł Mandraki. - Zgodnie z tym, co powiedziała pani Belecamus, nie chcę wysuwać żadnych oskarżeń pod adresem pana Jonesa i reszty.

Król skinął głową i zawołał jednego z pomocników.

– Przygotuj ich dokumenty wyjazdowe. Chcę, żeby rano znaleźli się na statku do Brindisi.

Dorian wstała, oddychając z ulgą i wyciągnęła rękę.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Jestem wdzięczna i przepraszam za kłopot, jaki sprawiliśmy.

– Z przyjemnością zaopiekuję się nimi do odjazdu powiedział Mandraki.

Król wzruszył ramionami i machnął ręką.

– Zatrzymam ich tutaj, to żaden kłopot. Nawet tak wolę. Nie chcę już słyszeć o żadnych niebezpiecznych eskapadach.

Powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu i Dorian wiedziała, że źle byłoby wdawać się w dyskusje. Już miała zbierać się do wyjścia, gdy król zmienił temat.

– A co z tym znaleziskiem? To był powód, dla którego ścigaliście Jonesa, czyż nie? - spojrzał na Mandrakiego. - Oczywiście poza samochodem.

– Zgadza się, Wasza Wysokość.

– Chce to pani zabrać ze sobą?

Sama myśl o omfalosie zaniepokoiła Dorian. Już nigdy więcej nie chciała go dotykać. Nie mogła jednak powiedzieć tego królowi.

– Wolałabym na razie nie zabierać kamienia. Za kilka dni przyślę kogoś po niego.

– Co to za rzecz, ten omfalos?

– Uważam, że to meteoryt, który został oszlifowany i pokryty siatką ze sznurków. W czasach Pytii miał znaczenie symboliczne. Obecnie to tylko ciekawostka.

– Dlaczego Jones chciał go zabrać?

Wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? Myślę, że był trochę otumaniony oparami. Stwierdziłam, że nie wywołują żadnych widocznych efektów mogą jednak wywierać rozmaity wpływ. Uśmiechnęła się skromnie, jak uniżony sługa. - Cieszę się, Wasza Wysokość, że dzięki nim mogłam panu pomoc. Nie pamiętam, co się stało, ale wiem, że ostrzegłam pana przed niebezpieczeństwem.

Król dotknął swego biodra. Zastanawiała się, czy wciąż wierzy, że opary wyleczyły go.

– Tak, chciałbym pani podziękować. To była dziwna sytuacja, ale gdyby mnie pani nie ostrzegła, kto wie, co by się stało - pogładził się po brodzie i skinął głową. Potem wstał z fotela.

– Cóż, zrobiło się późno.

Dorian życzyła dobrej nocy i poczekała, aż Mandraki uściskał dłoń króla. Uśmiechnęła się w duszy, słysząc jak król mówi, że jest mu przykro z powodu tego, co się stało z samochodem. Gdy wyszli z biblioteki, odezwała się po cichu:

– Myślę, że poszło świetnie. Wkrótce pójdzie spać, a gdy się obudzi, ich już nie będzie.

Mandraki nic nie odpowiedział.

– Co się stało?

– Jonesem już się nie martwię - powiedział szeptem, gdy schodzili po schodach. - Musimy pozbawić tego drania władzy. Agora jest pełna uchodźców i codziennie ich przybywa. Kraj się rozpada.

– Zapłaci za swoje błędy - powiedziała Dorian. Dopilnujemy tego i tym razem zrobimy to skutecznie.

– I to już wkrótce - dodał Mandraki.

24.

W pałacu

W zimnej celi gdzieś pod pałacem Indy znajdował się na granicy snu. Widział orła machającego skrzydłami, szybującego wysoko w górze. Potem twarz Mandrakiego zasłoniła orła. Pułkownik uśmiechnął się złośliwie i wycelował pistolet w jego głowę.

Indy przebudził się, ubił twardy materac i zmienił pozycję. Wiedział, że to, co przydarzyło mu się w szczelinie, było czymś więcej niż tylko snem. Ale nie chciał o tym myśleć, nie chciał przypisywać temu znaczenia, ponieważ widział tam tylko śmierć, własną śmierć wymazującą przyszłość.

Zaczął odliczać od stu w dół. Dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt osiem. Doszedł do osiemdziesięciu pięciu i liczby zaczęły mu się mieszać. Odpłynął. Osiemdziesiąt sześć, siedemdziesiąt osiem. Zasnął.

Coś go przebudziło.

Zaczął nasłuchiwać.

Słyszał oddechy.

Shannon i Conrad.

Obudził go inny dźwięk. Odległe, dudniące głosy.

Zbliżały się.

Odgłosy kroków brzmiały echem w korytarzu. Usłyszał dzwonięcie kluczy. Ktoś odezwał się ochryplym głosem, inny burknął coś w odpowiedzi. Co teraz?

Drzwi się otworzyły. W nikłym świetle z korytarza ujrzął dwóch strażników wkraczających do celi. Rozejrzeli się. Jeden wskazał Indy'ego, a drugi natychmiast go chwycił.

– Co się dzieje? - krzyknął Shannon, gdy Indy’ego ciągnięto do drzwi.

– Dokąd go zabieracie? - Conrad podniósł się, ale został odepchnięty. Drzwi zamknęły się z hukiem.

– Mam nadzieję, że to nie jest wezwanie na egzekucję - pomyślał Indy. - Czy to już rano? - zapytał po grecku, gdy go prowadzili korytarzem.

Strażnicy nie odpowiedzieli. Nikt więźniom niczego nie powiedział. Nakarmiono ich zupą, chlebem i wodą, dano koce i cienkie materace. Ich prośby o widzenie z królem albo z kimkolwiek, kto by ich wysłuchał, przyjęto bez odzewu. Nie wiedzieli nawet, co się stało z Nikosem. Po wyjściu z samochodu stracili z nim kontakt i Indy miał nadzieję, że chłopak w zamieszaniu zdołał uciec.

Dotarli do schodów i strażnicy prawie wciągnęli go na górę.

– Hej, chłopaki, po co ten pośpiech? - został wprowadzony do mniejszego korytarza. Minął dużą kuchnię, gdzie mężczyźni w mundurach szorowali podłogę. Wyczuł nikły zapach jedzenia.

– Och, już czas na śniadanie? - kamienne twarze strażników nie zmieniły się. - Pewnie nie.

Szli dalej i wkrótce skręcili w kolejny korytarz. Ten był ozdobny, odpowiedni dla pałacu. Stopy zapadły mu się w pluszowy dywan. Ściany były kryte mahoniową boazerią, a gzymsy ozdobione złotem. Nie miał wątpliwości, że znajduje się w głównej części pałacu.

W połowie korytarza zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami, które były wystarczająco duże, aby gigant przeszedł przez nie bez schylania się. Jeden ze strażników zapukał delikatnie. Prawie natychmiast drzwi uchyliły się o kilka centymetrów. Wymieniono parę słów i Indy został wprowadzony do pokoju pełnego książek.

– Królewska biblioteka - pomyślał Indy. - Jak w mojej wizji.

Wysoki, barczysty mężczyzna w garniturze wskazał drewniane krzesło i Indy usiadł. Spojrzał na mężczyznę, oczekując, że zaraz zacznie się

przesłuchanie. Ale dlaczego w bibliotece? Może zamierzali pobić go na śmierć książkami. *Ulissesem* Joyce'a mogliby zabić jednym uderzeniem.

– Witam, panie Indiana Jones.

Indy obejrzał się i dostrzegł króla. Miał na sobie niebieską, atlasową szatę i kapcie - zupełnie jak w wizji - i kulał nieznacznie.

– Wasza Wysokość - Indy wstał, ale strażnik z powrotem pchnął go na krzesło.

Król usiadł w fotelu przed kominkiem.

– Rozmawiam z panem wbrew radom moich doradców. Powiedzieli, że powinienem wydalić pana z kraju bez jednego słowa.

– Naprawdę? - to była najlepsza wiadomość, jaką Indy usłyszał od czasu wyjazdu z Delf. - Jestem pewien, że moi przyjaciele i ja przyjmiemy to, ale.

Król uniósł rękę, przerywając mu.

– Zdecydowałem się porozmawiać z panem, ponieważ czuję, że jestem panu to winien. Uratował mi pan życie.

– Jestem szczęśliwy, że mogę tu z panem być.

Król zaśmiał się.

– Powinien pan być szczęśliwy, że żyje. Jeśli raport, który otrzymałem, jest dokładny, to oznacza, że szczęście jest przy panu.

Indy próbował odpowiedzieć, ale w gardle miał sucho i z trudem wydobywał głos.

Król pstryknął palcami i powiedział coś człowiekowi, który ukryty był za półkami. Indy zastanawiał się, ilu jeszcze ludzi mogło być w tym pokoju. Chwilę później służący podał Indy'emu szklanekę wody.

– Teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego ukradł pan znalezisko z Delf i samochód pułkownika Mandrakiego?

Indy wypił wodę i odchrząknął.

– Mandraki zamierzał zabić pana. To znaczy chciał, żeby ja zabił.

– Chwileczkę - przerwał mu król. - Dlaczego przyjechał pan do Delf z Dorian Belecamus?

Indy opowiedział swoją historię, zaczynając od pierwszego spotkania z Dorian. Powiedział królowi o tym, jak chciała zostać Pytią, a także o historii Richarda Farnswortha. Miał nadzieję, że wszystkie te szczegóły sprawią, że jego opowiadanie o spisku na życie stanie się dla króla bardziej wiarygodne.

Król słuchał uważnie, wyrażając zdumienie podwójną grą Belecamus.

– Nic dziwnego, że opary nie pomogły. Lekarstwo nie działało dłużej niż nowa Pytia.

Zapytał się o Stephanosa Doumasa, i Indy wyjaśnił, że archeolog zaangażowany był w działalność Zakonu Pytii, ale nie w próbę zabójstwa.

– A więc mówi pan, że próba zamachu na moje życie nie miała nic wspólnego z tym mistycznym zakonem, lecz była wojskowym spiskiem prowadzonym przez pułkownika Mandrakiego?

Indy skinął głową.

Król wyglądał na oszołomionego.

– Dobrze wiem, że moi polityczni przeciwnicy rosną w siłę i że nie wszystko ułożyło się tak, jak to zaplanowałem. Ale dotychczas żaden z nich nie próbował mnie zabić - spojrzał na Indy'ego i uśmiechnął się. - Jeśli to, co pan powiedział o Mandrakim, jest prawdą, to nie czuję się już tak źle z powodu zniszczenia jego samochodu.

Podniósł się i pokuśtykał w stronę kominka. Potarł ręce nad niewielkim ogniem i obrócił się do Indy'ego.

– Chciałbym zaoferować panu i pańskim przyjaciółom możliwość pozostania w pałacu. Będziecie moimi gośćmi honorowymi. Jeśli jednak pragniecie wyjechać, to wyrażam na to zgodę.

– Odpowiadając także w imieniu moich przyjaciół powiem, że wszyscy troje jesteśmy gotowi wyruszyć do Paryża. - Potem zapytał o Nikosa.

Król spojrzał w bok i służący, który przyniósł wodę, pojawił się ponownie. Mężczyzna obserwował Indy'ego, gdy król szeptał mu na ucho. Odpowiedział coś królowi i po chwili oddalił się.

– Przykro mi, panie Jones - rzekł król. - Ale nic nie wiemy o chłopcu. Mam nadzieję, że zdążył wydostać się z samochodu.

– Sugeruje pan, że mógł się nie wydostać? - powiedział Indy podniesionym głosem. Jeden ze strażników przy drzwiach ruszył w jego stronę, ale król dał mu znak ręką, że nic się nie stało.

– Powiedziałem, że nie wiem. Gdybym wiedział, że zginął, to zawiadomiłbym pana.

Służący powrócił, niosąc plecak, który podał królowi. Ten przekazał go Indy'emu.

– Zdaje się, że to jest pańskie.

– Niesamowite. Zamierza dać mi omfalos. Znów tak, jak w wizji.

Pokręcił głową.

– Nie, to nie moje. To jest omfalos. Należy do wszystkich.

– Wygląda na to, że kamieniowi temu poświęcono więcej uwagi, niż należało - powiedział król.

– Nie jestem tego taki pewien, Wasza Wysokość.

Król sięgnął do plecaka i wyciągnął z niego stożek.

– Pani Belecamus, mimo wszystkich swoich wad, jest autorytetem w dziedzinie Delf i powiedziała mi, że omfalos to nic więcej jak ciekawostka, meteoryt. Jestem pewien, że gdyby miał wielką wartość, nie opuściłaby bez niego pałacu. Chciałbym, żeby wziął go pan jako pamiątkę z tej podróży.

– Wasza Wysokość, myślę, że powinien pan włożyć go z powrotem do plecaka. Jeśli trzyma się go zbyt długo, to może. Pan może. - Indy nie wiedział, jak to wytłumaczyć. Nie wierzył w to specjalnie, ale coś mu się przydarzyło. I Dorian też.

– Nie widzę w tym nic niezwykłego - król obrócił kamień w dłoniach.

– Jest ciepły. Usadowił się wygodniej w fotelu. - Czuję się nieco senny.

Plecak spadł na ziemię, a król przycisnął omfalos do piersi. Przez kilka sekund nie ruszał się. Potem jego oczy się rozszerzyły, na twarzy pojawił się wyraz szoku i Indy wiedział już, że kamień rzucił swój urok. Ruszył z

miejsca, ale zwałisty strażnik powstrzymał go, zanim zdążył dotrzeć do króla.

– Zrób coś - burknął Indy. - Nie widzisz, że król potrzebuje pomocy? Weź ten kamień.

Służący podszedł do króla i zapytał go, jak się czuje. Delikatnie wziął od niego kamień i położył na podłodze.

– Lekarza. Szybko! - krzyknął.

Król uniósł rękę.

– Nie. Nic mi nie jest.

Przejechał dłonią po twarzy.

– Puść go - powiedział strażnikowi, który wciąż trzymał Indy'ego.

– Przepraszam, Wasza Wysokość. Próbowałem pana ostrzec.

Król spojrzał na omfalos.

– Miałem dziwne odczucie. To było jak we śnie, ale nie spałem. Byłem otoczony przez straszliwą armię mrówek, które atakowały mnie. Próbowały mnie wynieść.

Indy skinął głową. Nie był pewien, co powiedzieć.

– Co się ze mną stało?

– Nie wiem - powiedział Indy. - Myślę, że ten kamień trzeba dokładnie przebadać.

– Powinien być przechowywany w zamknięciu - odpowiedział król. - Albo może ponownie zagubiony. Przez chwilę zapanowała cisza. - Cóż, jeśli chce pan zdążyć na prom, musi pan już iść.

Gdy król odprowadzał go do drzwi, Indy zauważył w nim jakąś zmianę. Nie mógł jednakże stwierdzić, jaką.

Podziękował królowi za pomoc.

– I ja dziękuję za pańską. Teraz muszę się zająć wojskowymi mrówkami - po tych słowach odwrócił się i odszedł.

Gdy drzwi się zamknęły, Indy wiedział już, jaka zmiana nastąpiła w królu. Nie kulał.

Po opuszczeniu pałacu skierowali się w stronę ulicy. Miasto budziło się już ze snu. Dzwon kościelny zaczął bić, zapiał kogut. Stukot końskich kopyt kontrastował z wyciem silnika.

– Nie mogę uwierzyć, że wydostajemy się z tego koszmaru - powiedział Shannon.

Gdy doszli do ulicy, podszedł do nich żołnierz z karabinem.

– Co znowu? - zapytał Indy z obawą w głosie.

Żołnierz wskazał nowego cadillaca stojącego przy krawężniku.

– Ten samochód zawiezie was do portu.

Zamknął za nimi drzwi, natomiast Indy nie mógł się powstrzymać od ironii.

– Prawdopodobnie ten facet był wczoraj gotowy zabić nas.

– On tylko wykonuje swoją pracę - rzekł Conrad.

– Tak, po prostu zalicza punkty - dodał Shannon.

– A co my robimy? - zapytał Indy.

– Zdobywamy je, ryzykując życie.

– To jest bardziej interesujące - powiedział Indy.

– Dla niektórych ludzi - odparł Conrad. Spojrzał z żalem w stronę pałacu. - Miło byłoby pobyc w pałacu przez kilka dni. To zainspirowałoby mnie do napisania powieści.

Indy spojrzał na niego.

– A co z wydarzeniami minionych kilku dni?

– Doznania są złudne, Indy. Pisarz jest lepszy, jeśli czerpie z wewnętrznych przeżyć, a nie tworzy na podstawie zwodniczych doznań.

Indy zastanawiał się przez chwilę.

– Według mnie ludzie są zwodniczy, a nie doznania.

Conrad nie odpowiedział i każdy pogрузył się w swoich myślach. Gdy mijali pozostałości Biblioteki Hadriana i zbliżyli się do Agory, Indy spojrzał na chaty uchodźców wzniesione na terenie ruin. Dym unosił się znad kilku dachów i przypominał mu opary w świątyni Apollina.

Wtedy ujrzał ją idącą w cieniu, jej długie, ciemne włosy splecione były w warkocz. Nie miał wątpliwości, że to jest Dorian Belecamus.

– Zatrzymaj się.

– Co robisz? - zapytał Shannon, gdy Indy otworzył drzwi. - Musimy jechać do Pireusu.

– Posłuchajcie, poczekajcie na mnie pięć minut. Jeśli nie wrócę, to jedźcie. Spotkamy się na promie. Muszę jeszcze coś załatwić.

– Nie mamy zbyt wiele czasu - ostrzegł go Conrad.

– Wiem, wiem.

Zamknął drzwi, nie mówiąc nic więcej i pobiegł wzdłuż chat. Zdawało mu się, że wie, dokąd ona poszła. Minął starożytną bramę Agory, podążał alejkami, a potem ujrzał Wieżę Wiatrów. Stała przy niej i patrzyła w górę.

Dorian wpatrywała się uważnie w twarze wiatrów. Jones i reszta już wkrótce odjadą. Niebezpieczeństwo zostanie zażegnane. Mimo wszystko czuła pustkę.

Będzie jej brak Jonesa. Naprawdę lubiła jego towarzystwo, chociaż on nigdy by w to nie uwierzył. Nie zrozumiałaby zawilosci jej życia i sił, które nią kierowały. Wiedziała też, że gdyby nawet udało jej się zerwać z Mandrakim i zostać Pytią, to nic by się nie zmieniło. Wciąż działałyby na nią te same siły polityczne, a jej fantazje o dzieleniu z Jonesem całej władzy nie ziściłyby się.

Nie znała swojej przyszłości. Może powróci do Paryża. Może nie. Nic nie wiadomo, dopóki Mandraki nie zrobi ruchu. Jej życie właściwie do niej nie należało i tego właśnie nie mogła znieść.

– Teraz wiem, dlaczego to jest twoje ulubione miejsce.

– Indy!

– Jesteś taka sama. Różne twarze dla różnych wiatrów.

– Co ty tu robisz?

– Wracam do Paryża. Przyszedłem powiedzieć *adio*.

Rozejrzała się. Mandraki przeprowadzał inspekcję obozu uchodźców i mógł pojawić się w każdej chwili.

– Nie powinienes tu być. *Figete*.

Zaśmiał się.

– Teraz ty mi mówisz, żebym zniknął. Nie odejdę, dopóki nie zaspokoisz mojej ciekawości. Dlaczego Mandraki przyjął cię po tym, jak strzeliłaś do niego? Nie wygląda na typa, który potrafi przebaczać.

Wiedziała, że nie odejdzie, dopóki mu nie odpowie.

– Nie wiedział, kto do niego strzelił. Znajdując się w oparach, można dużo zobaczyć, ale z zewnątrz niewiele widać. Słyszał tylko, że krzyknęłam jego imię.

– To pasuje. Oszukałaś go tak, jak mnie i prawdopodobnie każdego mężczyznę w swoim życiu. A przez jakiś czas myślałem nawet, że cię kocham.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– W rzeczywistości nie jestem taka zła, Indy. Robię to, co muszę zrobić. Ale ty jesteś mężczyzną. Nie rozumiesz tego.

Pokręcił głową.

– Twoja płęć nie ma większego znaczenia. Gdyby każda kobieta była taka, jak ty, mielibyśmy.

– Idź już. Proszę.

Ale było za późno. Mandraki stał dwa metry dalej i unosił rękę z pistoletem.

Pistolet jak gdyby poruszał się w zwolnionym tempie. To nie mogło się dziać. Wizja nie mogła być prawdziwa. A co z tymi wszystkimi przygodami? Czy cała jego przyszłość, lub jej brak, zależała od tego, że wyszedł z samochodu w pogoni za Dorian?

- Jones, jesteś już martwy.
- Nie! - krzyknęła Dorian i stanęła między nimi.
- Zejdź mi z drogi, Dorian. Natychmiast!
- Nie. Nie zabijesz go.
- Odsuń się.
- Musisz najpierw mnie zabić.
- A niech cię diabli, Dorian! - pistolet wystrzelił.

Indy złapał upadającą Dorian. Poczł jej ciepłą krew sączącą się przez koszulę i usłyszał ciche, okropne charczenie, gdy próbowała nabrać powietrza do płuc. Kiedy kładł Dorian na ziemię wiedział, że Mandraki wciąż tam stoi z pistoletem w ręku. Uniósł jej głowę, żeby nie zakrztusiła się własną krwią.

- Dorian! - zawył Mandraki. - Nie chciałem. Pistolet sam wystrzelił.

Próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła. Próbowała unieść rękę, ale nie była w stanie. Indy nachylił się nad nią, dotknął jej policzka.

– Odejdź od niej - krzyknął Mandraki. - To twoja wina. Ty ją zabiłeś. Teraz ty umrzesz.

Indy spojrzał w lufę pistoletu. Zupełnie jak w wizji. A więc to się zdarzy. Usłyszał wystrzał.

Mandraki zatoczył się.

- *Malaka* - zaklął i upadł.

Indy rozpoznał strażnika z królewskiej biblioteki, stojącego kilka metrów dalej. Gdy podszedł do nich, Indy zobaczył, że Mandraki unosi pistolet i ponownie w niego celuje.

Ale strażnik był na to przygotowany. Wystrzelił kilkakrotnie. Pistolet wypadł z ręki Mandrakiego. Krew buchnęła mu z ust. Tym razem już się nie podniesie.

Gdy Indy spojrzał na Dorian, już nie żyła. Martwe oczy spoglądały na błękitne, poranne niebo. Dziwne, ale wiedział, że będzie mu jej brakowało. Pomimo wad miała na niego duży wpływ. Nigdy już nie będzie taki sam jak

przed wyjazdem. Wiedział, że znalazł zajęcie, które będzie jego życiem. Dotknął dłonią policzka Dorian, a potem zamknął jej oczy.

– Indy, nic ci nie jest?

– Nikos! Co ty tu robisz?

Nikos rozejrzał się niespokojnie.

– Całą noc ukrywałem się w ogrodzie, potem zobaczyłem, jak wysiadasz z samochodu. Jechałem za tobą taksówką, ponieważ chciałem się pożegnać.

– Muszę dostać się na prom.

– Chodź. Taksówka czeka. Jeszcze zdążysz.

Ostatni raz spojrzął na Dorian i odwrócił się.

Gdy dotarli do portu, syrena na promie zawyła. Uścisnął dłoń Nikosa i podziękował mu za pomoc.

– Odwiedź mnie w Paryżu.

– Chciałbym też pojechać do Ameryki i zobaczyć kapelę jazzową i Wielki Kanion - zawołał za nim Nikos.

– Czemu nie? - powiedział Indy i uśmiechnął się. Potem wbiegł po kładce na pokład.

Prom odbił od brzegu. Indy usłyszał jakieś dźwięki. To Shannon grał na trąbce. Podeszedł do niego i skinął głową do Conrada. Shannon grał jeszcze przez chwilę, a potem opuścił trąbkę.

– Zdążyłeś, Indy. Gdzie ty, do cholery, byłeś?

– Opowiem ci później. Mamy dużo czasu na rozmowy. Ale co to była za melodia? Nie wydaje mi się, żebym ją słyszał.

– To dlatego, że widziałeś tylko tekst. Nazywa się *Down in the Quarter*. Wciąż poszukuję wokalistki, ale przynajmniej mam kolejną zwrotkę - zaczął stukać palcami w trąbkę, wybijając rytm piosenki.

Took a trip to Greece;

left the Quarter far behind.

*But Lord, never knew how I'd miss
that second home of mine.*

– Podoba mi się - powiedział Indy.

– Mam coś dla ciebie - rzekł Conrad i podał Indy'emu paczkę. -
Przybyła tuż przed twoim przyjazdem.

– Co to jest? - Indy rozerwał kopertę przyczepioną do paczki i zobaczył
w niej list od króla.

*„Szanowny panie Jones - mam nadzieję, że zmieni pan zdanie i przyjmie
omfalos. Proszę wyrzucić go do morza, jeśli tak pan zadecyduje, ale proszę
niech go pan zabierze z dala od Grecji i Delf. Czasy świątyni Apollina już
dawno minęły, a my, Grecy, musimy patrzeć w przyszłość, a nie odświeżać
daleką przeszłość. Dziękuję”.*

– Co to jest? - zapytał Shannon, gdy prom wypłynął z portu.

– Kawalek spadającej gwiazdy - Indy postawił paczkę na barierce.

– Co z tym zrobisz?

Spojrzał w głąb ciemnoniebieskiego morza.

– Nie wiem. Muszę o tym pomyśleć. Znam kustosza muzeum w
Chicago. On z przyjemnością umieściłby to w swojej greckiej kolekcji.